

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



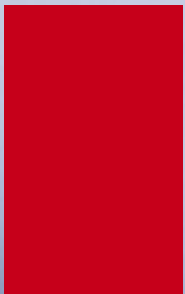
FOT. ADAM SŁOMINSKI

- Daria ze Śląska: Żal mi, że się nie buntowałam
- Szot czyta słownik seksu
- Wajrak nie wierzy w Tarczę Wschód



WYSOKIE
OBCASY

Monika Pyrek
Wiem, jak odciągnąć
dziecko od smartfona



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ALEKSANDER
KWAŚNIEWSKI

**OD OJCA WIEM,
JAK ŻYĆ W NIEPEWNYCH CZASACH**

FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198

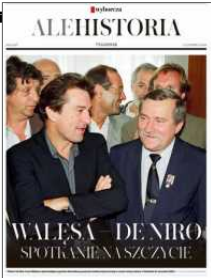


Sobota–niedziela, 1-2 czerwca 2024 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 126.10620,1 | Nakład 94 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

**Bezimienne
Zapomniane** naukowczynie,
lekarki, konspiratorki

Od 500 lat
Polacy uciekają
do Rosji

De Niro w Polsce
Wypluł kawę, ale
czuł się świetnie



REKLAMA/Kraj/34264612



Agnieszka
Kublik

Gotowy akt oskarżenia

Ministerstwo Sprawiedliwości pokazało ciekawą mapę Polski. Uzupełniło ją raportem: „Dotacje z Funduszu Sprawiedliwości a geografia wyborcza”. – Z danych wynika, że istnieje prawdopodobieństwo powiązania środków przyznawanych z Funduszu Sprawiedliwości z okręgami wyborczymi, gdzie kandydatami byli członkowie Suwerennej Polski, w tym byli członkowie rządu Zjednoczonej Prawicy – czytamy.

Oto gotowe dane do aktu oskarżenia: „W okresie od 2019 do 2023 r. (...) średnia przyznanych środków na jeden okręg wyborczy wynosiła 5,5 mln zł. Była wyższa tam, gdzie kandydowali członkowie Suwerennej Polski (7,7 mln zł) i jeszcze wyższa w tych okręgach, w których ostatecznie uzyskali mandat posła (9,3 mln zł). W okręgach, gdzie kandydatów SP nie było, spadała do 1,5 mln zł. Najwięcej spośród okręgów, w których kandydaci SP zdobyli mandaty, bo 19 mln zł dotacji przyznano w okręgu 7 (Chelm). Jest to okręg wyborczy, skąd startował ówczesny wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, który podlegał Fundusz Sprawiedliwości. 17,1 mln zł przyznano w okręgu 33 (Kielce), gdzie startował sekretarz generalny SP Mariusz Gosek (a także Jarosław Kaczyński). W okręgu 23 (Rzeszów) przyznano 16 mln zł. Stąd startowali członkowie resortu sprawiedliwości: lider P Zbigniew Ziobro oraz Marcin Warchoń, który również kandydował w wyborach prezydenckich w Rzeszowie. (...) W okręgu 30 (Rybnik), gdzie z sukcesem startował Michał Woś – 12,2 mln zł”.

Nie było żadnego skreślenia Polaków na prawo, był państwowy przekręt wyborczy

A zatem mapa to spis tych miejsc, w których za nasze, wszystkich obywateli pieniądze kupowano głosy dla polityków obozu rządzącego. Tam wyniki wyborów są co najmniej wątpliwe, w najgorszym wypadku – zafalszowane kasą z tego Funduszu. Nie było żadnego skreślenia Polaków na prawo (co zresztą od lat podkreślają socjologowie), był państwowy przekręt wyborczy.

Kasa z Funduszu płynęła do swoich w rytm wyborów: „W latach wyborczych (2019, 2020 i 2023) wypłat było więcej niż w latach, kiedy nie wybieraliśmy przedstawicieli władz. W 2020 roku (wybory prezydenckie) było to 66 mln zł, w 2023 roku (wybory parlamentarne) – 61 mln, a w 2019 roku (wybory parlamentarne) – 45 mln”.

Ile głosów kandydaci Zjednoczonej Prawicy sobie tak podkupili? I na pewno nie wszyscy kandydaci mieli równe szanse, co podważa konstytucyjną zasadę wyborów, które mają być powszechne, równe, bezpośrednie i proporcjonalne i tajne.

To dowód też na to, że kontrola wydatków wyborczych nie istnieje. Tu łąły się miliony poza kontrolą PKW. Politycy, którzy mają kreować dobry obyczaj i prawo, coś z tym zrobią? ●

Arlington, Wirginia, USA Tristan nie poznał taty



Memorial Day na Cmentarzu Narodowym Arlington. Od końca wojny secesyjnej (najważniejszą nekropolię wojskową USA ulokowano w posiadłości wdowy po konfederackim generale Lee) w ostatni poniedziałek maja Amerykanie wspominają poległych obywateli. Rodzina odwiedza kaprała Jordana Schumanna, lat 24. Zabiła go mina w Afganistanie, gdy jechał z odsieczą dla kolegów. Tristan nie pamięta ojca – kiedy zginął, Sarah była w ciąży.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

XT28R7M

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 1-2.06.2024 r.

Człowiek z Hitry Migranci zmieniają norweski styl życia

Naukowcy odtworzyli wygląd pra-Norwega sprzed 4 tysięcy lat na podstawie szczątków znalezionych u wybrzeża największej norweskiej wyspy. Kości zauważyli robotnicy drogowi wykopujący żwir z Morza Norweskiego.

Mężczyzna utonął. Miał około 25 lat, 169 cm wzrostu, był niebieskookim blondynem, zapewne wojownikiem. Zdaniem archeolożki Birgitty Skar świadczy o tym sztylet i kościany naramiennik chroniący nadgarstek przed uderzeniem ciężkiej łuki.

Analizy izotopowe i DNA jego szczątków już dostarczały wiedzy o stylu życia pra-Skandynawów – naukowcy mają m.in. wgląd w to, co jedli w epoce kamienia (na pewno nie owoce morza). Ale „chłopak z Hitry” budzi zainteresowanie też dlatego, że trudno oprzeć się analogiom do naszej teraźniejszości.

On też żył w momencie przełomu i był świadkiem epokowych zdarzeń. W pra-Norwegii łowiectwo i zbieractwo



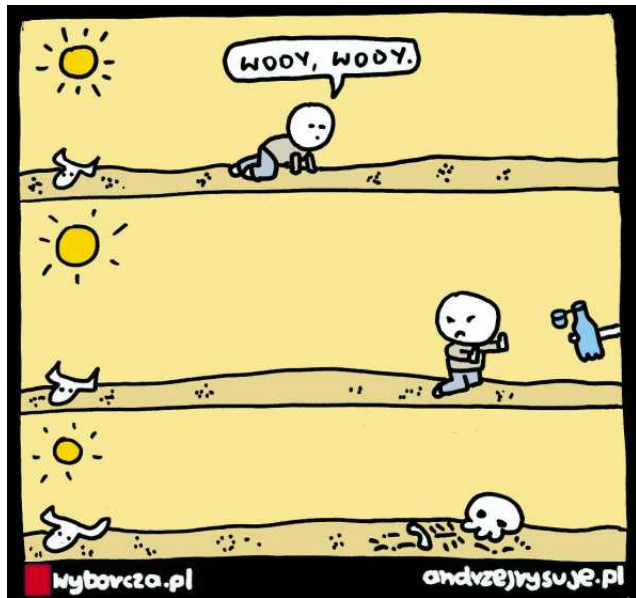
właśnie przestawało być głównym źródłem utrzymania, zaczynały rozwijać się hodowla zwierząt i uprawa roślin. Oraz wybuchały konflikty, bo nowe nadszły dosłownie – rolnictwo zapoczątkowali migranci, którzy przybyli w poszukiwaniu ziemi pod uprawy. – Mogło dochodzić do gwałtownych starć z tamtejszą ludnością – uważają archeolodzy.

Ale prócz pożogi nowi ludzie przynieśli do pra-Skandynawii nową wiedzę – nie tylko o gospodarce, także o innej organizacji społeczeństwa. – Żyli w społeczeństwach hierarchicznych, mieli inne rozumienie świata, inną religię i dużą sieć kontaktów w całej Europie – mówi Skar. ●

Joanna Bujakiewicz

FOT. AGE HOEM / MUZEUM UNIVERSYTECKIE NTNU

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

W niektórych seminariach i tak jest zbyt dużo pedałstwa



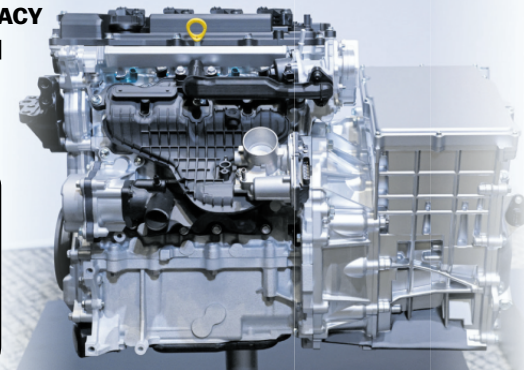
PAPIEŻ FRANCISZEK

– ponoć żartem – w odpowiedzi na pytanie, jak postępować z homoseksualnymi kandydatami na księży

Petrolhead otwiera szampana

MIEJSCA PRACY

5,5



• Więcej w tekście
Andrzeja Kublika
► **Wyborcza.biz**

MLN LUDZI

w Japonii i dziesiątki milionów na świecie może uratować projekt Toyoty, Subaru i Mazdy, czyli silnik... spalinowy. Bezemisjyny jak „elektryk”, bo zasilany syntetycznymi paliwami, produkowanymi przy użyciu energii odnawialnej. To utrzyma w ruchu stare auta (koszt środowiskowy ich wytworzenia już ponieśliśmy) i zmniejszy emisję związane z produkcją nowych aut elektrycznych. Które z racji konstrukcji nawet po niewielkiej stłuczce idą do kasacji.

FOT. REUTERS/KIM KYUNG-HOON

Prawica przegrywa wojnę kulturową

Jak zostać prezydentem? Zdjąć krzyż

Trzaskowski jest konsekwentny: na miejskich uroczystościach nie ma księży, nowe inwestycje nie są poświęcone przez biskupa

Gruszczyński

Być może za rok prezydentem Polski zostanie polityk, który przestał zapraszać księży na uroczystości państwowe, opowiada się za prawem do aborcji i legalizacji związków jedнопłciowych. Pytanie brzmi: w jaki sposób aktualna awantura o krzyż pomoże Rafałowi Trzaskowskiemu sięgnąć o najwyższy urząd w państwie. Albo – nie pomoże. Ale najpierw posłuchajmy kilku głosów.

Wyborca PiS, mieszkaniec Warszawy, lat: 79: – Powiem panu szczerze, że jak idę do urzędu, to nie zwracam uwagi, czy na ścianie wisi krzyż. Chcę załatwić sprawę i jak najszybciej uciec, urzędnicy są tacy sami jak za komuny, nic się nie zmieniło. Ale z drugiej strony mamy zapisane w konstytucji wartości chrześcijańskie, dlatego mamy jako naród wstydzić się krzyża i naszej wiary? Nie rozumiem, dlaczego mamy ukrywać naszą tożsamość, szczególnie że większość Polaków to katolicy. Teraz nie noszę na szyi złotego krzyżyka, ale chyba zacznę po tym, co wyprawia Trzaskowski – mówi mi pan Edmund, z którym często prowadzę podobne rozmowy. Ani on, ani ja nie zmieniamy poglądów, ale w przyjaznej atmosferze wymieniamy uwagi o polityce, społeczeństwie i świecie.

Więc pytam: to jeśli w urzędzie zatrudni się muzułmanin, czy będzie mógł postawić na biurku półksiężyc? – A czy katolicy w Arabii Saudyjskiej mogą nosić krzyż w widocznym miejscu? – odpowiada pytaniem pan Edmund.

Drażę dalej: skoro pozwalamy na krzyż, to musimy pozwolić na gwiazdę Dawida. – Niekoniecznie, ponieważ Polska jest krajem katolickim – mówi. Nadal się nie zgadzam i zwracam uwagę, że nie żyjemy w państwie wyznaniowym. – Ale tożsamość mamy jednoznaczna. Kiedy byłem mały, to nosiłem medalik z Matką Boską, pan też na pewno taki nosił, dzieci nadal są chrzczone, ludzie biorą śluby w kościołach – przekonuje mnie pan Edmund. I w sumie trudno się z nim nie zgodzić.

Spór o rozdział państwa od Kościoła trwa w Polsce od ponad stu lat, ale temperatury nabrał po 1989 roku. I od tamtej pory emocje nie opadają. Po jednej stronie mamy liberałów, którzy chcieliby przyjaznych relacji z Episkopatem, po drugiej – radykalizowaną prawicę i lewicę. Pierwsi powiesili krzyż w sali plenarnej Sejmu, drudzy chcieliby usunąć wszystkie krzyże ze wszystkich instytucji publicznych.

Mówiąc inaczej: od 1989 roku żyjemy w permanentnej wojnie kulturowej.

Obecna awantura zaczęła się w czwartek 16 maja, kiedy ujawniłem w „Wyborczej” szczegóły zarządzenia, pod którym podpisał się Rafał Trzaskowski. Prezydent Warszawy wprowadził w urzędzie miasta standardy równego traktowania. Od tej pory urzędnicy i urzędniczki mają częściej używać feminatywów, zwracać się do osób transpłciowych i niebinarnych w sposób, jaki sobie tego życzą, spotykać się

z osobami z niepełnosprawnościami w miejscach, które są do tego dostosowane, a nie na trzecim piętrze urzędu, gdzie nie dojeżdża winda. Lecz największej emocji wywołał zapis o nieeksponowaniu symboli religijnych na ścianach i biurkach. W kolejnych dniach Trzaskowski doprecyzował zapisy dokumentu i stwierdził, że krzyże nie powinny wisieć w miejscach dostępnych dla ludzi z ulicy.

Prawica zareagowała tak, jak musiała zareagować, czyli historycznym krzykiem o końcu cywilizacji, ograniczaniu praw katolików i lewackiej ideologii, którą wprowadza platformerski kosmopolita i unijczyk. Liberalowie i lewica chwalili decyzje progresywnego państwotwócy, a zwykli ludzie machnęli na to wszystkim ręką. Mama mojego znajomego skomentowała awanturę jednym zdaniem: – To normalna sprawa, że w urzędzie nie powinno być krzyża – po czym wróciła do oglądania telewizji. Inna osoba: – Mam na biurku w pracy Buddę, mam nadzieję, że nikt nie będzie kazał mi go usunąć – śmieje się.

Nie znamy jeszcze badań socjologicznych, nie wiemy, czy Polacy popierają decyzję Trzaskowskiego, choć można przypuszczać, że szybko laicyzujące się społeczeństwo raczej zgadza się z jego intencjami.

Urzędniczka, lat 45, od kilkunastu w stołecznym rauszu: – Zanim pan prezydent podpisał zarządzenie, odbyło się kilkanaście warsztatów, w trakcie których wspólnie napisaliśmy wszystkie standardy. Potem były kon-

Za każdym razem ostry spór obyczajowy w debacie publicznej przekłada się na większe poparcie dla idei liberalnych

sultowane przez dyrektorów wszystkich biur w ratuszu. Wiem, że pojawiło się sporo uwag, wiele zostało ujętych w ostatecznym kształcie dokumentu. Znam głosy koleżanek, które twierdzą, że największą grupą prześladowaną we współczesnej Polsce są katolicy. Są też osoby, które głośno pytały, jakie będą losy choinki bożonarodzeniowej, skoro koniec końców jest symbolem religijnym. Martwi mnie coś innego: nikt z najbliższego otoczenia pana prezydenta nie opracował strategii komunikacyjnej. Przecież było jasne, że prawica się na nas rzuci – opowiada Katarzyna.

– Wiele pracowniczek magistratu zaczęło w widocznych miejscach nosić przypinki z Matką Boską – opowiada mi inna urzędniczka.

Posłanka Koalicji Obywatelskiej: – Warszawski ratusz niczego się nie nauczył po dzikiej awanturze wokół Karty Praw Osób LGBT. Przypomnę, że prawica rozpętała wówczas piekło, to wtedy pojawiły się strefy wolne od

LGBT. Przecież można było opracować plan działania, zaprosić ludzi na konferencję prasową, wytłumaczyć, że zmiany zaproponowane przez Rafała są czymś normalnym w Europie Zachodniej – mówi mi polityczka.

Dodaje od razu, że partia stoi murem za Trzaskowskim – oficjalnie. – Mamy mówić w mediach, że to doskonała decyzja, cywilizacyjna zmiana, a PiS próbuje podkręcać atmosferę – ujawnia moja rozmówczyni.

Z premedytacją lub nie, prezydent Warszawy wywołał kolejną odsłonę polskiej wojny kulturowej.

Jej mechanizm jest na całym świecie identyczny: radykalna prawica krytykuje dostęp do aborcji, przyznanie praw obywatelskich kolejnym grupom wykluczonym takich jak geje, czarni czy kobiety, neutralność światopoglądową państwa, inkluzywny język, konsekwentnie, przez miesiące i lata, tak, by chwytliwe slogany przesączały się do świadomości, stawały naturalnym tłem, dopuszczalnym dyskursem.

Radykałowie po prawej stronie sceny we wszystkich krajach posługują się podobnymi argumentami: elity zaprzeczają tradycję, ograniczają prawa większości, dyskryminują mężczyzn, osoby wierzące i białe, co ma w konsekwencji doprowadzić do upadku kraju i narodu. Metody są sprawdzone od lat, a zaczerpnięte od amerykańskiego alt-rightu i neokonserwatystów: wpływowi liderzy opinii wykorzystują media społecznościowe i te tradycyjne do prezentowania agendy, organizują wiece i manifestacje, sprawnie posługują się narzędziami internetowymi, od klasycznych już memów po TikToka, używają mocnych, przejawiskawych przykładów, które często okazują się fake newsami.

Jednostki i całe pokaźne grupy społeczne, opuszczone – lub tak się czujące – przez państwo, polityków głównego nurtu i tzw. establishment, dają się nabrać na tę narrację, szukając winnych ich realnych lub wymaganych nieszczęść i nadziei na lepsze jutro. A jednocześnie – co tylko utwierdza konserwatystów w przekonaniu, że ich diagnozy są trafne – za każdym razem ostry spór obyczajowy w debacie publicznej przekłada się na większe poparcie dla idei liberalnych.

Po Strajkach Kobiet lawinowo wzrosło poparcie dla aborcji. Po nagonce na środowisko LGBT Polacy i Polki opowiadają się w większości za jedнопłciowymi związkami partnerskimi. Ujawnione przez media skandale pedofilskie wśród księży i taktyczny sojusz państwa PiS z Kościołem przyspieszył procesy laicyzacyjne. Modernizacja społeczna w Polsce dokonuje się więc na drodze rewolucji, a nie ewolucji, a następnym krokiem jest zmiana prawa, czego nie może zrozumieć konserwatywna część Koalicji 15 października.

Jeśli chodzi o polityczny wizerunek Trzaskowskiego, to ostatnia decyzja wpisuje się w spójny obraz liberalnego polityka, który opowiada się za przyznaniem pełni praw osobom LGBT+

i jest za neutralnością światopoglądową państwa. Co udowadnia od samego początku rządów w stolicy – na uroczystościach nie ma księży, nowe inwestycje nie są poświęcone przez biskupa, choć jednocześnie ratusz wspiera finansowo organizacje katolickie zajmujące się pomocą charytatywną, a msza jest odprawiana w każdą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, ponieważ tego życzą sobie żyjący powstańcy.

Wielu konserwatywnych wyborców – badaniami nie dysponuję, lecz opieram się na licznych rozmowach i nasłuchu – czuje się źle w mieście bez krzyży, z refundowanym in vitro i paradą równości, na której czele idzie Trzaskowski. To mogłoby potwierdzać alarmistyczne ostrzeżenia niektórych politologów, że idąc na zderzenie czołowe ze wciąż jednak katolickim – jeśli nie w sercu, to z przyzwyczajenia czy oportunistycznym, „bo wypada” – społeczeństwem, prezydent Warszawy przekreśla szanse na prezydenturę kraju.

Ale inni są zadowoleni, ponieważ ich dzieci mają darmowe miejsca w żłobkach, a centrum miasta zmienia się nie do poznania. I to w sumie zwykłym ludziom wystarczy – a opinia o sprawnym, nowoczesnym, ogarniętym włodarzu niesie się pocztą pantoflową poza stolicę.

Spójrzmy na sprawę z poziomu mety. Przed polskimi liberałami – szeroko rozumianymi, od centrolewicy po chadeków – stoi najważniejsze zadanie od czasów wejścia Polski do Unii Europejskiej.

W latach 90. elita polityczna celnie odczytała aspiracje społeczne związane z obecnością naszego kraju w zachodnich strukturach. Dzisiejsze oczekiwania są równie ambitne: liberalizacja prawa do aborcji, związki partnerskie i ograniczenie finansowania Kościoła. Wszystkie badania socjologiczne pokazują, że tego właśnie chce większość społeczeństwa. Ale część liberałów żyje w strachu przed dawnymi hegemonami. Jarosław Kaczyński nadawał ton debacie publicznej przed osiem długich lat. Episkopat rządził niepodzielnie aż do filmu braci Sekielskich.

Lecz dzisiaj mamy zupełnie inną sytuację: PiS nie jest liderem opinii, politykę kształtują Tusk, Hołownia i Trzaskowski. Kościół jest pogrążony w wewnętrznym kryzysie, jego zdanie nie jest istotne. A więc otwiera się, jak mówią himalaści, okno pogodowe: można wprowadzić zmiany prawne przy udziale i za zgodą – a nawet z poklaskiem – społeczeństwa.

Rafał Trzaskowski zamierza w trakcie tegorocznej edycji Campusu Polska ogłosić, że wystartuje w wyborach prezydenckich. Tusk dał mu błogosławieństwo.

Znakiem czasu jest start w wyborach prezydenckich polityka, który nie klęka przez episkopatem. I prowadzi w sondażach. I prawie wygrał wybory pięć lat temu.

Tusk z Trzaskowskim mogą stać się twarzą odnowionego liberalizmu, o ile ich koalicjanci w końcu wsłuchają się w głos ludu. ●

Arkadiusz Gruszczyński

Nawet Tusk nie uszczelni granicy

SITO
WSCHÓD

Pushbackujemy na Białoruś ludzi, którzy mogliby się podzielić z naszymi służbami informacjami, co się tam naprawdę dzieje.

Kiedy z ust polityka słyszę, że zapewni nam szczelną granicę, to wiem, że kłamie. Nie tylko czuję się oszukiwany, ale wiem, że to igranie z bezpieczeństwem państwa, bo nie ma nic gorszego niż fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Wolalbym zamiast tych bredni o szczelności usłyszeć, że zrobią wszystko, aby nasza wschodnia granica była pod kontrolą, bo na razie nie jest. Okrucieństwo tej kontroli nie przyniesie.

Całkiem niedawno przecierałem oczy już nie tyle ze zdumienia, do którego przywykłem, co z przeżenienia. Kwintesencja absurdu, która na naszej wschodniej granicy ma się całkiem dobrze równieź po wyborach, klula w oczy ze stron „Wyborczej”. Na ekranie mojego komputera wypowiedź wiceministra obrony narodowej Cezarego Tomczyka, chwającego się, że na modernizację słynnego płotu zostanie wydane 1,5 mld złotych, tak, że stanie się „nie do przejścia”, sąsiadowała z zapowiedzią artykułu śledczego o tym, że flota powietrzna Straży Granicznej jest w rozsypce. Z jednej strony polityk zapowiada, że jeszcze lepszy płot, z drugiej anonimowi funkcjonariusze informujący dziennikarza, że sprzęt jest przestarzały i nie lata, brakuje pilotów i obsługi.

Trudno o lepszy obraz tego, co mamy tu, w Puszczy Białowieskiej i przy granicy białoruskiej i co bardzo słusznie Agnieszka Holland nazwała w „Wyborczej” „okrutnym burdelem”. Bo to jest okrutny burdel i wciskanie nam iluzji bezpieczeństwa. Może nie widać tego w Warszawie, ale na Podlasiu tak.

Zacznijmy od szczelności granicy, która urosła do świętości wykutej w skalę. Gdy jakiś polityk zapewnia mnie, że granica będzie szczelna, a mur nie do przejścia to wiem, że zwyczajnie kłamie. Nie wiem, czy świadomie i z premedytacją, czy może brakuje mu wyobraźni. Ale wiem, że nie ma granic nie do przejścia. Wiem to jak każdy, kto wychował się w komunizmie.

To był system, który za jeden z głównych celów obrał otoczenie się „granicami nie do przejścia”. Byliśmy najszczelniejszym obozem na świecie, a jednak ludzie z tego obozu z powodzeniem uciekali. Pokonywali mur berliński, przy którego technologicznemu wyrafinowaniu i brutalności jego obsługi wszelkie obecne zapory wydają się dziecinny zabawkami. Uciekali z autarkicznej Albanii Enwera Hodży, mającej się za najszczelniejszy kraj na świecie. Dziś, choć to przecież to zapory, czujniki, ziemia naszpikowana minami i represje wobec bliskich, którzy zostali – uciekają przez koreańską strefę zdemilitaryzowaną z raju Kimów.

Ludzie, szczególnie zdesperowani, są w stanie pokonać każdą barierę i nie będą się bali przyskakiwać gazem straży granicznej. Nie będą się bali, nawet gdyby ktoś postanowił do nich strzelać – do ludzi strzelano w Bułgarii, w Rumunii, na wielu komunistycznych granicach, a je przekraczali.

Niektórzy może o tym nie pamiętają, ale ja mam ten smutny przywilej, że mieszkam nieco ponad 10 kilometrów od granicy białoruskiej. I ta prosta prawda jest mi przypominana każdego dnia, gdy w lesie trafiam na uchodźców lub ślady po nich, gdy słyszę historię opowiadane nie tylko przez aktywistów, ale przez moich sąsiadów. Absurd „uszczelnej granicy” uwiódł mi się najlepiej, gdy Wąsik z Kamińskim stali po tą ich srebrną zaporą i chwalili się, jaka jest najlepsza i najszczelniejsza, a ja tego dnia widziałem tylu uchodźców, jak nigdy wcześniej.

Dziś, czego może nie wszyscy w kraju mają świadomość, mamy na lądowych odcinkach granicy z Białorusią po naszej stronie nie jeden mur, ale dwa. Poza tym wielkim, srebrnym, postawionym dwa lata temu, w ostatnim roku powstał kolejny, z drutu żyłkowego. To o tyle tragiczno-komiczne, że zaletą „dużego” płotu miało być to, że dzięki niemu będzie można zdjąć prowizoryczny, z drutu żyłkowego, który był niebezpieczny dla zwierząt. Ginęły w nim w męczarniach losie i jelenie – i nadal giną, bo drut żyłkowy jest na brzegach wszystkich granicznych rzekach, a często w samych rzekach.

Do zapory, która, jak zarzekali się politycy i straż graniczna, miała być tą ostateczną, trzeba było dostawić kolejną. Efekt jest taki, jak zwykle – uchodźców w lesie pelfo.

Bo powiedzmy sobie szczerze: nieważne, kto rządzi, nieudolni megalomani czy europejscy technokraci – nie zbudujemy muru, który zapewni jakąś szczelność. Bo to nie jest granica między krajami takimi jak USA i Meksyk albo Grecja czy Turcja, które nie są sobie otwarcie wrogie (a przecież i tamte zapory też szczelne nie są). My po drugiej stronie mamy nie tylko uchodźców pragnących dostać się do lepszego świata, ale też – a może przede wszystkim – zdeterminowane służby państwowe, całkiem otwarcie pracujące nad tym, aby ten płot łatwo ludzie mogli przekraczać.

To nie jest zwykła przemytnicza mafia, która korzysta ze słabości jakiegoś państwa, tylko państwo, które jest przemytniczą mafią i korzysta z ludzkiej krzywdy, aby osiągać cele polityczne i finansowe – bo, prócz destabilizowania Polski i Unii Europejskiej i siania fermentu na życzenie rosyjskiego sąsiada, Białoruś całkiem nieźle na tym zarabia. Więc gdy tuż za płotem mamy służby nie tylko Łukaszenki, ale i Putina, opowiadanie o szczelnych granicach jest oszukiwaniem społeczeństwa. Jak to może być groźne, przekonał się Izrael, który miał przecież płot na granicy ze strefą Gazy. Naszpikowany wszystkim, co człowiek w stanie sobie wyobrazić – lecz nie zatrzymał terrorystów z Hamasu. A na naszej granicy jest tylko gorzej, bo nie dość, że płot jest w dużej mierze prowizoryczny, a na pewno nie tak zaawansowany technologicznie, jak izraelski, to jeszcze próbują go sforsować nie terroryści knujący w konspiracji, lecz państwowe służby od lat działające w sprzyjającej dla nich atmosferze i wspierane przez mocarstwo.

Białoruskie KGB nigdy nie doznało takiej de-grengolady jak polskie służby za pierwszego i drugiego PiS. To widać nawet gołym okiem, bez fachowej insiderskiej wiedzy. To ich uzbrojone po zęby helikoptery latały sobie swobodnie nad Białowieżą, to oni porwali zarejestrowany w Polsce samo-



lot Ryanairu i zmusili do lądowania w Mińsku, żeby wtrącić do tiumny Romana Pratasiewicza, młodego założyciela ważnej niezależnej agencji i portalu Nexta, to ich szpieg sędzia Szmyd sobie swobodnie wyjeżdżał na Białoruś jeszcze w zeszłym roku, a w tym wyjechał ostatecznie. I to Polska została zaskoczona kryzysem migracyjnym.

Trzeba być naiwnym, by wierzyć, że KGB nie poradzi sobie ze sztachetkami, choćby były nawet z tytanu. Musimy się pogodzić z tym, że ludzie przez tę granicę będą przechodzić. Chodzi o to, aby mieć nad tym jakąś kontrolę, bo ci ludzie dostają się do nas z otwarcie wrogością kraju.

A naszym przeciwnikom zza wschodniej granicy chodzi o dwie rzeczy: abyśmy wyzbyli się naszych wartości i stali się tacy jak oni, i abyśmy stracili kontrolę nad wschodnią granicą. Na razie dzięki PiS i temu, że obecna koalicja w znacznie mierze weszła w ich buty, znakomicie to się udaje.

Przed wszystkim, wypychanie złapanych już raz po polskiej stronie ludzi zwyczajnie nie ma sensu. Pozwólcie, że powtórzę to, co już kiedyś napisałem. Człowiek wystawiony za mur albo, jak kto woli, pushbackowany, nie znika i nikogo nie zniechęca. Nie rozplywa się w białoruskim lesie, nie mamy go z głowy. On nie pakuje walizki i nie wraca do Aleppo, Kabulu, do Etiopii albo Kamerunu, uprzednio rozłożywszy ręce. Nie stwierdza: „no cóż, nie chcę mnie, to sobie wracam”.

ADAM WAJRAK





■
Obserwuję aktywistki i aktywistów, tych bardzo dzielnych ludzi, od samego początku kryzysu i widzę, jak stali się prawdziwymi profesjonalistami. Życzylbym sobie, żeby wojskowi, albo funkcjonariusze SG mieli taką wiedzę na temat tego co się tu dzieje, potrafili tak poruszać się po lesie

Po pierwsze, nie zawsze może wrócić, bo blokuje go białoruskie służby. Po drugie, jeżeli ktoś przebył kawał świata, wydając ostatni grosz swój, rodziny i przyjaciół, nie cofnie się tylko dlatego, że ktoś go złapał i cofnął o parę kilometrów albo o parę metrów. A po trzecie, spora część ludzi z granicy – tych z Syrii, Afganistanu, z Kamerunu – ucieka przed dyktaturami i wojnami i nie mają gdzie wracać. Przebyli tak długą drogę, że podejmą kolejną próbę, i kolejną. Wypchnięcie za mur oznacza tyle, że polskie służby straciły na własne życzenie kontrolę nad kimś, kto nielegalnie przekroczył granicę i ma zamiar to zaraz zrobić znów.

Używając porównania z gier planszowych: państwo polskie, zamiast zdjąć ludzi z planszy, na przykład przez umieszczenie w ośrodku dla uchodźców, gdzie można by dokładnie zbadać, kim są, przyznać azyl lub deportować, tylko cofa ich o jedno pole. To nie zniechęca do przybywania na polsko-białorską granicę, raczej zachęca. To prawda, co się mówi i pisze – że wielu migrantów woli zostać wypchniętych niż zostać zarejestrowanym uchodźcą w Polsce, co zamyka drogę do Niemiec.

Ludzie wypycha się w tak ekspresowym tempie, że służby nawet nie słuchają, co oni mają do powiedzenia. Ignorowane są nie tylko prośby o ochronę międzynarodową, ale również informacje, że ktoś w lesie umiera. Tak właśnie niemal na przedmieściach Hajnówki zmarła młoda kobieta z Etiopii, prośbę jej partnera o pomoc zignorowano, został wyrzucony na Białoruś. A jeżeli ci ludzie mogli się podzielić z naszymi służbami informacjami o tym, co się dzieje za płotem? Czy będą mieli na to ochotę, traktowani z butą, po raz kolejny wyrzuceni?

System wypychania to idealna sytuacja także dla przemytników. Po przeprowadzeniu grupy zwyczajnie czekają, aż polskie służby wywalą ich za płot – i mają bez wysiłku, na tacy, nową dojangrupę. A najbardziej potworne postacie czują się jak ryby w wodzie, mogą działać bez osobistego ryzyka.

Przykład? Proszę bardzo. Jakis czas temu zatrzymano młodą dziewczynę w towarzystwie męż-

• **Maj 2023, patrol przy zaporze na granicy polsko-białoruskiej**

FOT. GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

czynny. Okazało się, że jest ofiarą handlu żywym towarem, miała trafić do domu publicznego w jednym z zachodnich krajów. Dzięki staraniom organizacji pomocowych została w Polsce. Co się stało z przemytnikiem? Myślicie, że już jest po procesie i gnije w więzieniu? Otóż nie – został wywalony na Białoruś i dalej zajmuje się krzywdzeniem kobiet.

Niedawno spotkałem przy jednej z głównych dróg siedzącego na pieńku człowieka z północnej Afryki. Na mój widok nie chował się w gęstwinie, tylko stwierdził, że czeka na polskie służby, bo chce wrócić na Białoruś. – Polish police is not so bad – wyznał całkiem spokojnie. Po dłuższej chwili dotarło do mnie, co się kryje za tym stwierdzeniem. Czym zapewne się para.

Dlatego nie wątpię, że z naszego systemu wypychania skorzystają kiedyś, jeśli już nie korzystają, białoruskie służby. Zawsze to o połowę roboty mniej, człowieka z jakimś zadaniem trzeba tylko przerzucić przez płot. Po jego wykonaniu wróci bezpiecznie i bezkosztowo do ojczyzny, bo do płotu odwieżą go Polacy i jeszcze bramkę mu otworzą. W Rosji naprawdę nie brakuje ludzi wyglądających jak Syryjczycy lub Afgańczycy, ba!, w Rosji nie brakuje oryginalnych Syryjczyków, bo przecież Moskwa wspiera Asada i współpracuje z Damaszkiem.

•
Jedyna szansa na wylapanie takich farbowanych uchodźców to współpraca z tymi prawdziwymi – a to wymaga traktowania ich z szacunkiem. Wte-

dy może na przykład poinformować naszych mundurowych, że w ich grupie jest ktoś dziwny, ktoś, kto pojawił się niedawno lub wręcz został im wciśnięty przez Białorusinów. Bicie, psucie telefonów, szydzenie, pryskanie gazem nie sprawi, że znajdą się chętni do kooperacji z ludźmi w polskich mundurach – a to powinno być w naszym szerokim pojętym interesie.

Nie tylko dlatego, że powinniśmy reprezentować inne wartości niż białoruska soldateska, ale również dlatego, że musimy wiedzieć, co się dzieje za płotem i kto ten płot przechodzi. Na razie, śmiem twierdzić po wielu rozmowach, że wiedza naszych służb jest bardzo umiarkowana. Jeżeli rząd przestanie uchodźcę traktować z butą i zacznie przestrzegać procedur, to będzie szansa na współpracę również z ratującymi ludźmi w lesie NGO-sami.

Obserwuję aktywistki i aktywistów, tych bardzo dzielnych ludzi od samego początku kryzysu, czyli od ładnych paru lat i widzę, jak stali się prawdziwymi profesjonalistami. Życzylbym sobie, żeby wojskowi i funkcjonariusze SG mieli taką wiedzę o tym, co się tu dzieje i potrafili tak poruszać się po lesie. Okrutne traktowanie uchodźców, wypychanie ich, wyklucza współpracę aktywistów z mundurowymi, a to oznacza, że państwo pozbywa się zaangażowanych, kompetentnych, godnych zaufania oczu i uszu.

Podobnie jest z mieszkańcami. Przypadki wydawania uchodźców Straży Granicznej są naprawdę sporadyczne, na porządku dziennym jest albo pomaganie – z czego naprawdę jestem dumny, bo to pokazuje, jak dojrzałym społeczeństwem jesteśmy, i to w miejscu, które wielu „miejstowych” traktuje z wyższościowym dystansem – albo odwracanie głowy. My tu zwyczajnie i po ludzku nie chcemy trupów w lesie, a wypychania te trupy produkuje.

Nie ma powodu, aby w Puszczy Białowieskiej i innych przyrodniczych perłach Podlasia umierali ludzie. Każdy cywili, który postawi stopę na polskiej ziemi, powinien być bezpieczny. Więc dopóki nie będzie, rząd na własne życzenie pozbywa się setek, a może tysięcy par oczu i uszu, których nie zastąpi – o czym przed atakiem na WTC i nie raz po nim, u siebie w domu i w Iraku, w Afganistanie przekonywały się liczne amerykańskie służby wywiadowcze – żadna elektronika.

Nie mam prostej odpowiedzi, dlaczego politycy rządzących partii, a przede wszystkim Koalicji Obywatelskiej, tak szybko weszli w sprawy granicy w pisowskie buty. Mam dwie teorie i obie są chyba prawdziwe. Jedna – że tak jest po prostu łatwiej. Ludzie naprawdę wierzą w płoty i zapory, wierzą, że odgradzanie się może być skuteczne. Druga – że nasze służby są w złym stanie, a politycy o tym wiedzą, więc zamiast realnej oceny sytuacji opowiadają nam o murach.

Bo kondycja służb strzegących granic to nie tylko popsute helikoptery. To również wakaty. „Dziennik Gazeta Prawna” donosi, że w Straży Granicznej brakuje około jednej piątej funkcjonariuszy. I myślę, że te braki ilościowe przekładają się na, nawet gorsze, braki jakościowe. Kto wrażliwy i mądry będzie siedł do roboty, w której każą mu jakiegos biedaka wywozić do lasu pod pały wschodniego reżimu?

Gdy patrzy się na wojsko na granicy, też ogrania rozpacz. Nie mają odpowiednich butów, ubrań, ciągle muszą sami się dożywiać – wojskowe ciężarówki pod spożywczymi sklepami to norma. Jakiś czas temu spotkałem w lokalnej aptece oficera, który kupował spore ilości środków opatrunkowych, płacąc z własnej kieszeni. Zagadałem. Okazało się, że to dla żołnierzy, którzy wzdłuż zapory stawiają tą dodatkową z drutu żyłkowego, i się o niego tną. – To nie macie przydziałowych opatrunków? – zapytałem. – Dawno się skończyły – odpowiedział.

To nie wszystko. Żołnierze nie potrafią zachowywać się w lesie, co krok palą ogniska, jakby przyjechał tu na piknik, co nie tylko zwiększa zagrożenie pożarowe, ale jest dokładną informacją, gdzie akurat znajdują się patrole.

Jeżeli chcemy bezpiecznej granicy wschodniej i kontroli nad nią, nasz sposób postępowania musi się całkowicie zmienić. Owszem, „Tarcza Wschód” to chwytliwe hasło, wizja budowy umocnień może wydawać się krzepiąca, ale dziś są naprawdę pilniejsze potrzeby.

Utrata przez Polskę kontroli nad granicą i utrata wartości – dzięki poprzedniej władzy i obecnej koalicji, która wskoczyła w buty po PiS, Białorusinom i Rosjanom udaje się osiągnąć jedno i drugie

Musimy zacząć od tego, że zagniemy granicę w ogóle jakoś kontrolować. By to zrobić, potrzebna jest współpraca i zaufanie między wszystkimi graczami po polskiej stronie. Naprawdę organizacje pozarządowe nie są wrogami państwa, ale nie palą się do współpracy z nim, niechętnie czy wrogo traktowane. To samo dotyczy lokalnych społeczności. Rząd, ignorujący ich problemy, powinien odzyskiwać ich zaufanie, choćby promując turystykę, która przeżyła załamanie.

Wojsko musi wiedzieć, w jak specyficznym, cennym miejscu przebywa i zachowywać się z szacunkiem nie tylko do ludzi, ale też do przyrody. Nie tylko z etycznych czy przyrodniczych, „pięknoduszowskich” powodów, jak czasem mówią ludzie mający się za chłodnych realistów, również z bardzo praktycznych. Bagńiste tereny, zwalone drzewami są skuteczną zaporą wstrzymującą ewentualny atak równie skutecznie, co inżynieryjne umocnienia. Ciężki sprzęt tu nie przejdzie.

Widziałem, jak sobie tu nie radzi, i ten wojskowy, i budowlany. A Ukraińcy przekonali się o tym w warunkach prawdziwie wojennych. Siła rosyjskiego ataku od strony Białorusi nie była tak duża, jak się obawiano, właśnie ze względu na naturalne przeszkody. Rosjanie szli tam, gdzie wcześniej pobudowano drogi. Tak jak w słynnej strefie czarnobylskiej, gdzie na rok przed inwazją ktoś wyremontował

połną drogę, zamieniając ją w całkiem wygodną asfaltówkę. Pracujący w strefie naukowcy zastanawiali się, po co taka inwestycja. Dowiedzieli się, gdy w lutym 2022 roku sunęły po niej rosyjskie czołgi, prosto na Kijów.

My mamy na wschodzie masę takich terenów i nikt nie pobyduje na nich tajemniczych dróg, co więcej – mamy mnóstwo możliwości ich jeszcze większego udziczania. Zalesienia, zabagnienia, oddania naturalnym procesom. Z korzyścią i dla przyrody, i obronności. Dlaczego nie upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu i nie skorzystać z Nature Restoration Law, unijnego rozporządzenia o pomocy państwom członkowskim chcących odbudowywać naturalne ekosystemy? Dlaczego rząd Tuska nie chce poprzeć tego projektu?

Na razie budowa muru spowodowała odwrotny proces. Wiele dróg prowadzących przez dzikie tereny w okolicy granicy utwardzono, poszerzono, poprawionych po to, żeby zbudować zaporę. Można nimi wygodnie jechać nie tylko do granicy, ale i od granicy, w głąb kraju. Rosyjscy czołgiści i logistycy lubią to.

Kiedy kończę pisać ten artykuł, media i internauci dyskutują o migrancie, który dźgnął nożem żołnierza. To smutna kropka nad „i” pokazująca, jak bardzo sytuacja na granicy wymknęła się spod kontroli. Jak bardzo państwo polskie nie panuje nad tym, co się tu dzieje. I nawet nie chodzi o to, że słabo wyszkolony albo zaskoczony żołnierz dopuścił do takiej sytuacji, bo takie przypadki mogą się zdarzyć każdej armii. Problem polega na tym, że my nie wiemy, kto tego żołnierza dźgnął, kto go zaatakował. Mówienie, że migrant, jest łatwe i z pozoru logiczne, ale niekoniecznie musi być prawdą.

Nie wiemy, czy to był zdesperowany uchodźca, czy przemytnik, któremu puściły nerwy i teraz będzie udawał człowieka w potrzebie, licząc na współczucie, wyrozumiałość, łagodniejsze traktowanie. A może jakiś jego współpracownik, chcący przyciągnąć uwagę naszych służb do danego miejsca, tak aby w innym jego współnik czy szef mógł przejść granicę z grupą klientów-ofiar. I nie wiemy, czy stało się to na polecenie i z udziałem białoruskich służb, którym bardzo zależy na eskalacji.

Nie wiemy nic, bo ten człowiek, choć zaatakował żołnierza na służbie na polskim terytorium, nie został ujęty. A nie został ujęty, bo choć mamy płot, który stoi całkowicie na polskiej ziemi, a za nim jest jeszcze trochę polskiego terytorium, to zrezygnowaliśmy z tego kluczowego kawałka naszego kraju i oddaliśmy go Białorusinom.

Ten przypadek pokazuje, jak ślepe i bezradne jest nasze państwo na granicy i jak łatwo dajemy się prowokować. Już widzę, jak – również na forach pod tekstami w naszych, wielkomiejskich, centrowych, mainstreamowych portalach, nie tylko w prawicowych niszach – słowo „strzelać” odmieniane jest przez wszystkie przypadki.

Ale nie usłyszałem ani jednego polityka lub wyższego dowódcy, który by studził emocje i zastanawiał się, jak w sposób nieco bardziej wyrafinowany niż lanie ton stali i betonu, odzyskać kontrolę nad tym, co się dzieje u naszych drzwi. Dalej robimy to, o co chodzi służbom Łukaszenki i Putina. ●

Jarosław Mikotajewski
na Dzień Dziecka

O Ciebrakach prawie wszystko

Takie jak ja są, takie jak ty,
na wszystko patrzą trochę przez łyzy.

Jakby przez szybki skroplonych marzeń...

Popatrz jak chodzą: jak kot po niebie,
z uśmiechem takim, jak mój dla ciebie.

Błądzą po świecie niby bez celu,
tańczą na łące jak na weselu,
często do siebie samych coś plotą...

A wszystko mówię ci właśnie po to,
żebyś nie pytał już, kto to taki:
istoty takie to są Ciebraki.

Stworzenia boskie albo nieboskie,
francuskie, polskie, a czasem włoskie...

Wyliczać zresztą jest całkiem na nic,
bowiem Ciebraki nie znają granic:
Francja nazywa ich „Timemanqi”,
we Włoszech imię ich to „Mimanki”
(choć zaraz jakiś mądrała powie,
że w liczbie mnogiej to „Mimankowie”).

Jeżeli komuś niczego nie brak,
możesz być pewny, że to nie Ciebrak.

Mają coś z króla i coś z żebraka -
tak właśnie możesz poznać Ciebraka,
któremu zawsze kogoś jest brak:
brak to ich duma, honor i znak.

Często litery myślą i słowa,
jakby stwarzali wszystko od nowa:

widząc żrebaka, potrafi Ciebrak
westchnąć na przykład: „ach, co za ziebrak!”

I często listy piszą Ciebraki,
a list ich może być choćby taki:

„Chociaż Ciebraków na świecie wielu,
za Tobą tęsknię, mój przyjacielu...”

Albo: „Choć tyle Ciebraczek w kółko,
o Tobie myślę wciąż, Przyjaciółko”.

I ten dopisek: „Bardzo mi Cię brak.
Napisz coś kiedyś.
Stęskniony Ciebrak”.

Zapytasz teraz: skąd znam Ciebraki,
skąd znam nastroje ich i oznaki,

skąd wiem, że królem są i żebrakiem...
Oto wyznanie nie byle jakie:
ja także chyba jestem Ciebrakiem!

A to jest mego ciebractwa znakiem,
to jest mój order, medal, ozdoba -
że mnie wciąż wzrusza jakaś osoba,

i w myślach wciąż jej powtarzam „Cię brak”,
i każdą myśl podpisuję „Ciebrak”.



50 lat

**Wydawnictwo
Agora**

**Dziękujemy wszystkim naszym
czytelnikom i czytelniczkom,
autorom i autorkom,
tłumaczom i tłumaczkom,
ilustratorom i ilustratorkom
oraz współpracownikom
i współpracowniczkom za 20 lat
wspólnej pasji do książek.**

JESTEŚMY DLA WAS

CZYTAJ, ABY ZROZUMIEĆ!
WWW.WYDAWNICTWOAGORA.PL

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

A

jak
aferzysta

Ryszard Czarnecki startuje z drugiego miejsca na liście PiS w Wielkopolsce. Europoseł wypompał z Parlamentu Europejskiego 100 tys. euro nienależnych kilometrów i musiał zwracać pieniądze. W oświadczeniach dla

PE twierdził, że w zimie na posiedzenia dojeżdżał z Jasła (nie jego okręg) kabrioletem, który wcześniej został zezłomowany. Czarnecki oświadczył, że to błędy jego asystentów. Asystenci zeznali, że dokumenty podpisywał Czarnecki. Śledztwo się ślimaczyło, bo było pod nadzorem zaufanego człowieka ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

Jak to możliwe, że taki polityk nadal jest wystawiany w wyborach? Przecież to wstyd i dla Polski, i dla partii. Jednak Czarnecki potrafi zaczarować prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Prezes lubi, jak się ktoś przymila i kadzi. W PiS mówią, że najmocniej słabość Kaczyńskiego do Czarneckiego objawiła się przy okazji pogrzebu teścia europosła, jedynego polskiego kosmonauty gen. Mirosława Hermaszewskiego. Czarnecki zabiegał, by pogrzeb miał charakter państwowy z ceremoniałem wojskowym. Ówczesny szef MON Mariusz Błaszczak nie chciał się na to zgodzić, ale Kaczyński kazał mu życzenie Czarneckiego spełnić.

Decyzja wywołała oburzenie obozu PiS. Dariusz Matecki, obecnie poseł Suwerek w Polsce, zamieścił na platformie X apel: „Apelujemy do prezydenta Andrzeja Dudy oraz ministra Mariusza Błaszczaka o niedopuszczenie ceremoniału wojskowego wobec Bohatera Związku Radzieckiego, członka WRON, wiceprzewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. Ale to nic nie dało: Kaczyński kazał, asysta wojskowa była.

Miejmy nadzieję, że elektorat PiS-owski oszczędzi nam tej żenady i w Wielkopolsce wybierze do Parlamentu Europejskiego Wojciecha Kolarskiego, człowieka prezydenta Andrzeja Dudy, który znany jest pod wesołym pseudonimem „Kolargol”.

B

bankowiec
światowy

Jacek Kurski też oczarował prezesa, bo też jest mistrzem lizusostwa. Dostał drugie miejsce na Mazowszu za Adamem Bielanem. Panowie za sobą nie przepadają, mają porachunki z przeszłości.

Kurski przed wyborami jest nerwowo. Elektorat PiS za nim nie przepada. O ile budzący duże negatywne emocje poza żelaznym elektoratem Maciej Wąsik, Mariusz Kamiński czy Daniel Obajtek w wewnętrznych badaniach PiS zbierali dobre noty, o tyle Kurski był daleko za nimi w tyle. Co więcej, zajmuje ostatnie miejsce w rankingu zaufania do polityków (IBRIS dla Onetu). Ufa mu tylko niecałe 10 proc. badanych, nie ufa ponad dwie trzecie. To najgorszy wynik w zestawieniu.

A tak się starał. Gdy kierował TVP, oprócz tego, że serwował toporną propagandę i pełną nienawiści nagonkę na ówczesną opozycję, nieustannie promował samego siebie. Jednak część elektoratu PiS może i lubiła telewizję Kurskiego, ale zawirowania w jego życiu prywatnym mogły zniechęcić wyborców. Nieżyjący ks. Tadeusz Isakowicz-Zalewski – pryncypialny recenzent i ilustrator instytucjonalnego Kościoła – skrytykował drugi ślub kościelny Kurskiego, urządzony z wielką pompą w świetle reflektorów i z udziałem władz PiS.

Po wyrzuceniu z TVP Kurski załatwił sobie posadę w Banku Światowym. Gdy stał rząd Tuska, musiał wracać do Polski i błagać prezesa o miejsce na liście do PE. Na pytanie o powrót Kurskiego z Banku

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Europarlamentarny alfabet przedwyborczy

TE LITERKI POJADĄ (LUB NIE)
Z POLSKI
DO BRUKSELI

A jak aferzysta, H jak homofobia, O jak przekręt Orlenu.

A także: W – jak wierność Kościołowi Kosiniaka-Kamysza,
R jak rodzina PiS na swoim, P jak pożegnanie profesora Legutki

Dominika Wielowieyska



Światowego, szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek powiedział: „Mam nadzieję, że światowe rynki finansowe się od tego nie załamią”. Zaufany doradca Dudy też nie przepada za Kurskim, podobnie jak frakcja Mateusza Morawieckiego. Były premier powiedział, że działalność w TVP Kurskiego była „kulą u nogi” PiS. Dodał, że PiS wygrał wybory do sejmików bez pomocy telewizji państwowej, natomiast Kurski – zdaniem Morawieckiego – przez swój hejt aktywizował elektorat Koalicji 15 Października.

C jak czaszki

by się sam Kurski. Niemniej problem wpływów rosyjskich wokół PiS istnieje. Weźmy krąg osób dominujących w komisji weryfikacyjnej i likwidacyjnej WSI i w otoczeniu Antoniego Macierewicza.

- Tomasz L. szpieg rosyjski, zatrzymany w marcu 2022. Był archiwistą w urzędzie stanu cywilnego w Warszawie, którego od 2017 r. – zdaniem kontrwywiadu – prowadził jeden z rosyjskich agentów-dyplomatów. Tomasz L. miał wykradać i przekazywać Rosjanom dane personalne, które wykorzystywali do tworzenia fikcyjnych tożsamości;
- Józef Wierzbowski, szef Tomasza L. w warszawskim USC, który razem z Jakiem Sasinem przyprowadził tego agenta do komisji likwidacyjnej;
- Leszek Sykulski, który oskarża Kijów o wywołanie wojny z Rosją i promuje narrację Kremla;
- Bartosz Kownacki, były wiceszef MON, utrzymywał kontakty z krytycznymi wobec NATO, prorosyjskimi kręgami – twierdzą zachodnie media;
- Jacek Kotas pracuje dla spółek związanych z rosyjskimi oligarchami;
- Pułkownik Krzysztof Gajnzany z antyukraińskich i proputinowskich wypowiedzi.

D jak dyrdymały Kaczyńskiego

wypowiadane w kampanii wyborczej. Prezes PiS oświadczył niedawno, że w innych krajach UE do więzień wsadza się obywateli za stwierdzenie, iż dwaj mężczyźni nie mogą mieć dzieci.

„Polska będzie już nie państwem, tylko po prostu terenem zamieszkiwania Polaków” – to kolejna złota myśl prezesa. „Opcja europejska chce zniszczyć religię i zrobić z ludzi zwierzęta! Wolność na Zachodzie się cofa” – następny rarytas z przemówienia lidera prawicy. Na jednym z wieców na Mazowszu prezes stwierdził, zwracając się do Bielana i Kurskiego, że są jak żołnierze z wojsk jednorazowego przeznaczenia. Tłumaczył, że takich wojsk używa się tylko raz, ponieważ ponoszą tak ogromne straty, że później nie nadają się do dalszej walki. Uhonorowani mieli kwaśne miny. Prezes się zorientował, że coś jest nie tak, i szybko dodał, że życzy im długiego życia.

Przed posiedzeniem komisji śledczej ds. wyborów kopertowych Kaczyński pułkał w kostkę mikrofonową TVN24, mówiąc: „Sądzę, że tu jest zorganizowana grupa przestępcza”. Media, które są poza kontrolą PiS, nazwał „hitlerowskimi.”

– W Polsce są ludzie różnych poglądów. Każdy z nich powinien przy pomocy prostego urządzenia móc sobie przerzucać kanały telewizyjne – powiadomił wyborców na jednym ze spotkań. I przekonywał, że powinno istnieć „urządzenie”, dzięki które-

mu można by „w internecie swobodnie stykać się z różnymi poglądami”.

Pisaliśmy na Wyborcza.pl, że brzmiało to tak, jakby prezes dawno (nigdy?) nie korzystał z internetu i nie był świadomy, że jeśli ma się telefon, tablet albo komputer, nie potrzeba żadnego specjalnego urządzenia, by korzystać ze stron internetowych, forów czy mediów społecznościowych.

E jak Ex Bono z Opola, czyli ekipa Patryka Jakiego zakłada fundację

wystąpił już o zwrot części dotacji. Związek fundacji z wyborami europejskimi jest taki, że radna Suwerennej (Solidarnej Polski) Małgorzata Wilkos, która stoi za Ex Bono, jest bliską współpracowniczką europosła Patryka Jakiego.

Jaki ponownie startuje do PE. Ciekawe jest to, że aktywnie broni Funduszu Sprawiedliwości, ale jego koleżanka z partii, która też kandyduje, czyli Beata Kempa, nie jest tak wyrówna. Na konferencjach ziobrystów jej nie widać. Pewnie nie chce, aby ktoś kojarzył ją z tą aferą. Jaki jednak nie może się od tej historii odciąć, więc atakuje, że przez krytykę pod adresem fundacji zmarł jej prezes. „Będę namawiał rodzinę na pozwanie o wysokie odszkodowanie TVN-u i bodnarowców za tę nagonkę” – napisał w mediach społecznościowych.

Tymczasem prezes był krewnym radnej Wilkos z Solidarnej Polski. Radna reprezentowała publicznie Ex Bono, gdy fundacja znalazła się pod ostrzałem posła Witolda Zembaczyńskiego (KO), który jeszcze przed ujawnieniem raportu NIK mówił o „opolskiej ośmiornicy Solidarnej Polski”. A wuj był tylko podstawiony, by zatrzeć tropy prowadzące do ludzi Ziobry. Zresztą okazało się, że jego podpisy jako prezesa były podrabiane, ale prokuratura Ziobry nie mogła znaleźć osoby, która to robiła.

Morał: nie wciągaj wuja w swoje polityczne machinacje i nie zwalaj winy za śmierć starszego pana na tych, którzy te patologie ujawniają. Raczej uderz się we własne piersi.

F jak Fundusz Sprawiedliwości

teraz udostępnił te „taśmy prawdy” prokuraturze. A słyszymy na nich, jak ziobryści bez skrępowania opowiadają o swoich kłamstwach, kręactwach, oszustwach, a przy okazji obmawiają kolegów.

Afera pogrąża nie tylko ludzi Zbigniewa Ziobry, ale i PiS. Czy będzie miała wpływ na wynik partii Kaczyńskiego? Twardy elektorat pewnie pozostanie niewzruszony, ale mniej zdyscyplinowani i karni wyborcy Koalicji 15 Października mogą się trochę bardziej zmobilizować. A jak wiadomo, wynik – zwłaszcza w głosowaniach uważanych przez ogół społeczeństwa za rytualne czy mniej istotne – w dużej mierze zależy od stopnia aktywności najwierniejszej bazy wyborczej.

Fundacja Ex Bono, która otrzymała z Funduszu Sprawiedliwości kilka milionów, miała pomagać ofiarom przestępstw. Z raportu NIK wynika, że jakąś pomoc zaczęła świadczyć, ale później przerwała akcję, porzucając podopiecznych. Jej siedziba jest fikcyjna, odbierano tam tylko pocztę.

G jak gadżety wyborcze posła PiS Krzysztofa Szczuckiego

zł. Dodatkowo 120 tys. poszło na gadżety wyborcze i eventy. „Była kampania reklamowa i różne eventy, które promowały legislację, tak to się nazywało. Wszystkie miały miejsce w okręgu wyborczym pana Szczuckiego” – mówił premier.

H jak homofobia

zaczął krzyczeć do Zalewskiego „siadaj pan”.

Innym razem Waldemar Buda z PiS próbował w Polsat News zażartować z Krzysztofa Śmiszka i pytał, czy Robert Biedroń to jego „mąż, czy żona”. – Pan Śmiszek wie, co mówi, bo jego mąż czy żona, pan Biedroń, głosił za paktem migracyjnym – oznajmił. – Wie pan co, jest pan po prostu kretynem, homofobem i nie powinien pan występować w przestrzeni publicznej – odpowiedział mu Śmiszek, prywatnie od lat związany z liderem Nowej Lewicy Robertem Biedroniem.

– Kiedy oglądam barbarzyńców w rodzaju Czarnka i Budy, po chamsku poniżających swoich rozmówców, widzę jak głęboka i zasadnicza jest w dzisiejszej Polsce konfrontacja między Wschodem a Zachodem. To nie jest spór wyborczy – to wojna cywilizacji – napisał Tusk na platformie X.

I jak immunitety

ich przed zarzutami. Na liście są m.in. eks-prezes Orlenu Daniel Obajtek, Maciej Wąsik, Mariusz Kamiński, Ryszard Czarnecki. Prokuratura nie spieszy się, i słusznie. Lepiej, aby wnioski o uchylenie immunitetu były dobrze przygotowane i uzasadnione. To wszak będzie pierwszy krok do powstania aktu oskarżenia.

K jak kumoterstwo i kłótnie

Biedroń układał listy do Parlamentu Europejskiego i ułożył je tak, żeby pracę w Brukseli zyskali: Robert, jego partner Krzysiek i bliska koleżanka Joanna. Chodzi o Śmiszka i Joannę Scheuring-Wielgus. Biedroń zaprzecza: listy były zatwierdzone przez całe kierownictwo Lewicy jako efekt kompromisu pomiędzy środowiskami ją tworzącymi.

Nie obyło się też bez kłótni na Śląsku. Ostatecznie europoseł Łukasz Kohut ewakuował się z Lewicy i zameldował się na listach KO. Z kolei Marek Bałt zaatakował kandyda-

Premier Tusk poinformował, że były szef Rządowego Centrum Legislacji zatrudnił sześć osób, które nie świadczyły żadnej pracy, nie logowały się nawet na komputerach. Natomiast pracowały na rzecz kampanii Szczuckiego. W ciągu kilku miesięcy wypłacono m 900 tys.

W programie „Śniadanie Rymanowskiego w Polsat News i Interii” Przemysław Czarnek nazwał Roberta Biedronia „zdegenerowanym złowikiem”. W geście protestu studio opuścił Paweł Zalewski z Trzeciej Drogi. Czarnek

ta Razem Macieja Koniecznego, wypominając mu przeszłość, m.in. alkoholizm.

Konieczny odpowiedział: „Jestem trzeźwym alkoholikiem. Nie piję już od 20 lat. Setki tysięcy osób zmaga się w Polsce z chorobą alkoholową. Wielu waha się w tym momencie, czy podjąć terapię. Zenujące obelgi z pewnością nie pomagają. Warto sięgać po profesjonalną pomoc. Z tego da się wyjść”. W mediach społecznościowych zyskał wiele głosów wsparcia, a Bałt zebrął krytyczne opinie. Przyczyna tej wymiany zdań jest prosta: Konieczny zajął miejsce Bałta na liście do europarlamentu.

L jak Liban

polska firma tej ropy nigdy na oczy nie zobaczyła. Pieniądze wyparowały.

To Obajtek postawił na czele szwajcarskiej spółki OTS Samera A. mimo ostrzeżeń wewnętrznych służb bezpieczeństwa Orlenu — ustalił Onet. Służby wskazywały na podejrzenia o kontakty Libańczyka z Hezbollahem i jego zamieszanie w nielegalny obrót ropą z Iranu. Samer A. wszystkiemu zaprzecza, czuje się polskim obywatelem, który jest prześladowany. Faktem jest jednak, że OTS wpłacił, wbrew standardom rynkowym bez żadnych zabezpieczeń, zaliczki na konto pośredników, z którymi wcześniej nie współpracował. Chodziło o zakup ropy naftowej i produktów ropopochodnych głównie z Wenezueli.

Obajtek twierdzi, że strata 1,5 mld to wina obecnych władz Orlenu. Jednak ropa miała pojawić się u nas na przełomie 2023 i 2024 roku, a statki przypłynęły puste. Zaś potężny faworyt Kaczyńskiego zarządzał paliwową spółką do końca lutego, w kluczowym momencie to on odpowiadał za to, co w niej się dzieje. Rząd Tuska powstał zaś bardzo późno, bo prezydent Andrzej Duda najpierw powierzył misję tworzenia rządu Morawieckiemu. Nowa ekipa nie miała szans zapobiec stratom.

M jak ministrowie

Hetman. Zostawiają niedokończone projekty i rozgrzebane sprawy. Co więcej, wcześniej niektórzy zapewniali, że do Parlamentu Europejskiego się nie wybierają. Sienkiewicz wręcz określał europarlament mianem cmentarzyska politycznych słoni.

Rotacja jest nie do końca zrozumiała dla opinii publicznej, a Koalicja Obywatelska nie była w stanie wyprodukować przekonującej opowieści, dlaczego ta zmiana warty jest potrzebna. Od biedy można sobie tłumaczyć wyjazd Sienkiewicza faktem, że został oddelegowany do ryzykownej akcji z przejęciem TVP z rąk PiS, misję wypełnił, więc resort można było przekazać pod kontrolę Hanny Wróblewskiej, która jest znaną postacią w świecie kultury. Aby twórcy i artyści mogli mieć poczucie, że ministerstwo jest niejako w ich rękach.

N jak niewidoczni

Ojczysty kraj Samera A., do niedawna szefa szwajcarskiej spółki Orlenu, która miała handlować ropą. A tak handlowała, że zapłaciła m.in. 25-letniemu Chiriczukowi z Dubaju ponad 1,5 mld zł, ale

Wspominałam o Beacie Kempie, która zanikła w kampanii, ale u wielu kandydatów oraz kandydatek obserwujemy brak wyrywności politycznej. Przyczyną może być Pegasus.

Osoby te miały go w telefonie lub kontaktowały się z kolegami, którzy byli inwigilowani. I teraz drżą, że nastąpi jakiś przeciek dotyczący ich życia prywatnego. Siedzą cicho, nie atakują nadmiernie Koalicji 15 Października.

Oficjalnie wiemy, że wezwania do prokuratury w charakterze świadków w śledztwie dotyczącym nadużyć Pegasusa dostali Ryszard Terlecki, Krzysztof Sobolewski, Marek Suski, Dawid Jackiewicz, Jan Krzysztof Ardanowski i Marek Kuchciński. Ale to nie musi być pełna lista, a poza tym posłów PiS podслуchiwano nie tylko za pomocą Pegasusa.

O jak obchody Dnia Strażaka

Ówczesny szef MSWiA Marcin Kierwiński chciał wygłosić wzniosłe przemówienia na cześć strażaków, ale jego mowa była dość dziwna. Niektóre sylaby zniknęły, można było odnieść wrażenie, że minister ma problemy z mówieniem. Fani

PiS w mediach społecznościowych zawyrokowali, że jest pod wpływem alkoholu.

Minister, widząc falę komentarzy, pojechał na policję i zbadał trzeźwość alkomatem. Wyjaśniał, że był problem z nagłośnieniem. Wiele komentujących nie dawało jednak wiary wynikom badania, nie przekonywało ich to, że godzinę później Kierwiński występował przed kamerami i było oczywiste, że jest trzeźwy. Dwóch Sherlocków Holmesów z Suwerennej Polski, czyli Janusz Kowalski i Sebastian Kaleta, wyruszyło na posterunek policji, by sprawdzić, czy faktycznie badanie miało miejsce. I odkryli, że wszystko się zgadza: Kierwiński był, nazwiska policjantów są prawdziwe. Po jakimś czasie w mediach społecznościowych można było obejrzeć – m.in. na profilu dziennikarza Radia Zet Mariusza Gierszewskiego – filmik, na którym jeden z szefów straży pożarnej pasował podwładnych w tym samym miejscu i jego głos brzmiał równie dziwnie jak Kierwińskiego.

Tusk na X w dniu badania alkomatem: „Boska Iga 2:1 (Królowa na długo), moja Lechia 3:0 (prawie ekstraklasa), no i Kierwiński O.O. Magiczny wieczór.

P jak pożegnania

To niesamowite, że takie postaci, jak prof. Ryszard Legutko – jeden z najbardziej cenionych przez preza PiS intelektualistów – czy prof. Zdzisław Krasnodębski zostali

przez Kaczyńskiego odstawieni na boczny tor, a Czarnecki czy Dominik Tarczyński, znany z prostackich odzywek i knajackiego języka, a na pierwszej linii. Znak czasu: w taką właśnie stronę zmierza PiS.

R jak rodzina

A konkretnie rodzina europosła PiS Grzegorza Tobiszowskiego. Nowogrodzka mu nie dała miejsca na listach, bo mówiło się, że „jest kojarzony” ze sprawą swojej partnerki Tatiany A., która w październiku 2022 r. została aresztowana pod zarzutem płatnej protekcji. Ale potem wyszło na jaw, że europoseł ma co nieco na własnym sumieniu. Onet ujawnił wstrząsające nagrania, które pokazują, jak pastwił się nad partnerką. Wcześniej stosował przemoc wobec żony, senatorki PiS. Miał ją nazywać „dziwką” i „downem” oraz groził, że „zniszczy ją jak pluskwę”. Tobiszowski w wulgarny sposób wyzywał i obrażał także Tatianę A. oraz jej dzieci. Kobieta wezwała policję. Europoseł w szale demolował przedmioty.

Przed związkiem z Tatianą A. Tobiszowski był przez wiele lat żonaty. W maju 2019 r. jego żona Dorota wniosła o rozwód z powodu awantur i agresywnych zachowań męża. W tym samym roku z sukcesem startowała do Senatu z poparciem PiS. Obecnie jest radną sejmiku województwa śląskiego.

W PiS to normalne, że żony lub były żony przychodzą się skarżyć na małżonków do Kaczyńskiego, a prezes na pocieszenie daje miejsca na listach do parlamentu lub samorządu, aby zapewnić im jakiś dochód. To się nazywa polityka prorodzinna. A prezes jest jak dobry ojciec, który zamiata afery rodzinne pod dywan.

S jak samoloty

cyjny. Otóż nie parkingi dla samochodów będą w przyszłości problemem, ale lotniska, na których Polacy będą trzymać swoje samoloty. To wizja prezydenta Andrzeja Dudy.

– Jeżeli będziemy się rozwijali i będziemy coraz zamożniejsi, to coraz więcej ludzi nie tylko będzie chciało korzystać z transportu lotniczego, ale proszę państwa, będzie miało

swoje samoloty, będą potrzebowali miejsc, gdzie te samoloty będą mogły być parkowane – powiedział prezydent w Koninie, gdzie wspierał kampanię swojego współpracownika Wojciecha Kolarskiego.

Tusk nie przepuścił okazji. Na platformie X napisał: „Pan Prezydent dodaje skrzydeł. I to ile!”.

T jak turbo- wpadka kandydatki PiS

Beaty Szydło, która pograżyła macierzystą partię. Była premierka oświadczyła, że Tomasz Szmydt, który uciekł na Białoruś, mógł być agentem Łukaszenki za poprzednich rządów Tuska. Wobec tego jak to możliwe, że agent został zatrudniony w resorcie sprawiedliwości? Jako bohater afery hejterskiej był tam wiernym żołnierzem Ziobry. Jak to możliwe, że przez osiem lat nie został wykryty? To by oznaczało, że nasze służby specjalne są nieudolne. Inna sprawa, że to, iż służby już pod kontrolą obecnej ekipy pozwoliły Szmydtowi wyjechać, też o nich dobrze nie świadczy. Choć można obecny rząd usprawiedliwiać tym, że działa stosunkowo niedługo i nie miał dość czasu, by uporządkować bałagan po PiS.

U jak utrata pamięci przez pośła Suwerennej Polski

Dariusza Mateckiego. Portal Szczecińskie24.pl dostawał pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, choć te środki miały być na pomoc ofiarom przestępstw. Ale ziobryści używali ich do budowy swojego zaplecza medialnego i jednym z przykładów jest właśnie ten portal.

Matecki na platformie X tłumaczył, że absolutnie nikt tam go nie promował: „Jedyna promocja jaka była na tym portalu to promocja Funduszu Sprawiedliwości, w tym możliwości uzyskania pomocy”. Dziennikarze „Wyborczej” pokazali jednak, że promował – portal zamieszczał jego tweety w całości. A Sebastian Klauziński z Oko.press przypomniał tytuły z tego portalu: „Solidarna Polska walczy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków”; „Szczecin: Solidarna Polska wysłała voucher na kurs strzyżenia psów dla Donalda Tuska”; „Skuteczna interwencja radnego Mateckiego. Miasto usunie pomnik rosyjskiej okupacji?”;

„Nieznani sprawcy oblali farbą pomnik z sowieckim żołnierzem. Matecki oferuje bezpłatną pomoc prawną”; „Frasyniuk nazywa polskich żołnierzy „śmieciami”, „psami”. Jest mocna reakcja fundacji Mateckiego”.

W jak wierność Kościołowi

PSL na czele z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, wspomagany przez część konserwatywną Polskę 2050, blokuje wiele projektów światopoglądowych. Chodzi m.in. o ograniczenie religii w szkołach do jednej godziny oraz związki partnerskie. Kosiniak pamięta, jak PiS przypiął mu łatkę „tęczowego” Władka, bo jego ludzie w poprzednich wyborach europejskich startowali na liście razem z reprezentantami lewicy. Teraz Trzecią Drogę w słuszności obecnej strategii utwierdziły ostatnie wydarzenia w Warszawie: prezydent stolicy Rafał Trzaskowski wydał decyzję, że krzyże nie mogą wisieć w urzędach. I w ostatnim rankingu Onetu zaliczył najwyższą spośród polityków stratę zaufania.

Niemniej po wyborach może uda się coś ustalić w sprawie związków partnerskich, bo strach przed proboszczami osłabnie.

Z czyli złote, a skromne

W Orlenie odnaleziono złotą komnatę. Tajny gabinet Obajtka, do którego dostęp mieli tylko nieliczni pracownicy spółki. W luksusowym pokoju, pełnym złota i kosztownych mebli prezesu concernu miał przyjmować gości m.in. z Arabii Saudyjskiej. – Wnętrze zostało dopasowane do rangi spotkań – tłumaczyli byli współpracownicy Obajtka. ●



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

REKLAMA

Kraj/34320161

JAK PRZETRWAĆ Z DZIECKIEM W MIEŚCIE?

„Ta lektura przypomina nam dobitnie, że przestrzeń, w której żyjemy, i przepisy rządzące naszym życiem zawsze ktoś musi zaprojektować. I że proces tego projektowania ciągle nie spełnia podstawowej zasady uniwersalności – a to oznacza, że świat, w którym żyjemy, nie jest dla wszystkich. Sposób jego organizacji uwzględnia tylko mniej więcej połowę populacji. To trochę mało.

FILIP SPRINGER
pisarz, fotograf

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

1RP

Aleksander Kwaśniewski o przyszłości Unii, Ukrainy i demokracji

MY, LUDZIE, JUŻ NIE NADAŻAMY

Z ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM ROZMAWIA JAROSŁAW KURSKI



• Rok 1996, świeżo wybrany prezydent Aleksander Kwaśniewski obchodzi Dzień Dziecka FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ojciec nas uczył, że to, co można wynieść z zawieruchy wojennej, to nie obrazy czy meble.

JAROSŁAW KURSKI: PZPR, był na-czelnym Sztandaru Młodych, „ITD”, ministrem od młodzieży i sportu. Cudowne dziecko reżimu. My w opozycji antykomunistycznej patrzyliśmy na pana z moralną wyższością, a niekiedy z pogardą.

Potem mój szef się z panem poklepywał przy okrągłym stole, na „Ty” przechodził... Bardzo mnie to złościło. Kompromis kompromisem, ale po co zaraz się bratać. Nie byłem zwolennikiem prezydentury Lecha Wałęsy, ale pana zwycięstwo – to był dramat. Rekomunizacja. Do tego drugą kadencję wygrał pan w pierwszej turze.

I oto paradoks. Okazał się pan najlepszym prezydentem powojennej Polski. Najwięcej pan dokonał: Konstytucja, NATO, Unia Europejska. A prawdziwą rekomunizację zafundował nam PiS. Los okrutnie z nas drwi...

W 1974 r. jako 20-latek odbył pan dwie podróże – do Londynu i drugą do Moskwy. Z jakimi wrażeniami wrócił z obu stolic?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: Zderzenie dwóch światów. W Londynie mieszkalem u znajomego rodziców, który był technikiem w fabryce Rovera. To była taka wyższa klasa robotnicza. Mały domek z ogródkiem, samochód, wakacje za granicą. Jak się z tym porównało poziom życia polskiego robotnika, to widać było, że w przodującym ustroju coś nie gra.

Do Moskwy to był wyjazd studencki. Mieszkaliśmy w hotelu Inturist w ośmiopokojowych pokojach, łazienki na korytarzach, brak toalet, tylko tzw. stopy Lenina. Straszliwa opresyjność, kontrole na każdym kroku od lotniska poczynając. Odpychający świat. I świadomość, że mocą decyzji wielkiej jałtańskiej trójki Churchilla, Roosevelta i Stalina my się z tego nie wyrwiemy, że trzeba w tym żyć i zmieniać, na ile się da.

Można było jeszcze zwać na Zachód albo włączyć się w działania demokratycznej opozycji.

– Uciekać nie chciałem. Byłem już mocno zakochany w Jolancie.

W drużynie Jolancie, mojej zuchmistrzyni ze szkoły nr 66 w Gdańsku-Wrzeszczu. Ja pierwszy się w niej kochałem, zanim jeszcze w ogóle dowiedziała się o pańskim istnieniu.

– Rzeczywiście, Jola pracę wychowawczą zaczęła na braciach Kurskich, ale do dzisiaj kontynuuje ją na mnie. (śmiech)

Węc zamiast opozycji wybrał pan Socjalistyczny Związek Studentów Polskich.

– Działalem w komisji kultury Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Robiliśmy wiele wartościowych rzeczy. Raz chcieliśmy nawet zrobić spotkanie z Kisielcem. On był sceptyczny. Twierdził, że to się nie uda. I rzeczywiście – władze nam tego zabroniły. Co do opozycji, to ona zaczęła być obecna po 1976 r., ale nie rozważałem zaangażowania się. Ja zacząłem studia za wczesnego Gierka. Liberaliza-

cja wydawała się możliwa. Ciągłe mieliśmy nadzieję.

Porównuję nasze domy i nie widzę wielkich różnic. Pana rodzina została przesiedlona z Wilna. Dziadek nigdy się z tym nie pogodził. Zamieszkał w Białymstoku, bo... bliżej domu. Mama, prawosławna, bez resentymentu antyrosyjskiego, ale i bez złudzeń...Pan poznawał świat, a myśmy tkwili w okopach Świętej Trójcy. Próbuję zrozumieć skąd akces do PZPR młodego Olka Kwaśniewskiego.

– Wychowywaliśmy się z babcią, która co tu kryć, była antybolszewicka. Przeżyła wszystkie możliwe wojny od rosyjsko-jaapońskiej, rewolucję, po II wojnę światową, która rodzinę dotknęła najbardziej. Z Wilna wyjechali z jednym czemadanem. Z jednej strony był to szacunek dla kultury rosyjskiej – nie uważam, że należy ją dziś wymazać z naszej edukacji – a z drugiej – strach. Ojciec bał się imperializmu rosyjskiego, czy radzieckiego. Bał się tej brutalnej opresji, w której jednostka jest niczym.

Po tych przejściach nasza rodzina nie chciała i nie umiała się nigdzie zakotwiczyć.

Ojciec miał prywatną praktykę lekar-
ską.

– Tak, powodziło nam się nieźle, ale ni-
gdy na przykład nie wykupił mieszkania,
nie kupił ziemi w Białogardzie. Miał sil-
ne przekonanie, że to, co można wynieść
z zawieruchy wojennej, to nie obraży czy
meble, tylko to, co masz w sobie. Wy-
kształcenie, więzi rodzinne i przyjaciel-
skie. Tylko to da się uratować z pożogi.

Jak słyszał, że chcemy z siostrą studio-
wać ekonomię albo literaturę, to się pukał
w czoło. Chciał, żebyśmy zostali lekarza-
mi. Ja nie uległem – od dziecka miałem
uraz do lizolu, do szpitalnych zapachów,
ale siostra mimo miłości do teatru uległa,
została okulistą, zresztą znakomitą.

Te wyobrażenia ojca zderzają się z no-
woczesnością. Po jego śmierci zostało pa-
pierowe archiwum medyczne z danymi
pacjentów — dla niego bezcenne. Niko-
mu niepotrzebne w dobie cyfryzacji. Mu-
sieliśmy je niszczyć nożyczkami z uwagi
na ochronę danych osobowych. Żadna bi-
blioteka nie chciała też przyjąć za darmo
jego wspaniałego medycznego księgo-
zbioru. Gdy znalazła się w końcu taka in-
stytucja – w Kijowie zresztą, to wybuchła
wojna. Ostateczny dowód na to, że nie
należy przywiązywać się do rzeczy mate-
rialnych.

Co pan chce przez to powiedzieć? Że
nasz świat się kończy, że dorobek poko-
leń idzie do diabła?

– Jeśli chodzi o wymiar materialny, to
w dużej części tak. A aksjologicznie, je-
steśmy na poważnym zakręcie, u progu
nowej epoki, której my już nie rozumie-
my. Sama zmiana jest stałą, ale jej tempo
jest bezprecedensowe. Człowiek jest isto-
tą inercyjną. Nie nadążamy. Ten szok i za-
gubienie ludzkie wykorzystują współcze-
sne populizmy.

**Bezradność wobec złożoności świata,
to jest znakomite środowisko na snucie
prymitywnych diagnoz, spiskowych
teorii i uproszczonych odpowiedzi.**
Inna sprawa, że nie znamy odpowiedzi
na przykład na to, co oznacza dla naszej
przyszłości sztuczna inteligencja. Jakie
niesie zagrożenia, jak odmieni nasze ży-
cie.

Będzie stawiać bezbłędne diagnozy
medyczne, spychając wspaniały, Judy-
mowy dorobek pańskiego ojca w ot-
chłań anachronizmu.

Akurat w medycynie AI sprawdzi się naj-
lepiej, agregując doświadczenia milionów
przypadków i aplikując optymalne lecze-
nie.

Ale ludzi pozbawi to innowacyjności,
rozleniwi i zamieni w udomowione
koty. Porzućmy tę dygresję...

– Chcę się jeszcze wytłumaczyć z mo-
ich wyborów. Można je nazwać oportuni-
zmem, albo pragmatyzmem. Jak spojrzę
na całe swoje życie, to myślę jednak, że
dość kreatywnie działałem i wykorzysta-
łem swoją szansę, tak w latach 80., przy
Okrągłym Stole, który był wielkim przeło-
mem, jako lider lewicy itd.

Moja prezydentura przypadła na ko-
niec ery optymizmu na świecie. Wydawa-
ło się, że po upadku ZSRR możliwości są
nieograniczone, że NATO i UE stoją przed
nami otworem. Tymczasem Big Bang —
czyli wielkie rozszerzenie UE w 2004 r, to
była ostatnia chwila. Potem były już same
nieszczęścia. Kryzys Lehman Brothers,
kryzys migracyjny, pandemia i agresja ro-
syjska na Ukrainę. Wykorzystaliśmy ten
czas. Była dobra emocja społeczna. Chcia-
ło się nam mieć i zabiegać o demokrację.

Gdy przekazywałem urząd Lechowi
Kaczyńskiemu, poprosiłem go na rozmow-
ę w cztery oczy, by powierzyć mu kil-
ka poufnych spraw. Wtedy Leszek mówi:
– Olek, ty miałeś takie szczęście, że wpro-
wadziłeś nas do NATO, do Unii, jest Kon-
stytucja. A co ja mam teraz robić? Co ra-
dzisz? Ja na to: – Trzeba tę naszą obec-



• Czerwiec 1989, Aleksander Kwaśniewski i Adam Michnik w Sejmie

FOT. PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ność w obu strukturach wzmacniać. Nie
można tego spier...

Przekazałem urząd, ale historia poka-
zała, że wszystko da się spier...

Ale to bardziej brat bliźniak spier....

– Tak, ale, rzekłbym, że to niezauważalna
różnica, przynajmniej dla oka.

Pesymista mówi: – Gorzej być nie może.

A optymista: – Ależ może, może!

– Tak to było. Szczęściu trzeba pomóc.
Nam się wtedy udało.

**W tym znaczeniu uważam pana za
zmarnowany potencjał. Od niemal 20
lat jest pan na prezydenckiej emerytu-
rze. Niewielki z pana pożytek.**

**Najważniejszy dzień w życiu prezy-
denta? Zresztą znam odpowiedź: zwy-
cięskie referendum akcesyjne do Unii
Europejskiej 8 czerwca 2003 r. Pan to
plusuje w ciągu: chrzest Polski, odzy-
skanie niepodległości w 1918 r. i wstą-
pienie do Unii. Minęło 20 lat, jak pan
widzi Unię po tych 20 latach?**

– Mamy okres chaosu. Ameryka chce
utrzymać pozycję światowego lidera. Chi-
ny chcą zostać nim zostać. Imperialna Ro-
sja chce na powrót zostać Wielką Rosją.
Indie też mają swoje ambicje, a Europa
zastanawia się co z tym wszystkim zrobić.

Zagrożone jest bezpieczeństwo, w tym
energetyczne. Innymi słowy, co zrobić,
jeśli Putin szybko nie przegra, a wiado-
mo, że szybko nie przegra? Co, jeśli Chiny

To, że PiS uzyskuje ciągle te swoje 30 proc.
twardych głosów, jest zbawieniem dla koalicji.
Bez niego zabraknie elementu jednoczącego,
dyscyplinującego

– To ma być komplement? Ja to odrzu-
cam. To ahistoryczne. Szanse się wyko-
rzystuje, gdy się pojawiają. Kiedyś Jani-
na Paradowska mi powiedziała, że ja za
wcześnie zostałem prezydentem.

No i za wcześniej pan skończył.

– Mamy zasadę dwóch kadencji. Sam ją
wpisałem do konstytucji i uważam za
błogosławieństwo. Pamiętam moje poże-
gnanie u prezydenta Busha w 2005 r. On
mnie komplementował i namawiał, bym
został jeszcze jedną kadencję. Ja na to, że
to niemożliwe, bo konstytucja zabrania.
A Bush: – A co za idiota ją pisał? – Z tym
idiotą, to uważaj – odpowiedziałem – bo
siedzi naprzeciwko ciebie.

**Mój komplement ma rewers. Chodzi
mi o ostatnie osiem parszywych lat.
Tu wszystko się waliło. Tusk wrócił do
gry, a pan się ograniczał do komenta-
rzy.**

– Ale różnica między mną a Tuskiem po-
legała na tym, że Tusk z polityki nie wy-
chodził, a ja wyszedłem. W 1995 – z par-
tyjnej, a w 2005 – w ogóle.

**Nie korciło, żeby wrócić? Przecież dep-
tano wszystkie osiągnięcia pańskiej
prezydentury, demokrację, konsty-
tucję, nasze więzi transatlantyckie
i przynależność do UE.**

– No nie. Wypowiadałem się, wspierałem
moją formację... bolesny temat.

Dobrze, że był ktoś, kto dysponował
większymi aktywami niż ja.

wkroczą na ścieżkę bardziej agresywną?
Dziś wykazują się konfucjańską cierpli-
wością, bo wojna im sprzyja i osłabia kon-
kurentów – Amerykę i Rosję. Ale gdyby
Chiny zaatakowały Tajwan, to jaka mia-
łaby być odpowiedź Zachodu? Nałożenie
sankcji na chińskie towary byłoby aktem
samobójczym, bośmy się tak od nich uza-
leźnili, że nawet maseczek covidowych
nie umieliśmy wyprodukować.

Zmiany klimatyczne spowodują nasile-
nie migracji do Europy — tej strefy stabi-
lizacji i dobrobytu, powodując niepokoje.

I ostatni element: zmiany technologicz-
ne, które rujnują dialog polityczny, mamy
obieg fałszywych informacji, farmy trolli
i ich wpływ na wybory – wszystko to wpy-
cha demokrację w kryzys. Populiści będą
to wykorzystywać.

**Uda im się? Hitler też marzył o zjed-
noczonej Europie, tylko bez Żydów
i komunistów.**

– Wierzę, że nawet jeśli po wyborach eu-
ropejskich oni umocnią swoją pozycję, to
nie na tyle, by zdominować chadeków, li-
berałów, socjaldemokratów i zielonych.
Ale demokraci muszą zmienić język, za-
dbać o siły obronne UE, sformułować ja-
sną i asertywną politykę migracyjną,
uniezależnić się od Chin i — najważniej-
sze – mieć sensownych, wiarygodnych li-
derów.

**Obrzydzanie Unii w Polsce daje zatrute
owoce. Poparcie Polaków dla niej spa-
da.**

– Bo wychodzimy ze stanu afektu miło-
snego wobec Unii i przechodzimy na po-
zycje bardziej dojrzałe. Ale gdyby PiS
chciało zrobić referendum polexitowe,
to nie mają szans, by je wygrać, ani te-
raz, ani w najbliższych latach. Mamy też
przykład Camerona, jak niebezpieczne
jest wypuszczenia antyeuropejskiego dži-
na z butelki. On myślał, że to opanuje,
a skończyło się brexitem. Ten pisowski ję-
zyk kłamstwa w sprawie UE jest w dłuż-
szym wymiarze groźny.

Dziś mamy mocne atuty w Unii: rząd,
który się nie odwraca plecami do Euro-
py, nie siedzi w kącie. I mamy dwóch za-
wodników wagi ciężkiej: Tuska i Sikor-
skiego, którzy świetnie wypadają na
tle większości premierów i ministrów
spraw zagranicznych. To są prawdzi-
wi *statemani*.

Martwi mnie zbyt mało odważnych
polityków, którzy umieliby bronić spraw
niepopularnych, ale potrzebnych np. Zie-
łonego Ładu.

**Rząd Mateusza Morawieckiego w 2021
r. głosował za „prawem klimatycznym”,
na którym opiera się Zielony Ład, ale
teraz były premier jeździ na zjazdy
antyeuropejskich nacjonalistów i mówi
coś przeciwnego.**

– Ręce opadają. Całe życie starałem się
uprawiać politykę profesjonalnie. Nie
da się robić takich akrobacji, że z jednej
strony pomagamy Ukrainie i ostrzegamy
przed rosyjskim imperializmem, a z dru-
giej wspieramy prorosyjską, proputinow-
ską, antyeuropejską i antypolską polity-
kę Orbana. Spotykam się z Salviniem, Le
Pen itd. to odzieranie polityki z wszel-

kich wartości. Czysty cynizm — rozbija-
nie Unii, tylko dlatego, że domagała się
w Polsce praworządności.

**Morawieckiemu brak poczucia tra-
gizmu historii, pamięci grozy wojny,
która zaraz może się powtórzyć? Nie
rozumie, że żyjemy w czasach przed-
wojennych. W starych albumach są
zdjęcia beztrioskich plażowiczów
w Gdyni z 31 sierpnia 1939 r. Przecież
wojna toczy się już u naszych granic.**

– Niestety w Polsce i na świecie zmienił
się paradygmat wygrywania wyborów. Za
moich czasów, żeby wygrać, trzeba było
przesuwać się do środka. Łagodzić kan-
ty. Od początku naszego wieku odpowie-
dzią na czasy kryzysu stała się polary-
zacja. Wyznaczamy linię demarkacyjną,
stygmatyzujemy przeciwników, nazywa-
my ich zdrajcami, agentami, migrantami,
pierwotniakami, pasożytami.

Efekty tego są fatalne. Głębia podzia-
łów w społeczeństwie amerykańskim jest
bezprecedensowa. Ponadpartyjny kom-
promis w USA już nie istnieje. W Polsce
też. Z tego może być wielki kłopot, bo UE
zbudowana jest na kompromisie. Jeśli za-
stosujemy w niej koncept polaryzacyjny,
to nie przetrwa. Eksploatowanie różnic
i podziałów przy 27 członkach UE, a jesz-
cze czeka nas rozszerzenie — to droga
donikąd. Dialog, kompromis i wewnętrzna
demokracja — to są fundamenty Unii.

**To może, odpowiedzią jest jeszcze
większa integracja?**

– Nie odrzucam idei federacji i zjednoczonych stanów UE, ale jest na nią jeszcze za wcześnie i nie wierzę, bym dożył takiego momentu. Dziś mówienie o federacji wzmacnia jedynie populistów.

Jest jeszcze jedna różnica: 20 lat temu Jan Paweł II poparł wstąpienie Polski do Unii, ale dziś polski Kościół o Europie mówi głosem Radia Maryja.
– Jan Paweł II zgasił protest najbardziej konserwatywnego skrzydła Kościoła. To było okropne: wiece, krzyki, gwizdy, syreny, rozdieranie szat, że Targowica i wyprzedaż Polski. Słynne stwierdzenie papieża, że Europa potrzebuje Polski, a Polska Europy i od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej zamknęło temat i pomogło w referendum.

A w sumie, jaka była alternatywa? Pozostanie w szarej strefie, jako państwo buforowe? Status Finlandii czasów zimnej wojny? Przykład Ukrainy pokazuje, że to nie działa, a nawet kończy się wojną.
– Minister Krzysztof Skubiszewski powiedział, że Polska ma dwie drogi: albo idzie do Moskwy, albo do Brukseli. Potrzebowaliśmy stworzyć fundamenty, wtedy powstały te trzy filary: demokracja — musiała mieć konstytucję; bezpieczeństwo — musiało mieć NATO, a rozwój gwarantowała UE. I papież to rozumiał.

Pan ciągle uważa, że Kościół to instytucja, która porządkuje życie moralne Polaków? Jakbym słyszał mojego szefa Adama Michnika?
– W Polsce utarło się stwierdzenie, że ktoś jest wierzący, ale niepraktykujący. A ja pozostałem niewierzący, ale praktykujący (*śmiech*).

Otworzę osobisty nawias. Przeczytałem gdzieś, że wzięł pan z druhną Jolantą ślub w prezydenckiej kaplicy.
– Nie, to nieprawda. Arcybiskup Głódź bardzo się o to starał. Chciał nas dodać do swej kolekcji. Żona miała takie wahania, „a może by....”. Ja jej na to: Joluś, zobacz, jak jest dobrze. Nie ryzykujemy. Możemy to tylko zepsuć.

Jeśli można osobistą harcerską radę dać, nie wiem, na czym ta fizjologiczna osobliwość się zasadza, ale od biesiad z abp. Głodziem psują się panu golenie.
– Ale to nie tylko abp. Głódź, to całe towarzystwo biskupie biesiadowało

I nadal pan uważa, że Kościół jest narodowi potrzebny?
Zastosował pan duuuuży skrót myślowy (*śmiech*). Ale na serio, uważam, że historycznie Kościół był i jest potrzebny, ale znalazł się na straszhwym zakręcie. Nie rozumie nowych czasów. Nie wejrzał w siebie. Są też problemy doktryny, które wpędzają go w kryzys. Myślę o celibacie.
Dochodzi do ciekawych paradoksów. Uczestniczyłem w debacie z Krzysztofem Zanussim, Tomaszem Terlikowskim i Adamem. Rozumiem, że u zaangażowanych katolików działa dodatkowo efekt rozczarowania, ale nagle się okazało, że jedyni, którzy mają dla kościoła dobre słowo, to Michnik i Kwaśniewski.

No to wróćmy, do kryzysu lewicy.
– Miałem nadzieję, że może nie zdążymy.

Przez 10 lat lewica miała prezydenta, kilku premierów, wielkie osiągnięcia. A teraz? No dramat jest.
– Ja się cieszę, że istnieje. Dzięki uporowi i zdolności dogadywania się Włodzimierza Czarzastego lewica w ogóle weszła do parlamentu. Dziś jest na poziomie 8 proc., to cieszyć nie może. Cóż, Polska jest krajem konserwatywnym.

Ale gdy pan wygrywał w pierwszej turze, Polska też była krajem konserwatywnym.



• Lipiec 2022, Aleksander i Jolanta Kwaśniewscy na spotkaniu Komitetu Obrony Demokracji w Pabianicach FOT. MARCIN STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Ale wtedy dysponowaliśmy niesamowitym składem kadrowym. Miałem w klubie parlamentarnym 60 osób, z których mógłbym sformować dwa rządy. To było pokolenie wyjątkowe, tuż powojenne, niezwyczajnie pracowite: Miller, Oleksy, Cimoszewicz, Belka, Waniek, Sierakowska, Borowski, Szmajdziński, Blida, Bańkowska, Łybacka, a przecież byli jeszcze poza Sejmem Kołodko, Rosati, Hausner, Hübner... mógłbym długo wymieniać.
Kryzys lewicy jest nie tylko w Polsce. SPD w Niemczech jest w kłopotach. Premier Sanna Marin, młoda gwiazda lewicy fińskiej przegrywa wybory. Francja słabo, Włochy słabo, Hiszpania tylko nieźle. Jest światełko nadziei, że najbliższe wybory 4 czerwca w Wielkiej Brytanii wygrają laburzyści.

– Ciągnie za sobą bagaż przyszłości. PZPR to była jednak partia władzy. Jednocześnie wymiera generacja, dla której SLD było jedyną partią broniącą ich godności. Ale przychodzą młodzi, wykształceni, wolni od tych obciążeń. Jednak to nie będzie proste, bo jednocześnie młode lewe skrzydło Platformy się wzmacnia.
W wyborach samorządowych lewicy poszło słabiutko.
– Jej błędem było skupienie się na sprawach aborcyjnych. Każdy wie, że to nie w gminach i powiatach decydują się te sprawy. A stawianie jej teraz? Do sierpnia przyszłego roku Duda zawetuje każdą ustawę liberalizującą aborcję.
Ja w każdym razie złożyłem deklarację, której się trzymam. Tak długo, jak

Lewica ma ten kłopot, że nie ma już klasy robotniczej – jej tradycyjnej bazy. Są maszyny, komputery, roboty. Ale jest idea dla lewicy – problemy młodych ludzi: mieszkanie, wykształcenie, praca

Czym pan to objaśnia?
– Lewica europejska padła ofiarą własnego sukcesu. Wiele jej postulatów zostało zrealizowanych albo przejętych przez prawicę. Jeżeli małżeństwa jednopłciowe w Wielkiej Brytanii wprowadza konserwatysta Cameron! Jeżeli chadecka Angela Merkel jest autorką największego planu pomocy państwowej dla gospodarki, a więc interwencjonizmu państwowego! Itd. itp., to rezerwuar idei się wyczerpuje.
Ośmiodziesięciodzienne dni pracy czy urlopy dla ojców już dawno zostały zrealizowane. To standard. Lewica europejska ma ten kłopot, że struktura społeczna się zmieniała: nie ma już klasy robotniczej – jej tradycyjnej bazy. Są maszyny, komputery, roboty.
We Francji była kiedyś awantura o 35-godzinny tydzień pracy. To może zaproponujecie czterodniowy tydzień pracy?
– Tak, to może być idea dla lewicy. W ogóle, problemy młodych ludzi: mieszkanie, wykształcenie, praca. W wielu krajach ludzie do czterdziestki mieszkają z rodzicami. To ogólnie mówiąc, infantylizuje relacje społeczne.

A Polska lewica?

będę mógł doczłapać do urny
– nie do własnej, a do wyborczej będę głosował na lewicę! Ona jest w Polsce potrzebna.
Wygraną 15 października zawdzięczamy młodym i kobietom. Ale to zwycięstwo jest chwiejne, oparte na wątych podstawach. Obawiam się recydywy PiS.
– I tak, i nie. To zwycięstwo naprawdę jest znaczące. 75 proc. ludzi poszło do wyborów. To przełom. Koalicja rządowa ma wyborcę, ale trudnego, wymagającego, świadomego politycznie i z ograniczoną taryfą ulgową. Ceni swój głos. Gdybym miał coś doradzać, to zalecałbym koalicji lepszą komunikację i kontakt z wyborcami. Trzeba lepiej uzasadniać decyzje, w szczególności te, które nie spełniają w stu procentach oczekiwań. Ale moim zdaniem, to wierny wyborca. Przepliwów w stronę PiS się nie spodziewam. Niebezpieczne jest to, że ludzie znów zostaną w domu.
To wystarczy, bo tamci pójdą.
– Ale to, że PiS uzyskuje ciągle te swoje 30 proc. twardych głosów, jest zbawieniem dla koalicji.
A to ci dopiero.

– Dzień, w którym PiS zacznie dołować, to będzie początek problemów. Zabraknie elementu jednoczącego, dyscyplinującego. Jakby to paradoksalnie nie brzmiało — silny PiS wzmacnia koalicję. I dobrze, że Kaczyński chce kandydować na kolejną kadencję i oby jak najdłużej.
Problemem jedności koalicji może być silne ego liderów. Oczywiście, nie da się robić polityki bez „ego”, ale „ego” musi być kontrolowane, a niektórzy w koalicji mają z tym kłopot.

Chyba wiem o kim mowa. Te osiem lat, to nawet nie była szczepionka. Myśmy przeszli ciężką cholerę. Oczekiwania są wielkie, ludzie chcą rozliczeń, a tu się ślimaczy.
– Czas rozliczeń musi nastąpić. Ale jak się chce odbudować państwo prawa, to nie można iść na skróty. Wszystko trzeba ludziom tłumaczyć. Mam wielki szacunek dla Adama Bodnara. Uważam, że podjął się tytanicznego zadania. W komunikacji z wyborcami mniej trzeba buńczucznych zapowiedzi, że was posadzimy.

Słowem mniej gadać, więcej zamykać.
Ale praworządnie, a nie po zioobrowemu. Chcę uspokoić, jeżeli nie rozpadnie się koalicja rządowa, to recydywa może być najwcześniej za 3,5 roku. Ale zgoda, po drodze trzeba jeszcze wygrać wybory prezydenckie. Oczywiście, gdyby się okazało, że koalicja nie potrafi ich wygrać, efekt synergii będzie dramatyczny. Nowy prezydent z PiS utrudni działania rządowi i koalicja 15 Października nie dotrwa do końca kadencji. W tym sensie wybory prezydenckie to gra o wszystko.

Donald Tusk zadeklarował właśnie, że nie kandyduje.
– I słusznie zrobił. Nie widzę żadnych powodów, żeby koalicja nie miała wygrać tych wyborów. Trzaskowski jest już o kilka kroków, by dokończyć dzieła. Nie wolno tego schrząnić. Trzeba postawić na kogoś, kto ma największe szanse. A jeżeli jako prezydent Warszawy, który rozkoopał całe miasto, dostał 60 proc. głosów, to znaczy, że jest potencjał. Poza tym on się nadaje do tej roboty.
Sklonny jestem panu wierzyć, bo jako jedyny wygrał pan drugą kadencję w pierwszej turze.
– Oczywiście hasło prezydent wszystkich Polaków jest nie do zrealizowania, ale trzeba się starać. Ja naprawdę się starałem oderwać się od swojej partii i pozyskać ludzi do dialogu. Gdybym coś mógł radzić kolejnym prezydentom, to to jest właśnie ta droga.
Proponuje pan to dziś? W dobie takiej polaryzacji, która wyniosła nikomu nieznanego Dudę. Jeżeli on mógł zostać prezydentem, to znaczy, że i koń Kali-guli może.
– Warto powtórzyć, ku przestrodze. Gdyby otoczenie Bronisława Komorowskiego poprowadziło jakąkolwiek kampa-

nię — nie byłoby Dudy. Gdyby PO nie obawiało się, że Komorowski może wygrać w pierwszej turze, że będzie za silny i pomogła mu wygrać — nie mielibyśmy Dudy. Gdyby stratedzy Platformy zrozumieli, że wybory parlamentarne są nie do wygrania, ale hamulcem może być demokratyczny prezydent — nie mielibyśmy Dudy. Gdyby Tusk oddał premierostwo osobie bardziej sprawczej niż Ewa Kopacz, którą szanują — nie mielibyśmy Dudy itd.

No ale nieodwołalnie mamy Dudę. Słyszałem o pomyśle, by przy głównym rondzie w Warszawie postawić zegar, który odliczać będzie ostatnie dni i minuty jego nieszczęsnej prezydentury, jak kiedyś Leszek Balcerowicz odmierzał wysokość długu publicznego. Zygmunt Solorz medialny oligarcha postanowił mieć swojego prezydenta, uważam, że kandydatura Doroty Gauryluk to nie jest mem.

– Oczywiście każdy w Polsce nosi buławę, ale ja za bardzo w te outsiderskie kandydatury nie wierzę. Choć i Macron był taką kandydaturą i Zeleni także.

U nas Hołownia.

– I nie wygrał. Ale wygrana Macrona i Zelenińskiego to był wynik kompletnego kryzysu i dezintegracji sceny politycznej w tych krajach. Gdyby nie afera Francois Fillona, który zatrudniał żonę na publicznych fikcyjnych etatach, to pewnie wygrałby te wybory. Zeleni miał tylko jeden wiec — debatę z konkurentem, na którym wypowiedział właściwie diagnozę swego zwycięstwa: – Panie Poroszenko, ja tu jestem tylko dzięki panu i pana kolegom. Ukraińcy mają was dość.

To znaczy, że oni wskakiwali w społeczne vacuum.

– Dokładnie. Do wyborów w przyszłym roku żadna z partii nie będzie w kryzysie. To znaczy, że PiS, który by nikogo nie wystawił — popelnia samobójstwo. Nie wiem, czy to będzie Szydło, czy Morawiecki, ale oni muszą mieć kandydata, bo inaczej wypadają z gry. Gdzie taki trzeci kandydat ma szukać swojej niszy? Skoro frekwencja w ostatnich wyborach wyniosła 75 proc., a te 25 proc. jest już nie do zmobilizowania?

Może zatem nie chodzi o zwycięstwo, ale o bycie w grze i przekazanie głosów?

– Nie wiem, o co chodzi. Ale jedno trzeba powiedzieć, że w państwie praworządnym kampania musi być finansowana uczciwie. Jeżeli pójdziemy w stronę oligarchizacji wyborów, to znaczy żeśmy zwariowali. To scenariusz ukraiński.

I rosyjski. W Rosji najpierw to oligarchowie wybierali Jelcyna, a później to Putin zdecydował, że będzie wybierał oligarchów. W swojej ostatniej książce „Prezydent” wspomina pan spotkania z Putinem. Żaden z polskich polityków nie rozmawiał z nim tyle razy sam na sam i do tego po rosyjsku?

– Przywódcy ze wschodu nie lubią rozmawiać przy świadkach. Nawet przy tłumaczach. Do 2005 r. spotykaliśmy się wielokrotnie. Ale cezura okazała się Pomarańczowa Rewolucja. Kiedy stanąłem po stronie ukraińskiej demokracji, a przeciwko sfalszowanemu przez Janukowycza wyborom.

Dwie rozmowy zapamiętałem szczególnie. W 2002 r. Putin pokazał mi swoje prywatne apartamenty na Kremlu. Poznałem jego dwie córki. Ja już od siedmiu lat byłem prezydentem, a on dopiero półtora roku. Zapytałem go o cele. Wymienił dwa. Odbudowanie międzynarodowej pozycji Rosji i wskrzeszenie Wielkiej Rosji. „Wielikaja Rassija” – pamiętam te słowa. A to oznacza Rosję przede wszystkim z Ukrainą, z Białorusią, z Kaukazem i Azją centralną. Bardzo źle mówił o Gorbaczowie. Trochę tylko lepiej o Jelcynie, choć to jemu zawdzięczał prezydenturę.



Nagroda Króla Eryka Pomorskiego

• Aleksander Kwaśniewski, prezydent Polski w latach 1995-2005, który w 1999 r. podpisał Akt Przystąpienia Rzeczypospolitej Polskiej do Paktu Północnoatlantyckiego, został tegorocznym laureatem Międzynarodowej Nagrody Króla Eryka Pomorskiego, przyznawanej za wybitne zasługi w integracji europejskiej, budowaniu porozumienia i pokoju w Europie.

W związku z tegoroczną okragłą rocznicą akcesji



Polski do Unii Europejskiej i NATO, kapituła zdecydowała się wyróżnić dwie osoby. Romano Prodi, były premier Włoch w latach 1996-98 i 2006-08 oraz przewodniczący Komisji Europejskiej w latach 1999-2004, jako przewodniczący KE przygotował rozszerzenie Unii Euro-

pejskiej o 10 państw Europy Środkowo-Wschodniej.

Pierwszym laureatem Międzynarodowej Nagrody Króla Eryka Pomorskiego w 2023 roku został prof. Jerzy Buzek.

Prezydent Kwaśniewski i premier Prodi Nagrodę odbiorą 3 czerwca na Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie. Transmisja o godz. 13 m.in. w TVP Info, na stronie Darlowo.pl oraz na YouTube Miasto Darłowo.

Wspomnił, że rozpad ZSRR to największa katastrofa XX w.?

– Nie tym razem. W końcu zapytałem go o wybitne postaci z historii, na których chciałby się wzorować. Wymienił Piotra Wielkiego, Katarzynę Wielką i Josifa Wisarionowicza. Powiedział tak po KGB-owsku – nie wymieniał imienia Stalina. Wyraziłem przypuszczenie, że chce pewnie być czwartym na tej liście. Pośmialiśmy się, ale z dzisiejszej perspektywy wiadać, że powinniśmy się zaśmiać gorzko. Żartowałem, że pośród tej czwórki – będzie dopiero drugim Rosjaninem. Nie brałem wówczas tego na serio. Uważałem, że to takie „marzenie” młodego prezydenta.

Problem polega na tym, że wynurzeń Hitlera z „Mein Kampf” też nikt nie brał à la lettre, a tak je trzeba było czytać.

– Później zdałem sobie sprawę, że moment, kiedy to marzenie zmieniło się w twardy plan wobec Ukrainy, to była Pomarańczowa Rewolucja. Putin wtedy zrozumiał, że po pierwsze, Ukraina może mu odpłynąć na Zachód, a po drugie, że kraj postradziecki może mieć demokrację. Mało tego, że to ulica może ją wymusić. No tego, to już było za wiele. To zagrażało jego osobistej pozycji, bo skoro Ukraińcy mogą, to dlaczego my Rosjanie też nie możemy?



Po śmierci ojca zostało papierowe archiwum – dla niego bezcenne, nikomu niepotrzebne w dobie cyfryzacji. Żadna biblioteka nie chciała też przyjąć za darmo jego wspaniałego medycznego księgozbioru. Gdy znalazła się w końcu w Kijowie, to wybuchła wojna

Potem był Majdan, aneksja Krymu i buńczuczne wystąpienie przed Radą Najwyższą. Przedrukowaliśmy je w całości w „Wyborczej” jako memento. Nawet wtedy nikt na Zachodzie nie brał słów Putina na serio.

– Nie można mu zarzucić, że był nieszczęsny. On to mówił i w Monachium na konferencji bezpieczeństwa, i w innych przemówieniach. W bałamutnych artykułach zapowiadał rzeczy, które się wydarzą.

Analizuję ewolucję Putina i widzę, że najpierw było marzenie, od 2005 r. twardy plan, a od 2014 to już czysta obsesja, której szczytem była agresja 24 lutego. Nie wykluczam, że możemy spodziewać się jeszcze gorszych rzeczy.

Putin popadł w zbrodniczą sprzecność. Bo skoro definiuje Ukraińców jako Małorosjan, czyli Rosjan, ale nieświadomych swej rosyjskości, to w jego chorych kategoriach on prowadzi bratobójczą wojnę przeciwko własnemu narodowi.

– Tak jest i to jest pułapka, którą na siebie zastawił. Wojna wojną, ale ten konflikt rosyjsko-ukraiński zostanie na pokolenia.

Jest pan w zespole byłych ważnych polityków światowych, który właśnie wydał rekomendację, by dać Ukrainie perspektywę członkostwa w NATO do 2028 r.

– To dobry dokument. Pracowaliśmy w gronie, którym kierował były premier Danii i sekretarz generalny NATO Anders Rasmussen. Jest tam Marek Belka i ja, Mikołaj Dzurinda ze Słowacji, Hilary Clinton, Borys Jonson, Kanadyjczyk, Niemcy... To stanowisko pod potrzeby waszyngtońskiego szczytu Paktu Północnoatlantyckiego. Uważam, że jeśli ten szczyt nie przyniesie zaproszenia Ukrainy do NATO, to lepiej, żeby się w ogóle nie odbywał, bo cały świat będzie tylko na to czekał. W przeciwnym razie dajemy sygnał Putinowi, że im dłużej on będzie ciągnął tę wojnę, tym dłużej NATO nie będzie skłonne przyjąć Ukrainy.

Druga dyskusja dotyczyła daty. Argumentowałem, że jako grono byłych liderów politycznych, możemy sobie pozwolić na więcej. Jeżeli mamy mówić o bez-

piecznej Ukrainie, to niczego innego niż jej członkostwo w NATO nie mamy do zaproponowania. Kolejne puste zobowiązanie czy memorandum podpisane nawet przez wszystkich świętych nie będzie miało znaczenia. Przekonaliśmy się o tym w 2014 roku i w 2022.

Przypomnijmy, że memorandum budapeszteńskie podpisali stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ, miało być gwarancją integralności terytorialnej Ukrainy w zamian za zrzeczenie się przez nią broni jądrowej. I guzik.

– W czerwcu w Szwajcarii ma się odbyć szczyt pokojowy, na który Rosja nie została zaproszona. Ale jeśli Ukraina przetrwa kolejną rosyjską ofensywę, to w perspektywie trzeba myśleć o dopuszczeniu Rosji. Rozmowy w Szwajcarii dotyczyć mają kwestii humanitarnych. Wymiany jeńców. Nie atakowania struktury strategicznej. Powrotu do domu uprowadzonych dzieci.

Największe zagrożenie dla pomocy Ukrainie to chyba zwycięstwo Trumpa.

– Pytanie, czy w sytuacji zmniejszenia amerykańskiej pomocy dla Ukrainy, Europa zdoła wypełnić tę lukę? Trzeba też pozwolić Ukraińcom wykorzystywać naszą broń zgodnie z ich planami taktycznymi. Jeżeli mówimy, że możecie strzelać, ale tylko do linii granicznej, to ta wojna nie skończy się nigdy.

General Pytel powiada, że Rosja już tu jest. Myślę, że myli się w tym znaczeniu, że Rosja stąd nigdy nie wyszła. „Noc teczek” Macierewicza, sprawa „Olina”, czyli oskarżenie premiera Oleksego o agenturę na rzecz Rosji, likwidacja WSI, sędzia Szmydt itd., itp. Powstała komisja do badania rosyjskich wpływów i nagle zaczęły płonąć hale targowe i inne obiekty.

– Wszystko prawda, ale jestem daleki od stwierdzenia, że całe formacje polityczne, to płatni zdrajcy, pacholki Rosji. Leszek Moczulski kierował to do nas. Potem nawet się polubiliśmy, ale z takimi stwierdzeniami trzeba uważać. Szpiegów należy ścigać, sądzić i karać. Ale od tego są służby i sądy.

Oskarżenia o agenturalność przybrały w Polsce charakter paranoiczny. Kaczyński wychodzi na trybunę i zaraz po zaprzysiężeniu rządu bredzi, że premier to niemiecki, a może i rosyjski agent...

Na to zostaje już tylko drwina. Najbardziej lubię, jak prezes mówi: „A-ni-hi-la-cja! A-ni-hi-la-cja narodu polskiego”.

– Ale na serio. Przypomniana przez pana sprawa „Olina” była bez wątpliwości rozgrywana przez wywiad rosyjski. To był okres wchodzenia Polski do NATO. Szło o to, by oskarżyć premiera o współpracę z Rosją, a tym samym rzucić cień na prezydenta kraju aspirującego do NATO. Na szczęście Amerykanie zachowali spokój, bo znali te mechanizmy. Postąpili bez zarzutu, mówiąc, że to wszystko jest „bullshit”. To bardzo twarde słowo, użył go ambasador Rey w rozmowie ze mną.

Jest jeszcze inny aspekt. Trzeba pamiętać, że Rosja to atrakcyjny rynek. W tę pułapkę wpadli Niemcy. Chcieli być gospodarczą lokomotywą Europy, koryzując z najtańszego surowca z Rosji. Ale i u nas tak było. Pamięta pan obawy partii wiejskich, że wchodząc do NATO, stracimy rynki zbytu w Rosji? Gdy pojawił się deficyt węgla, to zaraz znaleźli się tacy, którzy uznali, że można go kupować w Donbasie. Ludzie kierują się chciwością i nie oglądają się na względy etyczne.

Ufam, że ta Komisja ujawni pewne fakty. Chociażby dotyczące Macierewicza, bo tu jest wszystko dziwne, ogólnie mówiąc. Natomiast przestrzegam, przed myśleniem, że w Polsce mieszkają tylko agenci. ●

Boję się Europy, która śpi

Europa to chleb upieczony w połowie. Musimy go dopieć.

Z ROMANO PRODIMA ROZMAWIA
JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI:
Gratuluję Nagrody.
ROMANO PRODI*: Dziękuję. Bar-
dzo się z niej cieszę.

Jest zasłużona. Dwadzieścia lat temu jako Przewodniczący Komisji Europejskiej wprowadzał pan Polskę do Unii Europejskiej. – Nie mówię retorycznie tylko szczerze i od serca: myślę, że był to najpiękniejszy moment mojej działalności politycznej – zamknięcie epoki napięć i przeprowadzenie nowego otwarcia. Rozszerzenie Unii o dziesięć nowych krajów, w tym Polski.

Podczas spotkania z prezydentem Kwaśniewskim w 2003 r., jak relacjonuje strona prezydencka, „wyraził [pan] przekonanie, że nasz kraj będzie odgrywał w rozszerzonej Unii znaczącą i twórczą rolę”... – Kiedy patrzę na rezultaty tych dziesięciu krajów, wejście do Unii opłaciło się wszystkim. A Polska dosłownie dokonała cudu. Owszem, są jeszcze problemy polityczne i gospodarcze, ale z historycznego punktu widzenia był to wielki krok naprzód. Wstąpienie Polski do Unii początkowo spotkało się nie tylko z entuzjazmem, lecz również z oporami.

Z jakimi oporami spotkał się pan wśród partnerów zachodnich? – To nie były racjonalne opory. Wywodziły się przede wszystkim narodowych uprzedzeń. Potem przyszły problemy ekonomiczne, ale i te szybko zostały pokonane. Przedsiębiorstwa francuskie, włoskie, niemieckie przeniosły się do Polski, Czech, Węgier. I było to konieczne, by doszło do ekonomicznego zbliżenia. Dwadzieścia lat temu dochody obywateli „nowych” krajów sięgały około 50 procent dochodów w „starej” Europie. Teraz ten stosunek wynosi 75-80 procent. To ważne, bo dzisiaj trudno jest mówić sceptykom o przepaściach między krajami zjednoczonej Europy. Udało się stworzyć wspólny obszar ekonomiczny i pokoju oparty na bliskości, partnerstwie. Czyli jest dzisiaj lepiej, niż było.

Ale narodowe uprzedzenia i nacjonalizmy dochodzą teraz znowu do głosu. – Owszem, ale nie mamy tu kryzysu Europy. Jeżeli już, to mamy kryzys demokracji, krytykę bycia razem. Ale jestem spokojny. Najbliższe wybory europejskie nie przyniosą rewolucji, tylko jakieś niewielkie przesunięcia. Wędlug mnie problemem Europy jest co innego: to, że jest mało twórcza i w ostatnim czasie nie wysunęła żadnej ważnej propozycji na przyszłość. Raz za razem idzie na kompromisy, a nam trzeba czegoś innego – przede wszystkim wspólnej polityki zagranicznej. Nasze

zadanie to być razem w polityce zagranicznej wobec Stanów Zjednoczonych, wobec Chin... Musimy znów robić piękne i wielkie rzeczy, i jeśli będziemy do tego zdolni, pozyskamy także ludzi młodych.

Nie martwi pana powrót ksenofobii i wzrost sympatii do ugrupowań populistycznych we Włoszech? – Obserwuję to zjawisko, ale jestem spokojny. W ostatnich wyborach postawę ksenofobiczną reprezentowała Liga Północna, która zniknęła teraz z horyzontu. Teraz Bracia Włosi (Fratelli d'Italia) zachowują się tu niejednoznacznie, ale zmiany nastrojów są niewielkie. W ostatecznym rozrachunku, kiedy obywatel ma powiedzieć Europie swoje „tak” albo „nie”, mówi „tak”. Przede wszystkim po Brexicie. Brzmi to trochę

rać umowy z Chinami, mieć swoje stosunki z Rosją, która prowadzi wojnę. Ale te cwaniactwa nie mogą trwać długo, jeżeli będziemy solidarną jednością.

Czyli? – Przede wszystkim musimy znieść prawo weta! Węgry są ważne dlatego, że mają prawo weta. Jeżeli będziemy jednością i nie będziemy się bali przyszłości, Węgry nie będą problemem. Czy to możliwe, że kraj mający kilka milionów mieszkańców blokuje społeczność, która liczy pół miliarda? Jeżeli nie umiemy rozwiązać tego problemu, to wi-na nie jest po stronie Węgier, tylko po naszej. Gdyby Węgry upierały się przy swoim, a my byśmy powiedzieli: „Dobrze, ale pójdziemy teraz własną drogą bez was”. I Węgry poszłyby z nami. Tak myślę.

ście głęboko i wie pan, że nie zgadzam się z nią prawie w niczym, ale nostalgia, którą ma pan na myśli, nie ma wpływu na europejski stosunek Giorgii Meloni do Ukrainy, który był zawsze jednoznaczny. Mam natomiast wątpliwości co do jej wizji przyszłości Europy. Miała taki silny moment, kiedy udzielała stuprocentowego poparcia Ursuli von der Leyen, ale teraz, kiedy ujawniły pewne napięcia, trochę się zdystansowała.

A Matteo Salvini? – Salvini to Salvini. W każdej rodzinie jest jakiś postrzeleniec. Proszę wziąć pod uwagę, że Salvini jest teraz bardzo osłabiony. On zawsze był ekstremistą, ale zachowajmy właściwe proporcje. Pamiętajmy, że poprzednim razem miał poparcie około 30 procent, dziś sześć albo dziewięć, jeśli nie mniej.

ropejskiego jest przeznaczona na rolnictwo i politykę regionalną. Kwoty, z których Polska korzystała w ostatnich latach, nie będą takie, z jakich skorzysta, kiedy Ukraina znajdzie się w Unii. To wszystko musi więc zostać omówione, uzgodnione, bo żaden akt unijny, w tym przyjęcie Ukrainy, nie może wywoływać podziałów i niezadowolonia w krajach takich jak Polska czy Francja.

Na koniec trochę inne pytanie. Wiem, że spotyka się Pan i rozmawia z papieżem. Dlaczego on tak słabo rozumie Ukrainę i Rosję? – Dlaczego Pan tak uważa? Rozmawiałem z Franciszkiem i w tym co mówił czułem wręcz obsesję wojny. Mówił o Ukrainie z wielkim zaangażowaniem. Ciągłe powtarza, że wojna i zabijanie muszą się skończyć. Ma tylko jeden problem i rozmawiałem z nim o tym bezpośrednio... Papież nie ma żadnych uprzedzeń wobec Ukrainy. Mogę Pana zapewnić, że ma dla niej ogromne i głębokie zrozumienie. Nie rozumiem tylko jak to możliwe, że po więcej niż dwóch latach wojny nie powstał jeszcze żaden projekt pokoju. I tego papież nie rozumie naprawdę, ja też. W specyficznej wrażliwości papieża irytuje go kiedy ktoś myli pojęcie „pacyfista” z pojęciem „zdrajca”. Sprawiedliwy pokój musi być uzgodnionym celem. Papież nigdy nie powiedział, że Rosja może naruszać granice czy zdobywać nadmierną władzę. Ale to jest moje osobiste zdanie. Przemyślane.

Dziękuję za rozmowę. – Było mi bardzo miło. Słyszałem, że przetłumaczył pan „Boską Komedię”. Powiedziałbym więc za Dantem, że znaleźliśmy się wszyscy „w połowie wędrówki naszego życia”.

I „w ciemnej dzicy”. – Ma Pan rację. Naprawdę znaleźliśmy się „w ciemnej dzicy”. ●



FOT. FRED MARVAUX

* Romano Prodi

• profesor ekonomii z dyplomem Harvardu, były premier Włoch (1996-1999, 2006-2008) i jeden z założycieli Partii Demokratycznej. Jako przewodniczący Komisji Europejskiej (1999-2004) był zaangażowany w pracę na rzecz rozszerzenia Unii Europejskiej. W przededniu wejścia Polski do struktur unijnych mówił: „Polska jest jak Małysz. Do skoku, który trwa kilka sekund, szykowała się wiele lat”. W poniedziałek 3 czerwca odbierze w Dartowie Międzynarodową Nagrodę Króla Eryka Pomorskiego.

Czy to możliwe, że kraj mający kilka milionów mieszkańców blokuje społeczność, która liczy pół miliarda?

absurdalnie, ale tak właśnie jest. I nikt nie chce już wyjść z Europy, nawet Węgry. Okazało się, że nawet kraj tak potężny jak Wielka Brytania, wspierany przez Stany Zjednoczone, uprzywilejowany przez sytuację międzynarodową, nie może powiedzieć, że poza Europą ma się lepiej niż przedtem. Bo ma się gorzej.

Czyli nie obawia się pan, że Europa się rozplynie? – Nie. Jak mówiłem, boję się przede wszystkim Europy, która śpi. Mówię moim studentom, że Europa to najlepszy „chleb polityczny”, jaki został kiedykolwiek zrobiony. Tyle, że jest to chleb nie-dopieczony. Upieczony w połowie. A chleb upieczony tylko w części nigdy nie jest dobry. Musimy go dopieć.

Co konkretnie? – Musimy mieć wspólną politykę zagraniczną, wspólne wojsko, wspólną politykę finansową. Rzeczyć bardzo proste.

Co do Węgier nie byłbym taki spokojny... – To są wspólne cechy byłych imperiów jak Węgry właśnie czy Wielka Brytania. Nie biorą pod uwagę korzyści i strat, tylko zapatrzone są w przeszłość. Są jak kierowcy, którzy patrzą tylko w lusterko wsteczne. Można prowadzić także w ten sposób, choć to bardzo trudne, i Węgry właśnie tak się zachowują – patrzą w lusterko wsteczne. Skupiają się na nostalgii cesarstwa Austro-Węgierskiego, na mniejszościach narodowych za granicą. I sprytnie korzystają z sytuacji, by zawie-

Dlaczego we Włoszech tak często napotykam na niejednoznaczne potępienie Rosji? Chodzi o komunistyczne, filozoficzne nostalgiczne? – Nie, komunizm nie odgrywa tu większej roli. Chodzi o „wszystkojedność” (qualunquismo), która jest jeszcze gorsza. Na przykład część ruchu Pięciu Gwiazd (Cinque stelle) dla celów wyborczych próbuje łowić głosy gdziekolwiek, więc także i tutaj. Ale proszę mi wierzyć, że włoska polityka nie odchodzi zasadniczo od polityki europejskiej. Może dostrzega pan mniej intensywne potępienie Rosji jako agresora niż w Polsce, ale to oczywiste. Jesteście bliżej, wasza historia i doświadczenia są inne. Natomiast wielu Włochów, ze mną włącznie, pragnie, żeby Europa czynnie podjęła działania dyplomatyczne, żeby rozwiązać sytuację w Ukrainie. Kiedy widzę, że Turcja jest tu bardziej aktywna od Europy, jest mi przykro. Ale nikt we Włoszech nie waha się co do wsparcia dla Ukrainy. Parlament zawsze za nim głosował, i to znacząco większością głosów.

Jaka jest postawa Giorgii Meloni? – Rozróżnijmy dwie rzeczy. Giorgia Meloni była zawsze w pełni posłuszna Amerykanom. Była wierną wykonawczynią amerykańskich rozkazów. Czyli nie ma tutaj problemów. Natomiast co do przyszłości polityki europejskiej jak zwykle zachowuje się dwuznacznie. Jest zawieszona pomiędzy europeistyczną wiarą Włochów z jednej, a Orbanem z drugiej strony. Oczywiście, historyczna nostalgia tkwi w niej oczywi-

Byłem niedawno w Predappio, gdzie urodził się i został pochowany Mussolini. – No, tam to już inny świat.

A jednak byłem pod wrażeniem kultu Mussoliniego. Mniejszościowego, zgoda, ale rodzice, którzy w prezencie na pierwszą komunię świętą wiozą chłopczyka na grób Mussoliniego, czy wstęgi z wyrazami wdzięczności na grobie Duce robią jednak wrażenie. – To zdarzenia folklorystyczne, które dzieją się zawsze. „Lunatyczne”, jak może by powiedzieli Anglicy. Moim zmartwieniem jest to, żeby nie stały się faktem społecznym. Musimy więc bardzo uważać na stosunek Włoch do Europy.

Jaka jest sytuacja Partii Demokratycznej? – Zachowa mniej więcej ten sam dorobek co w poprzednich wyborach, punkt w lewo, punkt w prawo.

Jak Pan widzi perspektywę wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej? – Przede wszystkim kraj w stanie wojny nie może wejść do wspólnoty. Potem myślę, że jest to możliwe. Ale uwaga. Zaniepokoiły mnie pewne reakcje na ukraiński potencjał rolny. W Polsce mieliście z tym poważny problem. We Francji reakcje były podobne. Tak więc przyjęciu Ukrainy do Unii muszą towarzyszyć nie tylko rozwiązania polityczne, czyli działania na rzecz pokoju, lecz również zmiany polityki ekonomicznej. Duża część budżetu eu-



FOT. FRANCESCO CIBATI

• Triest, migranci czekający na rozpatrzenie wniosku azylowego, zostawieni sami sobie przez władze, próbują zadomowić się w pustostanie zwanym „Silosem”

Bo policja przyjdzie sprawdzić, czy nie wspierasz nielegalnej migracji.

Eryk Kryński

Od Unia Europejska wprowadza nowe przepisy zaostrzające naszą politykę migracyjną, organizacje humanitarne podkreślają, że przemoc na europejskich granicach wciąż trwa. Również w Polsce, mimo zmiany rządu, na granicy białoruskiej pushbacki i liczne naruszenia praw człowieka nadal są codziennością. We Włoszech, Grecji czy Hiszpanii od lat dzieją się – i są sankcjonowane przez rządy – podobne praktyki, które powoli stają się normą europejskiej polityki migracyjnej.

Na Sycylii grupa włoskich działaczy sprzeciwiających się sytuacji na granicach postanowiła wykorzystać w tej sprawie Europejską Inicjatywę Obywatelską, która pozwala napisać petycję do Komisji Europejskiej. Jeżeli Stop Border Violence do wakacji zbierze milion podpisów obywateli UE, ich postulaty trafią do Komisji Europejskiej, która będzie musiała oficjalnie się do nich odnieść. Stop Border Violence postuluje stworzenie mechanizmu monitorowania naruszeń praw człowieka na granicach i ustanowienie minimalnych standardów przyjmowania i traktowania migrantów we wszystkich państwach UE, z możliwością wprowadzenia sankcji przeciwko tym, które by je łamały.

Manifest oraz link do oficjalnej strony UE, na której można podpisać petycję, jest dostępny na www.stopborderviolence.org.

Stop Border Violence nie korzysta z oficjalnych dotacji czy instytucjonalnego finansowania, inicjatywa przeradza się w ogólnoeuropejską sieć współpracy dzięki zaangażowaniu, środkom i kompetencjom zwykłych ludzi. Jedną z tych osób jest Francesco Cibati – z zawodu, fotograf, reżyser, informatyk – który opowiada o zapomnianej

przemocy na bałkańskim szlaku migracyjnym.

Z FRANCESCO CIBATI
ROZMAWIA ERYK KRYŃSKI

ERYK KRYŃSKI*: „Przemoc granic” – co to właściwie oznacza dla kogoś, kto bezpośrednio pomaga osobom w drodze? **FRANCESCO CIBATI**:** – To zależy od miejsca. Triest jest tylko włoskim, jednym z wielu krańców szlaku bałkańskiego, ale kiedy się tu przeprowadziłem, od razu była dla mnie widoczna. Spotykam ludzi, którzy są dosłownie chwilę od utraty przytomności, w kompletnie zniszczonych butach, z głodem wypisanym na twarzach. Na placu przed dworcem w Trieście widziałem martwe ciała, ciężkie rany i ślady po psich ugryzieniach. Słuchałem ludzi opowiadających, jak rażono ich paralizatorami, jak ich przyjaciele tonęli, próbując przepłynąć przez rzekę.

Słyszałem o policji, która w nocy używała dronów z czujnikami ciepła i sztuczną inteligencją, która jest w stanie określić, czy czerwone kropki na ekranie to zwierzęta, czy ludzie. Widziałem przemoc unijnych pograniczników z Frontexu.

A mówię o tym, co dzieje się po zewnętrznej stronie naszych granic, na szlaku bałkańskim. Przemoc trwa również wewnątrz kraju.

Dotęga europejskich miast i ulic?

– Aktualnie w Trieście jest około 400 osób porzuconych na ulicach, gryzionych przez szczury w chłodnym zimowym sezonie.

Łapię się na tym, że stałem się dużo mniej wrażliwy wobec przyjaciół, mniej otwarty na ich problemy. I jestem dużo mniej wyrozumiały wobec siebie samego

To nie są ludzie w tranzycie. Każdy ubiega się o azyl we Włoszech. Zgodnie z prawem już dawno powinni dostać schronienie. W praktyce rząd mówi: „Jest was teraz za dużo. Wróćcie za trzy miesiące”. „Za dużo” oznacza około siedem osób dziennie.

Przemoc funkcjonuje też w ośrodkach detencji. Jeden znajduje się 20 kilometrów od Triestu. Przez ostatnie 3 lata zmarło w nim siedem osób. Choć powinno się mówić, że zostali zabici, bo umarli po przedawkowaniu leków psychiatrycznych, które dostają w posiłkach, żeby utrzymać ich w stanie biernego spokoju. Jedna osoba – uchodźca z Gruzji Vakhtang Enukidze – zginęła na skutek przemocy stosowanej w ośrodku przez policję. Dochodzi do prób samobójczych, ponieważ ludzie boją się deportacji.

Przemoc granic ma wiele znaczeń. Doświadczyłem jej również na sobie. Wszczęto przeciwko mnie śledztwo w sprawie „wspomagania nielegalnej migracji”, czyli przestępstwa, za które we Włoszech grozi do 20 lat więzienia. Mój przyjaciel spędził noc w serbskim areszcie, ponieważ w jego samochodzie był człowiek, która nie miał przy sobie dokumentów. Kryminalizacja solidarności to kolejne oblicze przemocy granic.

Co może zrobić działacz humanitarny, żeby trzeba go było postawić przed sądem?

– A widzisz. Postępowanie przeciwko mnie wszczęto nie dlatego, że prowadziłem autokar pełny osób bez dokumentów czy coś w tym stylu. Po prostu udzieliłem wywiadu dla radia. Powiedziałem, że jeżeli ktoś chce nam pomóc, może wysłać ubrania, jedzenie, smartfony, i opowiadałem o naszych wyjazdach do Bośni, Serbii i Bułgarii. Jeździmy tam pomagać ludziom na trasie. Funkcjonariusze zinterpretowali to tak, że dostarczamy telefony ludziom, aby ułatwić im pokonanie unijnych granic. Nazwali to „wspomaganiem nielegalnej migracji”. A my po prostu dajemy telefon osobie w prawdziwej potrzebie. Sam wiesz, że bez smartfona praktycznie nie przetrwasz. A dostarczamy je w miejscu, w którym chorwacka straż

graniczna niszczy każde urządzenie, który znajdzie.

Postawili cię przed sądem?

– Nie. Oskarżenie oddalono, bo było tak niedorzeczne. Ale na przykład ludzie z Linea d'Ombra bywają sprawdzani przez policję. Na przykład dlatego, że pozwolili przenoć u siebie w domu kurdyjskiej rodzinie z dwójką małych dzieci.

Można zostać skazanym za przyjęcie kogoś do własnego domu?

– No właśnie nie można! Już pomijam, że to po prostu solidarność – ale nie musisz prosić ludzi o dokumenty, żeby im pomóc.

Inna osoba z naszej organizacji była sprawdzana za to, że pomogła komuś kupić bilet na dworcu. Nie musisz prosić ludzi o dokumenty, zanim pomożesz im obsłużyć maszynę do kupowania biletów, bo nie znają języka, w którym jest menu.

Ale to nie tak, że funkcjonariusze czy urzędnicy nie znają prawa i liczą, że staniesz przed sądem, że wymiar sprawiedliwości weźmie zarzuty serio. Wszczynają postępowania, żeby postawić cię w stresującej sytuacji. A nuż uda się go zniechęcić, może machnie ręką? To jedna z metod kryminalizacji pomocy.

Cofnijmy się o pięć lat. Jak fotograf i projektant stron internetowych zaczyna pomagać osobom w drodze? Przyprowadziłeś się do Triestu, żeby pracować w Linea d'Ombra?

– Skład. Przeprowadziłem się do Triestu, żeby zamieszkać z moją byłą dziewczyną. Nie miałem pojęcia, jak wygląda sytuacja w mieście, nic nie wiedziałem o migrantach. Ale przyjechałem i szlak bałkański od razu, na dworcu, zdzielił mnie w twarz.

To był 4 stycznia 2019 roku. Trzy dni później poznałem ludzi, z którymi zakładać będą Linea d'Ombra. Zaczęliśmy zbierać pieniądze na pomoc, a w kwietniu pojechaliśmy do Bośni, żeby dostarczyć ludziom wsparcie i dowiedzieć się, co się właściwie dzieje na szlaku. Przez resztę wiosny i lato organizowaliśmy grupę chętnych do pomocy w samym Trieście. Z początku trzy dni w tygodniu, później zaczę-

liśmy pojawiać się na placu przed dworcem codziennie.

Obecnie funkcjonuje cała sieć, zajmująca się sprawami na różnych poziomach problemu, włącznie ze wsparciem prawnym czy organizacją wydarzeń towarzyskich, jak koncerty czy mecze siatkówki dla tych ludzi. Razem z innymi organizacjami utworzyliśmy szkołę języka włoskiego. Ale podstawa jest ta sama: działaliśmy na ulicach i na placu przed dworcem, każdego wieczoru przynosimy jedzenie, ubrania, buty, zapewniamy pomoc medyczną. Oraz – to drugie główne miejsce naszej codziennej aktywności – w opuszczonym budynku, który nazywamy „Silos”. Wśród ludzi w drodze jest znany jako Khandwala, co w afgańskim języku paszto znaczy „rozbity dom”. Zazwyczaj jest tam 250-400 osób potrzebujących pomocy. Pomagamy sprzątać, instalujemy ogrzewanie, budujemy piece, przywozimy drewno na opał.

Ale czy to nie rząd powinien zająć się kryzysem, który trwa na jego terytorium? Albo może przynajmniej lokalne władze? Państwo wpływa jakoś na sytuację w Trieście?

– Lokalne instytucje są, no cóż, gówniane. W najlepszym razie po prostu ich nie ma. W najgorszym aktywnie i agresywnie działają przeciwko organizacjom, które przyjmują migrantów. Zaledwie parę tygodni temu burmistrz publicznie stwierdził, że nic nie zamierza zrobić, że migranci go nie obchodzą i to nie jego problem.

W Polsce skojarzenia z kwestią migracji są jasne: greckie wyspy, włoska Lampedusa i generalnie łodzie na Morzu Śródziemnym. Nie słyszy się za dużo o Trieście i szlaku bałkańskim. Myślimy też o naszej granicy polsko-białoruskiej, ale to coś zupełnie innego – Triest leży przy granicy między dwoma państwami, które należą do Unii i do strefy Schengen.

– Owszem, ale też dokładne granice w przypadku tej odsłony kryzysu humanitarnego nie są zbyt jasne. To nie jest jeden szlak bałkański, ja zazwyczaj mówię „szlaki” bałkańskie – ale nazywanie ich „bałkańskimi” też jest odrobinę mylące. To zabrzmiałoby oczywiście jak slogan, ale powinno się go nazywać szlakiem „europejskim”, ponieważ ci ludzie nie chcą dotrzeć na Bałkany. Oni przechodzą przez Bałkany, a celem podróży jest Europa. A sama trasa nieustannie ewoluuje. Część ludzi przechodzi z Grecji albo Turcji do Bułgarii lub Serbii, a następnie próbuje przedostać się na Węgry. Jeśli im się nie uda, wracają do Serbii i docierają do Bośni. A z Bośni próbują dostać się do Chorwacji. Natomiast dlaczego opinia publiczna mniej interesuje się trasą bałkańską... Po prostu, że scenografia jest mniej pociągająca dla dziennikarzy i kamer.

Co w niej odstrasza? Przecież sam mówisz, że przemocy na szlaku bałkańskim nie brakuje. Myślę, że wystarczyłoby jej dla najwybredniejszej kamery. Dlatego w mediach nie mówi się o szlakach bałkańskich tak chętnie, jak o Lampedusie, polskim wschodnim pograniczu czy Wyspach Kanaryjskich?

– Na to nie mam odpowiedzi. Na pewno znaczenie ma fenomen typowy dla wielu kryzysów i zdarzeń, który nazywam „bulimicznym problemem informacji”, bo działa trochę jak zaburzenie odżywiania. Najpierw jesz zbyt dużo, odczuwasz prześyt, potem nic nie jesz przez tydzień, później znów jesz za dużo. Gdy coś się wydarzy – dobrego lub tragicznego – wtedy usłyszysz o trasie bałkańskiej ze wszystkich stron naraz.

Pamiętam, jak zimą 2020 roku spłonął obóz migrantów w Bośni. Wręcz wymarzona dziennikarska scenografia – te wszystkie spalone namioty i ludzie stojący boso pośród śniegu. Media w całej Europie mówiły o tym przez tydzień. Cały tydzień! Wszyscy pytali nas, co się stało. Na maila Linea d'Ombra wpadało 300 listów dziennie. Potrzeb komunikacyjnych było tak dużo, że

nie mogliśmy sobie z nimi poradzić. Ludzie tak chcieli pomóc, że przekazywali dużo pieniędzy, ale także pudła pełne rzeczy, których nie potrzebowaliśmy. Nie chcieli słuchać, co rzeczywiście jest niezbędne. Istne szaleństwo – i nagle jak nożem uciął. Lawina uwagi i solidarności, jak ściana dźwięku na koncercie rockowym – i cisza. Zostajesz porzucony, ty i ci ludzie na szlaku, w obozach, na długie miesiące. Teraz nikt nie mówi o kryzysie, który wciąż trwa. Tylko lokalne gazety próbują.

Ludzie zapomnieli o Linea d'Ombra?

– Muszę przyznać, że akurat nam we Włoszech udało się zostać symbolem. Ze względu na represje, o których opowiadałem, a media cenią takie historie, ale też udało nam się nagłośnić naszą działalność. W prosty sposób – kiedy we wrześniu na ulicach porzuconych było aż 600 osób, poprosiliśmy paru dziennikarzy, żeby przyjechali i zobaczyli, co się dzieje. Najwidoczniej sytuacja ich poruszyła, bo wkrótce wiadomości w całym kraju mówiły o Trieście i nagle, po miesiącach ciszy, braku odzewu na nasze listy, prośby, władze zareagowały. Zorganizowali transport dla 200 osób, aby rozmieścić ich w innych miejscach we Włoszech i tak „rozwiązali” problem. Niemniej przynajmniej udało się zwrócić uwagę opinii publicznej na Triest.

W prawie europejskim zapisano mnóstwo pięknych wartości. Mamy międzynarodowe standardy ochrony uchodźców. Podpisaliśmy konwencję genewską i Europejską Konwencję Praw Człowieka. Jaki wpływ mają te dokumenty na sytuację w Trieście?

– Nie wierzę w prawa spisane na kartce. Jeśli prawa człowieka rzeczywiście istnieją, to w ciałach żywych istot ludzkich. Jeśli mam prawo żyć w godności, to nie dlatego, że ktoś ujął je w paragrafy. Mam je dlatego, że żyję, oddycham, używam swojego cia-

ła. Naruszam prawo, przekraczając granicę, ponieważ istnieją prawa, które stoją ponad tym, co zapisane, a to, co zapisane, nie zawsze jest respektowane.

Instytucje muszą opierać się na regulacjach, nie na poczuciu słuszności i instynkcie moralnym. Więc prawo, które ten instynkt wspiera, mogłoby być pomocne. Przemoc dociera do europejskich miast, a nasze konwencje już nie?

– Istnieje olbrzymia rozbieżność pomiędzy prawami, które ludzie mają w teorii, a tym, co w rzeczywistości jest, jak to ujmuję się w języku urzędowym, implementowane, zarówno na poziomie lokalnym, jak i krajowym. Na przykład każdej osobie, która dotrze do Włoch i zgłosi chęć ubiegania się o azyl, powinno zostać zapewnione schronienie na czas rozpatrywania wniosku. W praktyce departament policji zajmujący się migracjami pracuje bardzo wolno... bardzo bardzo wolno. W Trieście przyjmują tylko siedem zgłoszeń dziennie.

Skutek jest taki, że ludzie, którzy mają prawo do schronienia, pozostają na ulicach przez kilka miesięcy, zanim w ogóle mogą zacząć procedurę azylową. Ta taktyka sprawia, że wiele osób decyduje się opuścić Triest przed upływem tego czasu. Muszą znaleźć pracę – często na czarno – żeby móc jakkolwiek przeżyć. Nie da się żyć przez trzy miesiące bez pieniędzy, pod gołym niebem, wśród szczurów. Więc ludzie przenoszą się na południe, gdzie mogą na przykład pracować na polu. Ich wniosek azylowy się gubi, więc muszą zaczynać procedurę od nowa.

To prawna spirala, z której nie da się łatwo uciec. To wynik woli politycznej – strategii realizowanej celowo. Podam przykład. Jeden z opuszczonych budynków, w których ludzie chronią się przed zimmem, jest na terenie prywatnym. W każdą środę rano policja wchodzi i sprawdza wszystkim dokumenty. Zostawiają każdą osobę, która ma

papier potwierdzający, że rozpoczęła procedurę azylową, ponieważ to dowód, że nikt nie zapewnił jej należytego schronienia. Ale wszystkie osoby, które dopiero dotarły i próbowały złożyć wniosek, ale nie mogły – ponieważ przyjmuje się tylko siedem osób dziennie – nie mają odpowiedniego dokumentu. A do miasta każdego dnia przybywa nawet 15, 20 czy 30 osób.

Policja bierze tych ludzi na komisariat i rozpoczyna procedurę azylową. Świetnie. Ale wraz z możliwością złożenia wniosku dostają grzywnę za nielegalną okupację prywatnej posiadłości.

Mają przez nią potem jakieś problemy?

– Tak, fakt, że dostali grzywnę, ma wpływ na decyzję w sprawie ich wniosku o prawo pobytu. Mechanizm jest zbudowany tak, aby więcej wniosków zostało odrzuconych, więcej osób deportowano. Wspaniale jest mieć prawa humanitarne i konstytucyjne, ale w zderzeniu z praktyką codzienności to baśnie.

Może jednak da się przepisać baśni do rzeczywistości? W Stop Border Violence zbieracie podpisy pod petycją do Komisji Europejskiej. Chcecie, żeby realnie stosowała, również wobec ludzi, którzy nie są obywatelami UE, artykuł 4 Karty Praw Podstawowych. Ten zakazujący, cytuję „tortur i niehumanitarnego lub poniżającego traktowania”.

– Wszystko zaczęło się od starszej kobiety z Sycylii. Luciana Negro dobija do dziewięćdziesiątki, mimo to jest bardzo aktywna. Kiedy dowiedziała się o unijnym mechanizmie Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej, pozwalającym zgłaszać każdemu obywatelowi pomysły zmian w prawie Wspólnoty, uznała, że to może być użyteczne narzędzie w walce o ludzi w drodze.

Zaczęła namawiać ludzi w różny sposób zaangażowanych w kwestie migracji, by stworzyć grupę, która zgłosi własną inicjatywę. Z początku to było tylko osiem osób. Postanowili napisać manifest, uruchomić petycję i zebrać podpisy w co najmniej siedmiu państwach [aby petycja trafiła do Komisji Europejskiej, musi zebrać milion podpisów i być podpisana przez osoby z co najmniej siedmiu krajów UE].

Były różne pomysły na treść inicjatywy. Z jednej strony, żeby wybrać coś bardzo konkretnego, na przykład likwidację Frontexu. Ale inni argumentowali, że trudno byłoby znaleźć poparcie dla tak radykalnych postulatów. Stało na tym, żeby wystąpić o coś, z czym w zasadzie nikt nie może się nie zgodzić. I właśnie to znaleźliśmy w treści artykułu czwartego. Uznaliśmy, że nawet jeśli ktoś ma prawicowe poglądy, uważa, że jakaś kontrola granic jest potrzebna albo boi się innych kultur, to nigdy nie stwierdzi, że popiera stosowanie tortur. Staraliśmy się stworzyć petycję tak inkluzywną, jak tylko możliwe.

Mi Europejska Inicjatywa Obywatelska wydaje się strasznie idealistyczna. Myślisz, że dzięki niej można dokonać prawdziwej zmiany?

– Słyszeliśmy, że jeśli nie wyda się co najmniej pół miliona euro na taką inicjatywę, to nie ma szansy się udać. Można też być sceptycznym co do tego, czy da się użyć mechanizmu Unii Europejskiej przeciwko jej własnej polityce. Gdybyśmy byli zupełnie racjonalni, to uznalibyśmy, że wszystko, co robimy, jest bez sensu. Dlatego uznaliśmy, że nie możemy być w pełni racjonalni.

Europejska Inicjatywa Obywatelska ma tę zaletę, że pomaga nawiązywać kontakty pomiędzy osobami i grupami zabiegającymi o jakąś sprawę, i pozwala łatwo docierać do ludzi ze swoją agendą. Petycja jest niezwykle prosta do podpisania – przez stronę internetową UE zajmuje to jakieś 20 sekund. I można ją podać dalej.

I co, podają ją dalej? Czy ta koncepcja promocji się sprawdza?

– Okazuje się, że jest mnóstwo ludzi solidarnych z osobami w drodze. Problem po-



• **Migranci z „Silosu”. Jego mieszkańcy nazywają go Khandwala, co w afgańskim języku paszto znaczy „rozbity dom”** FOT. FRANCESCO CIBATI

lega na tym, że nie mają politycznego ciężaru, nie docierają do mediów. Chcieliśmy stworzyć coś, wokół czego możemy się zjednoczyć. Staramy się tworzyć przydatne materiały, ulotki, logotypy, grafiki i inne dokumenty. Wszystkie są dostępne przez naszą stronę internetową. Każdy może skorzystać z nich, jak chce, bo uważamy, że jakiegokolwiek reguły zaburzyłyby dynamikę, która jest naszą siłą i pcha całość do przodu. Bo gdybyśmy wybrali jeden wzór grafiki, np. z drutem kolczastym, możesz stwierdzić, że drut ci się nie podoba; jeśli wybiorę kolor niebieski, możesz uznać, że wolisz żółty.

Nie możemy marnować czasu i energii na takie głupoty. Ufam ci – zrób sobie żółtą, czarną, niebieską, jaką chcesz – to nie problem.

To działa? Przypadkowi, nieznani wam ludzie, używają tych materiałów i sami zaczynają promować petycję?

– Regularnie! Na przykład na nasze spotkanie online dołączył 21-letni chłopak, z jakiejś małej greckiej wyspy, na której pracuje jako kelner i opowiada o inicjatywie gościom restauracji i turystom. Pojedyncza osoba z niby nieistotnego zakątką, a ile może zrobić! Albo moja przyjaciółka, antropolożka prowadząca badania w Lizbonie. Kiedy dowiedziała się o inicjatywie, postanowiła zrobić konferencję o Stop Border Violence i innych oddolnych inicjatywach europejskich i ludzie mogli usłyszeć o naszych postulatach.

Niektórzy powiedzieliby, że to trochę chaotyczna metoda działania...

– Całkowita decentralizacja doprowadza niektórych do szaleństwa i nie wykluczam, że ostatecznie może się nie sprawdzić, ale na razie jakimś cudem to działa. Pozwala rozprzestrzeniać się inicjatywie naturalnie, samej z siebie.

Pewnego razu do naszego spotkania dołączyły obce sobie trzy osoby z Grecji. „O! Ty też pracujesz w Atenach?!” – zaczęli rozmawiać i urodzili się z tego wspólne projekty. W ten sposób drobne zmiany i więzi nabierają masy, jak kula śniegu. Sam widzisz – zaczęliśmy od kilku osób, a teraz we Włoszech mamy olbrzymią sieć, ludzie spotykają się na ogólnokrajowych demonstracjach i poznają, bo zauważają, że mają te same ulotki.

Może koniec końców nie chodzi nawet o ten milion podpisów? Możemy przecież zebrać nawet dwa miliony, a Komisja Europejska może odpowiedzieć „oj nie, mamy już odpowiednie prawo, więc ciao”. Prawdziwy efekt inicjatywy – stworzenie energii społecznej, zmianę powszechnego nastawiania do ludzi w drodze, choćby postawy „nie wychylałem się, nie zabierałem głosu, ale skoro sąsiad i koleżanka z pracy też są za...” – można dostrzec tylko w pełnej skali, gdy spojrzymy w znacznie dłuższej perspektywie.

A patrząc tylko na nadchodzące miesiące – zebranie miliona podpisów jest osiągalne?

– Z systemem Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej jest ten kłopot, że o jego istnieniu wie niecałe 3 proc. Europejczyków. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej – gdyby to było normalne, że raz w miesiącu na pięć minut wchodzimy na stronę UE sprawdzić, co tam słychać, i podpisujemy każdą inicjatywę, którą uznamy za godną naszego poparcia – regularnie mielibyśmy pomysły z poparciem nawet pięciu czy dziesięciu milionów osób. Komisja Europejska nie mogłaby ich zignorować.

Przejdźmy do tego, czego wy próbujecie nie ignorować. Proponujecie cztery rozwiązania, które mogłyby zmienić sytuację na europejskich granicach. Jednym z nich jest mechanizm monitorowania, który wykrywałby naruszanie praw człowieka. Zmieniliby sytuację w Trieście?

Kiedy ludzie z Bangladeszu, Pakistanu albo Nepalu przybywają do Europy, zwiastują nam przyszłość.

Skąd mam wiedzieć, czy ja nie będę musiał kiedyś uciec do Polski albo Norwegii z uwagi na pustynnienie południowych Włoch?

– Pod warunkiem że ta ocena działań policji i straży granicznej byłaby niezależna, z udziałem społeczników, organizacji pozarządowych. Ale nie jesteśmy naiwni. Myślę, że są pewnie strukturalne problemy w instytucjach Unii, powiązania w polityce międzynarodowej, które są dużo bardziej determinujące. Bo czy Unia wprowadzi kiedykolwiek sankcje przeciwko Turcji i Libii za działania ich straży przybrzeżnej? Myślę, że nie, skoro przeznacza coraz więcej pieniędzy nie tylko na Frontex, ale finansowanie tamtejszych służb, na sprzęt dla „krajów partnerskich” i tak dalej.

No właśnie – odstąpienie od współpracy z tymi państwami to kolejna część manifestu. Bezpośrednio sprzeczna ze strategią wprowadzaną teraz przez UE w Pakcie o Migracji i Azylu.

– Zamiast brać odpowiedzialność, my Europejczycy wydajemy pieniądze w krajach niekoniecznie demokratycznych i przejmujących się prawami człowieka, żeby się jej pozbyć. Jeśli finansujemy brutalne, zmilitaryzowane służby i niedemokratyczne rządy, żeby powstrzymać ludzi przed dotarciem tutaj i skorzystaniem z ich własnych praw, to podkopujemy fundamenty, na których zbudowano samą Unię Europejską. Zaniedbujemy samych siebie. Prowadzi to tylko do schizofrenii.

Może zabrzmieć jak miłośnik teorii spiskowych, ale sądzę, że to wszystko jest przemyślane. Przecież władze Unii i poszczególnych krajów doskonale wiedzą, że nasze społeczeństwa się starzeją i tak naprawdę potrzebujemy, żeby migranci przyjeżdżali. Chodzi o to, żeby przyjeżdżali, dopiero gdy są złamani i strauatyzowani. Żeby ktoś, kto dotrze do bezpiecznej Europy, uznawał się za szczęściarza i był gotów oddać się w niewolę na rynku najgorszej pracy – po to, żebym ja nadal mógł kupować pomidory za dwa i pół euro. To ważne również dla producentów i właścicieli biznesów w wielu branżach. Ta wrażliwa warstwa społeczna jest wykorzystywana jako środek produkcji.

No i ludzie w drodze są też potrzebni prawniczym politykom. Kogo wykorzystywali w swojej narracji? Na kogo zrzucilibyśmy winę za wszystkie rzeczy, które nie wychodzą nam w zachodnim świecie? Potrzebujemy paru migrantów na ulicach, żeby móc stwierdzić, że to wszystko ich wina.

Jeśli to rzeczywiście jest przemyślana polityka, to może działalność wasza i wam podobnych w całej Europie nie ma sensu. Skąd bierzesz motywację, żeby działać?

– Po wszystkim, czego doświadczyłem, powinienem chyba uznać, że to bez sensu, że i tak nic nie zdziałamy. W 2022 r. poznaliśmy prawie 14 tys. osób. W jaki sposób mamy pomóc im wszystkim? We Włoszech mamy powiedzenie, które świetnie opisuje odczucia, które towarzyszą naszej pracy: „To jak próbować osuszyć morze łyżką”. Ale przecież nie chodzi o to, żeby zrewolucjonizować świat, przebudować społeczeństwo czy coś w tym stylu, tylko żeby pomóc jak największej liczbie ludzi. To nie jest racjonalne, ale czegoś musimy spróbować.

Wiesz, czasem łapię się na tym, że w sumie to wszystko jest prawie egoistyczne.

Jak to egoistyczne?

– Bo skoro nie umiem wytrzymać na świecie, który działa w ten sposób, skoro cierpię, gdy widzę, co przeżywają ludzie na placu przed dworcem w Trieście albo na granicy chorwackiej, gdy ściska mnie w żołądku, kiedy wyklócam się z policją – to próbując to zmienić, usunąć powody mojego stresu i dyskomfortu, pomagam sam sobie. Muszę poświęcać na to energię.

Ja bym to nazwał raczej empatią. Ale w tym, co mówisz, słyszę też dużo brutalnego pragmatyzmu. Jak można znaleźć balans między jednym a drugim?

– To przychodzi naturalnie, chociaż u każdego inaczej. U mnie ten proces znajdowania równowagi uruchomiła podróż do Bośni. Przez dwa tygodnie po powrocie miałem problemy ze snem. Czulem pocucie winy za każdym razem, gdy zapaliłem w domu światło albo skorzystałem z toalety. Jak bardzo jestem uprzywilejowany! Na co dzień nie zastanawiasz się, jak ci dobrze, że możesz użyć papieru toaletowego, że w domu masz światło nad głową.

Da się przywyknąć do tego ogromu nieszczęścia, z którym stykasz się codziennie od lat?

– Kiedy poznajesz tysiące osób, które opowiadają ci historie przemocy, nie masz wyjścia. Możesz się albo załamać, wypalić albo nauczyć się koegzystować z cierpieniem. Przywyknąć się nie da, nawet jeśli na co dzień funkcjonujesz, nie rozpamiętując każdej traumatycznej opowieści czy każdego śladu pobicia na ciele człowieka, z którym rozmawiasz, to przecież gdzieś się to w tobie odkłada i nie wiadomo, kiedy da znać.

Łapię się na przykład na tym, że stałem się dużo mniej wrażliwy wobec przyjaciół, mniej otwarty na ich problemy. Jestem dużo mniej wyrozumiały wobec siebie samego i nie mówię tylko o nabraniu dystansu do drobnych niedogodności życiowych czy dyskomfortów. Zaczęłem odmawiać sobie wszystkiego, co jest związane z płaczem, cierpieniem i samotnością. Szybko tracę cierpliwość wobec białych osób z paszportem, narzekających na codzienne zmartwienia.

No i stałem się również dużo mniej wrażliwy na sytuację osób w drodze, ponieważ nie byłbym w stanie im pomóc, jeżeli wziąłbym ze sobą całe to cierpienie. Kiedy nawiązuję relacje z ludźmi w drodze, wolę iść w żarty. Oni mają dość własnych traum, nie muszę im o nich przypominać swoją zbolalą twarzą. Jestem tam również po to, żeby wspólnie doświadczyć chwili szczęścia – śmiać się, tańczyć, grać na gitarze, jeździć na rowerach czy ugotować coś razem.

Może to przez długie włosy, a może dlatego, że często wylgłupiam się i tańczę, mówią na mnie Gandu, co w paszto znaczy „gej”. To chyba nie jest komplement w ich kulturze (*śmiech*), ale że wszyscy razem śmiejemy się w takich momentach, odbieram to jako żartobliwy, życzliwy komentarz, oznakę zażyłości i zaufania. Ostatecznie udaje mi się sprawić, że ludzie wokół mnie nigdy nie zasypiają w smutku.

„Och, czuję się okropnie, mam gorączkę...; mundurowi przy granicy otoczyli nas i...; sytuacja jest tragiczna, skończyły mi się pieniądze...; moja rodzina została...” – to wszystko pozostaje, ale myślę, że umiem

sprawić, żeby chociaż na moment o tym zapomnieli. Bądźmy przez chwilę razem i zapomnijmy o tym wszystkim! Staramy się, aby przywilej i różnice, które nas dzielą, zniknęły na tyle, na ile jest to możliwe.

To na koniec: gdybyś mógł zabrać głos przed wszystkimi Europejczykami, ale miał tylko kilka minut i jeden komunikat – co byś powiedział?

– Że ilekroć spotykają migranta, ten człowiek obwieszcza przyszłość, która nie jest odległą i może dotknąć ciebie, mnie, nas wszystkich. Większość ucieka przed tym, co zawsze – przed głodem, przed prześladowaniami z powodu wyznania, przynależności etnicznej, plemiennej. Albo przed kimś, kto próbuje zmusić ich do walki, zapędzić w szeregi armii czy jakiejś milicji z powodów religijnych. Ale jest też dużo, coraz więcej, osób – z Bangladeszu, Pakistanu albo Nepalu – które uciekają przez katastrofy naturalne, powodzie i inne skutki zmian klimatu. Więc kiedy przybywają do Europy, możliwe, że zwiastują nam przyszłość. Skąd mam wiedzieć, czy ja nie będę musiał kiedyś uciec do Polski albo Norwegii z uwagi na pustynnienie południowych Włoch? Jaki świat będzie na mnie czekać, kiedy to ja będę w potrzebie?

Dlatego chciałbym, żebyśmy zrozumieli, że ludzie w drodze są zwiastunem przyszłości, która dotyczy nas wszystkich. Nasza odpowiedź na ich obecność pokazuje nam, co może nas spotkać w przyszłości i jak my możemy zostać przyjęci. Więc jaki świat przyszłości sobie wymarzysz? Otwarty, w którym znajdujemy przestrzeń do godnej koegzystencji? Czy świat złożony z paralizatorów, palek, murów i drutów kolczastych? ●

**Francesco Cibati

● społecznik, działa w Stop Border Violence, międzynarodowej organizacji zbierającej podpisy pod petycją do Komisji Europejskiej, współzałożyciel grupy Linea d’Ombra (Granica Cienia), pomagającej w Trieście osobom w drodze.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Eryk Kryński

● reporter zajmujący się sytuacją na szlakach migracyjnych. Swoje podróże zaczął wyjazdu na Lampedusę, zainspirowany twórczością Jarosława Mikołajewskiego. Píše o stosunkach międzynarodowych, polityce włoskiej i migracji przez Morze Śródziemne. Na co dzień zajmuje się analizą danych politycznych i wyborczych w MamPrawoWiedziec.pl. Współtworzy kanał Orientuj.się – największe medium generacji Z w Polsce.

Rodzice porzuceni przez dzieci

TATA, MAMA? NIE ZNAM

Relacje dzieci-rodzice to jedna z użytecznych iluzji, podobnie jak wolna wola, sprawiedliwość czy miłość romantyczna.

Kasper Kalinowski



Więzi łączące dzieci i rodziców postrzegamy jako unikalne i najtrwalsze w życiu. Jednak coraz więcej dorosłych dzieci decyduje się na zerwanie kontaktu z rodzicami.

Przez dekady psycholodzy traktowali utratę kontaktu dzieci z rodzicami w kategorii patologii. Jako jedno z tych zjawisk, które występują w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach. Karl Pillemer, socjolog z Cornell University, określał nawet więzi łączące dzieci i rodziców mianem „nierozzerwalnych”. Uważano, że decyzja o zaprzestaniu wszelkich kontaktów wiąże się ze skrajnymi doświadczeniami, jak znęcanie się nad dziećmi, alkoholizm czy przemoc seksualna. Lecz badania ostatniej dekady zaburzają obraz. Coraz częściej na odcieście od rodziców decydują się dzieci, których dzieciństwo określiłbyśmy mianem „normalnego”. Dzieciństwa z wakacjami, lekcjami języków i wspólnymi spacerami. Ich argumenty dotyczące potrzeby autonomii czy decydowania o sobie jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie spotkałyby się z jakimkolwiek zrozumieniem.

Stworzenia portretu zjawiska nie ułatwia znikoma liczba naukowych opracowań. Głównym powodem braku badań jest wstyd i upokorzenie po stronie porzucanych, które towarzyszą rozpadowi relacji z ważnym członkiem rodziny. Te emocje sprawiają, że trudno znaleźć osoby chętne do udziału w badaniach, a nawet do dyskusji.

Kylie Agllias, jedna z głównych badaczek zjawiska, w książce „Family Estrangement: A Matter of Perspective” („Zerwane więzi w rodzinie: Kwestia perspektywy”) stwierdza: „Utrata więzi w rodzinie to coś więcej niż konflikt i coś bardziej skomplikowanego niż zdrada. Wiąże się ze sprzecznymi przekonaniami, wartościami, celami. Jest wynikiem tego, że przynajmniej jeden członek rodziny uważa porozumienie za niemożliwe i/lub niepożądane. Zerwanie, niezależnie od tego, czy wiąże się z odrzuceniem, czy decyzją o odejściu, jest niezwykle traumatycznym doświadczeniem. Dane sugerują, że 1 na 12 osób nie utrzymuje kontaktu z co najmniej jednym członkiem rodziny, lecz temat jest rzadko omawiany lub badany”.

Nie tylko dlatego, że owo zerwanie wiąże się ze wstydem, lękiem przed stygmatyzacją („co się musiało dzieć w tym domu”), „co za wyrodney syn, córka”) i poczuciem winy. To wciąż temat tabu, który uderza w wartości cenione w kulturze zachodniej.

Z ewolucyjnego punktu widzenia nie tylko więź z rodzicami, ale sama opieka, jaką nad potomstwem sprawują dorosłe osobniki Homo sapiens, należy do wyjątków w świecie przyrody. Większość gatunków nigdy nie pozna własnego taty, a kontakt z mamą zakończy po osiągnięciu samodzielności.

Adaptacje do opieki nad potomstwem u kobiet są oczywiste: wzrost estrogeny, progesteronu i prolaktyny w ciąży; wzrost oksytocyny – słynnego „hormonu szczęścia” – przy porodzie i karmieniu piersią, co ułatwia przywiązanie i dalszą opiekę. Choć znaczenie samców w opiece nad potomstwem jest mniejsze, mężczyźni też mają adaptacje biologiczne do opieki – zostanie ojcem to m.in. najpewniejszy sposób, aby obniżyć poziom testosteronu u młodego mężczyzny, a zapach noworodka sprawia, że (w przeciwieństwie do kobiet) panowie łagodnieją. Męskie adaptacje do opieki to temat, który też czeka na odpowiednie zbadanie.

Oczywiste adaptacje u kobiet to także przywiązanie, które tworzy się od pierwszych chwil po porodzie. Już w dobie po narodzinach dziecko rozróżnia głos mamy, a zapach jej piersi preferuje w pierwszym tygodniu życia. To również głos mamy najbardziej uspokaja aktywność sercowo-naczyniową małych Homo sapiens. Same mamy są w stanie rozróżnić twarz własnego dziecka już po jednorazowym kontakcie.

Większość z nas chętnie opiekuje się dziećmi. Jako gatunek wykształciliśmy szereg biologicznych i psychologicznych adaptacji do opieki nad potomstwem. Już sam wygląd niemowlaków, niewielkie rozmiary, pulchne ciało z relatywnie krótkimi kończynami i dużą głową, delikatna skóra, behawioralna bezradność i niezgrabność ruchów czy duże oczy u większości dorosłych wywołują uśmiech i chęć pomocy.

Do tego ludzkie dzieciństwo należy do zdecydowanie najdłuższych w świecie ssaków. To m.in. konsekwencja wyjątkowo złożonego mózgu. Porodu noworodka z dojrzałym mózgiem nie przeżyłaby żadna kobieta – kanał rodny jest zbyt wąski.

W postrzeganiu rodzicielstwa nie sposób pominąć wpływów kultury. Powszechny obraz przedstawia rodzinę jako oazę bezpieczeństwa, a szacunek do rodziców w kulturze judeochrześcijańskiej wywodzi się jeszcze z czasów Dekalogu. Relacje, jakie łączą dzieci z rodzicami, mimo braku dobrowolności, postrzegamy nie tylko jako silne, ale również niezmiennie w czasie. Tę wizję rodziny traktujemy jako uniwersalną i właściwą każdej kulturze. Taki obraz to jedna z użytecznych iluzji, w które chcemy wierzyć, bo czynią życie bardziej znośnym. Podobnie jak wolna wola, sprawiedliwość czy miłość romantyczna trwająca przez całe życie.

Łatwiej wskazać na czynniki, które wpływają na dobrą jakość relacji dzieci i rodziców niż na te, które ją kończą. Zresztą samo nasze myślenie o rodzinie to skrajnie europocentryczne. Postrzeganie jej jako nuklearnej składającej się z rodziców i ich najbliższego potomstwa mieszkających razem w gospodarstwie domowym, uzupełnionej luźnym zbiorem bliskich, od tych określanych jako krewni do tych, którzy weszli do niego poprzez związek, nie jest obrazem, który napotkamy w każdej kulturze.

Wśród rdzennych mieszkańców brazylijskiej Amazonii – społeczności Mundurucú – rodzina obejmuje wyłącznie matkę i jej dorastające potomstwo. Ojciec mieszka we wspólnym domu z innymi mężczyznami z plemienia. Wśród

PROC.

spadnie średnia liczebność rodzin do 2095 r.

chińskich Mosuo kobiety zawierają znajomości seksualne z mężczyznami spoza ich rodzin, aby splodzić potomstwo. Następnie pozostają z braćmi we własnych domach, aby wychowywać dzieci. Dzieci są uważane za część linii rodowej i rodziny kobiety, którym przewodzi kobieta o największym doświadczeniu lub wiedzy. A „małżeństwo” opiera się wyłącznie na nocnych wizytach w domu kobiety.

Indian Aché cechuje praktyczne rozwiązanie. Wyróżniają trzy typy ojców: ojcem może zostać mąż ciężarnej kobiety, mężczyzna, z którym kobieta uprawiała seks przed zajściem w ciążę lub ten, którego kobieta uzna za ojca swojego dziecka. Coś, co niektórzy antropologowie określają jako wspólne ojcostwo, jest dość powszechne w Amazonii – około 63 proc. dzieci ma wielu ojców.

W tym przypadku więzi rodzinne i ich ewentualny rozpad stają się znacznie bardziej skomplikowane.

Wróćmy jednak do kultury zachodniej.

W badaniach Richarda P. Contiego, psychologa z Kean University, blisko co piąty amerykański student stwierdził, że stracił kontakt z którymś z członków najbliższej rodziny. Częściej niż na matkę wskazywano na ojca, co nie oznacza oczywiście, że matki nie tracą kontaktu z dziećmi. W innym badaniu Conti analizował relacje studentów z rodzicami w ciągu 30 dni. Udokumentował, że 8 proc. studentów nie miało w tym czasie kontaktu z ojcami, a 1 proc. z matkami.

Podobnie gdy zespół Megan Gilligan z Iowa State University przeanalizował ponad 2 tysiące relacji matek z dziećmi, w około 12 proc. przypadków matki zauważyły, że nie mają żadnego kontaktu z dziećmi.

W jednym z większych tego typu badań Caroline Hartnett na reprezentatywnej próbie młodych i średnich dorosłych w wieku 25-32 lat udokumentowała, że 20 proc. osób nie miało kontaktu z ojcem (z powodu czynników „standardowych” – przedwczesnej śmierci, rozwodu, uwięzienia lub dlatego, że nigdy nie postrzegali go jako ojca, ale też za sprawą świadomej decyzji). 6 proc. nie miało kontaktu z matką (głównie z powodu jej śmierci). Na szczęście tylko niewielka część młodych dorosłych (2,4 proc.) nie utrzymywała kontaktu i z matką, i z ojcem.

Niewykluczone, że w krajach zachodnich zjawisko przyspiesza – uwaga, wkraczamy na grzą-

ski grunt, w którym naukowe teorie i intuicje spletają się ze światopoglądem – gdyż sprzyja mu indywidualistyczna, nastawiona na sukces jednostki kultura. Kylie Agllias zwraca uwagę na rosnącą liczbę stron internetowych, organizacji i grup wsparcia dla osób, których dotknęło zerwanie kontaktu z rodzicami lub własnymi dziećmi. Jej zdaniem, ze względu na złożoność, omawiając zjawisko utraty relacji, należy odróżniać odcieście emocjonalne (ograniczenie kontaktów i unikanie) od fizycznego (brak jakichkolwiek kontaktów). Przy czym pierwsze często poprzedza drugie. Agllias uważa, że zjawisko odcieścia lepiej postrzegać jako proces niż konkretne wydarzenie. A jego finał nie musi być czymś ostatecznym – dorosłe dzieci często mówią o próbach odbudowania kontaktów czy pojednania. Częściej wznawiają kontakt z matkami (ponad 81 proc.) niż z ojcami (ponad 68 proc.).

Łukę informacyjną nieco wypełnia prowadzony na Uniwersytecie w Cambridge wspólnie z organizacją charytatywną Stand Alone projekt „Głosy z ukrycia: Zerwane więzi rodzinne w dorosłości” („Hidden Voices: Family Estrangement in Adulthood”). Ponad 800 osób podzieliło się przyczynami zerwania kontaktu z najbliższymi. Ciężko jednak o wyciągnięcie daleko idących wniosków, gdyż badaną grupę trudno nazwać reprezentatywną – blisko 90 proc. ochotników, którzy zgłosili się do projektu, stanowiły kobiety z bogatych krajów zachodnich.

Mimo wszystko czegoś jednak się dowiadujemy. W analizie z Cambridge dorosłe dzieci wśród powodów zerwania wymieniały głównie przemoc emocjonalną, odmienne oczekiwania co do roli rodziny, odrzucenie i różnice w osobowości. Ci, którzy zerwali kontakt z matkami, mówili dodatkowo o ich problemach ze zdrowiem psychicznym. W przypadku ojców jako główną przyczynę wskazywano traumatyczne zdarzenie z przeszłości. Aż u 80 proc. osób decyzja o zakończeniu kontaktu wiązała się z co najmniej kilkoma pozytywnymi skutkami, takimi jak wolność i niezależność.

Motywacje dzieci i rodziców są się odmienne. Kristen Carr z Texas Christian University przeanalizowała powody rozpadu blisko 900 relacji. W przypadku dzieci przyczyna leżała w zachowaniu rodziców i ich osobowości, od szeroko rozumianych „toksycznych” zachowań po brak wsparcia i akceptacji. Rodzice wskazywali na-

tomiasz na czynniki zewnętrzne – zbiegi okoliczności, ale też relację dziecka z kimś spoza rodziny, od nieakceptowanej lub odciągającej przyjaźni po wybór życiowego partnera, której nie byli w stanie zaakceptować.

Wydaje się, że utrata kontaktu bardziej uderza w rodziców. Kylie Agllias zauważa, że zwłaszcza matki brak kontaktu z dziećmi postrzegają jako rodzaj porażki, którą nie wypada się dzielić – i to nie tylko w co bardziej konserwatywnych kręgach, w których niewywiązanie się z oczekiwanej społecznej roli wciąż skutkuje ostracyzmem.

Co ciekawe, w jej pracach występują rodzice, którzy mówią wyłącznie o fizycznym zniknięciu dzieci. W sensie psychologicznym, w codziennych rozmowach i wspomnieniach dzieci są wciąż obecne. Może dlatego niektórzy klinicyści reakcje rodziców na zanik kontaktu z dziećmi przyrównują do żaloby. Wyjątkowo trudnej, której nie wypada pokazywać otoczeniu i mówić. W przeciwieństwie do śmierci nie ma żadnych społecznie usankcjonowanych rytuałów, które ułatwiają znalezienie wsparcia i poradzenie sobie ze stratą.

I znów, to rodzice radzą sobie gorzej. Oni częściej nie potrafią przepracować tego, co się zdarzyło, „nie rozumieją”, są bardziej skłonni opisywać zerwanie kontaktu w kategoriach czegoś nagłego i niespodziewanego. Joshua Coleman, ceniony specjalista od rodzinnych więzi, autor książki „When parents hurt” („Kiedy rodzice krzywdzą”), po rozmowach z tysiącami rodziców, którzy stracili kontakt z dziećmi, często przytacza historie interpretowane jako „bez żadnej przyczyny”. „Daliśmy naszemu dziecku wszystko. Przeczytaliśmy każdą książkę o wychowaniu pod słońcem, zabieraliśmy ją na wspaniałe wakacje, chodziliśmy na wszystkie jej imprezy sportowe” – to stały motyw. W tej konkretnej relacji frustrację rodzica potęgowało to, że wypowiadający się ojciec własne dzieciństwo określał jako pełne alkoholu piekło, którego udało mu się oszczędzić córce.

Obecna zachodnia kultura samorozwój i dążenie do szczęścia traktuje jako coś oczywistego. W przeciwieństwie do kolektywistycznych kultur Dalekiego Wschodu to jednostka i jej potrzeby, a nie harmonia czy więzi społeczne, są priorytetem. W drugiej dekadzie XXI wieku realizacja własnych celów to wręcz jeden z podstawowych obowiązków zdrowego i dorosłego człowieka. Jeśli na drodze do nich staje rodzina, mamy prawo zdecydować się na zerwanie kontaktów. Społeczeństwo taką decyzję na ogół akceptuje, zwłaszcza w przypadku dzieci. Wiele poradników z kategorii „pop-psychologicznych” wręcz do tego zachęca, a sam termin „toksyczni rodzice” odmieniany jest przez wszystkie przypadki – przy czym zaskakująco rzadko rzetelnie definiowany. Problem pojawia się bowiem już na właśnie na tym etapie. Bo jaką rodzinę czy rodziców uznać za „dysfunkcyjnych”?

Niektórzy przyjmują bardzo „liberalną” definicję. Eva Illouz, socjolożka z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, za dysfunk-

PROC.

sbadanych przynajmniej raz w życiu zerwało kontakt z kimś z rodzeństwa. 14 proc. zerwało kontakt wielokrotnie

cjonalną uważa rodzinę, w której potrzeby jednego z członków nie są zaspokajane. W jej opinii do oceny jakości naszego dzieciństwa wystarczy ocena obecnej sytuacji życiowej. To podejście o tyle niebezpieczne, że pozwala przenieść winę tylko na rodziców. Głośna „Zakazana psychologia” Tomasa Witkowskiego, psychologa tropiącego patologię pop-psychologii i wolnego rynku psychoterapii, opisuje, jak na skutek stosowania tej pseudonaukowej metody wielu rodziców utraciło kontakt z dorosłymi dziećmi na całe lata. W najbardziej ekstremalnych przypadkach traumatyczne zdarzenia, za które dzieci winiły rodziców, nigdy nie miały miejsca. W tym podejściu wszystko zależy od tego, czy rodzice stworzą dzieciom takie warunki, aby jako dorośle byli szczęśliwi, pomijając wpływ genetyki czy rówieśników.

Jak zauważa słynny psycholog ewolucyjny i celebryta Steven Pinker: „To interakcja między rodzicami a dziećmi oddziałuje na dzieci, a nie jeden uniwersalny sposób wychowania”.

Być może ten „oskarżycielski” model tak się przyjął, bo jest korzystny nie tylko dla „oskarżających”, ale i dla „oskarżonych”. Wygodnie jest sądzić, że gdybyśmy zrobili coś inaczej, nasze dzieci byłyby inne lub miały lepsze życie. Zachowujemy wtedy elementarne poczucie kontroli. Rodzice nie są jednak wszechmocni, w wielu obszarach rządzonych w mniejszym lub większym stopniu przez przypadek, mają na swoje dzieci zdecydowanie mniejszy wpływ, niż się powszechnie sądzi. Dlatego Pinker uważa, że wszyscy ponosimy zbiorową odpowiedzialność za to, aby dzieci dorastały w odpowiednich warunkach.

A są jeszcze czynniki środowiskowe, choćby takie, jak sytuacja ekonomiczna.

Zdaniem Joshuy Colemana jednym z czynników, które zwiększają szanse na późniejszy brak kontaktu rodziców i dzieci, są nierówności. Jego intuicję potwierdza analiza ponad 2500 relacji rodzic-dziecko, zebrana w 2010 r. przez amerykańskich socjologów pod kierownictwem Merrila Silversteina.

Amerykanie po 65. roku życia mają konflikty z własnymi dziećmi niemal dwukrotnie częściej niż ich rówieśnicy w krajach o mniejszym rozwarstwieniu jak Anglia, Hiszpania czy Izrael. Z kolei w kraju o wiele większych nierówności niż USA – Chinach, które wszak kojarzą nam się z konfucjańskim poczuciem obowiązku i szacunku wobec rodziców – problem relacji dorosłych dzieci z rodzicami był na tyle duży, że postanowiono uregulować go w 2013 r. kodeksowo. Przepisy – które wywołały olbrzymi sprzeciw młodych Chińczyków – nazywane potocznie „Prawami osób starszych”, nakładają na dzieci obowiązek spełniania „duchowych potrzeb” rodziców po 60. roku życia oraz regularne odwiedziny. W ten autorytarny sposób uregulowano ważny problem społeczny. Prognozy mówią, że w 2030 roku liczba Chińczyków po 60 roku życia przekroczy 350 milionów, a wysokość świadczeń socjalnych w socjalistycznym i egalitarnym tylko z nazwy systemie nie pozwala na samodzielne przeżycie starości.

ponad 81

• PROC.
dorosłych dzieci próbujących odnowić więzi po zerwaniu kontaktu z rodzicami odżywa się do matki. Do ojca ponad 68 proc.

Nie do końca wyjaśniono korelację między poziomem nierówności a uwarunkowaniami kulturowymi. Ekonomista Matthias Deopke i Fabrizio Zilibotti zauważają (co wydaje się oczywiste), że w krajach takich jak Niemcy czy państwa Europy Północnej rodzice dają dzieciom więcej swobody i bardziej cenią ich niezależność i kreatywność – a potrzeba wyznaczenia granic i decydowania o sobie to częsta przyczyna zrywania więzi z rodzicami – lecz dostrzegają (co mniej oczywiste) powiązanie tego partnerskiego, szanującego autonomię podejścia z poziomem nierówności. To w krajach większych nierównościami, jak USA czy Chiny, rodzice są o wiele bardziej zaborczy.

Ważną rolę odgrywają również różnice międzykulturowe. Stephen Wandera, demograf z Uniwersytetu Makerere w Kampali, przyrzekał się ojczystej Ugandzie. Ugandyjskie rodziny tradycyjnie były duże i rozległe (co zresztą okazało się kluczowe w ostatnich dekadach, gdy to bliżsi lub dalsi krewni opiekowali się osobami osieroconymi lub w inny sposób dotkniętymi wskutek wojny domowej oraz epidemii AIDS). Jednak w ostatnich badaniach Wandera odkrył, że 9 proc. Ugandyjczyków w wieku 50 lat i starszych żyje samotnie, co w tamtejszych realiach jest rekordowym wynikiem.

Samotność to oczywiście nie to samo, co świadomy zerwanie kontaktu, ale Wandera jest zdania, że to zjawisko odgrywa rolę, a w miarę, jak rodziny stają się coraz mniejsze, a urbanizacja wzrasta, częstość występowania zerwania kontaktu wzrośnie. Nie od razu – „Normy kulturowe są nadal silne, ich zanikanie wymaga czasu” – ale z pewnością w ciągu najbliższych dwóch dekad.

Prognozę ugandyjskiego naukowca można rozciągnąć na nas wszystkich. Bo rodziny będą mniejsze na całym świecie. W zaprezentowanym na łamach „Proceedings of the National Academy of Sciences” badaniu międzynarodowy zespół ekspertów kierowany przez Diego Albureza-Gutierrez zastosował model prognostyczny oparty na już obserwowanych trendach populacyjnych.

Badaczom wyszło, że do 2095 r. nastąpi średni spadek wielkości rodziny o 35 proc. 65-letnia kobieta w 1950 r. mogła spodziewać się 41 żyjących krewnych, w 2095 r. już tylko 25. W skali globalnej całkowita wielkość rodzi-

ny spadnie z 41 krewnych w 1950 r. do 25 krewnych w 2095 r. dla kobiet w wieku 65 lat. A w krajach takich jak Zimbabwe spadek wielkości rodziny będzie wręcz dramatyczny, o 71 proc. – z 82 krewnych w 1950 r. do 24 w 2095 r. Dla porównania, w Chinach kuzyni stanowili 39 proc. sieci rodzinnej noworodka w 1950 r., ale w 2095 r. będą stanowić zaledwie 7 proc.

Do tego sieci pokrewieństwa, podobnie jak całe społeczeństwa, będą się znacznie starzeć. Starzenie się krewnych będzie bardziej widoczne w krajach, które obecnie mają stosunkowo młode struktury wiekowe. Jednak nawet w krajach takich jak Włochy, które mają jedną z najstarszych populacji na świecie, wiek dziadków ma wzrosnąć z 78 lat w 2020 r. do niemal 88 lat 2095 r.

W skrócie: rodzina, która dostarcza nam wsparcia na kluczowych etapach życia, będzie, tak czy siak, mniejsza, niezależnie od piętnowanego tu i ówdzie zachodniego indywidualizmu.

Również relacje rodzeństwa to biała plama na mapie badań psychologicznych. Jedno z pierwszych, trwające sześć lat i przeprowadzone w Niemczech, dotyczyło zaprzestania kontaktu lub utraty bliskości emocjonalnej między dorosłym rodzeństwem. Okazało się, że 28 proc. badanych przynajmniej raz w życiu zerwało kontakt z kimś z rodzeństwa, a 14 proc. zerwało kontakt wielokrotnie. Co nie zaskakuje, ryzyko zerwania było większe u rodzeństw o niższym poziomie pokrewieństwa genetycznego, jak przyrodnie, oraz tych, które nie dorastały w tym samym gospodarstwie domowym.

Problem z pytaniami w psychologii polega na tym, że ze względu na liczbę zmiennych, złożoność zjawisk i odmienność, nawet mimo ogólnych często podobieństw, każdego przypadku, nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi ani wskazać listy czynników wyczerpującej i pasującej do każdej sytuacji. Psycholodzy mogą pokusić się jedynie o tyleż banalną, ile przydatną konstatację, że zerwanie kontaktu z rodzicami jest zjawiskiem pozytywnym w sytuacjach oczywistych, jak przemoc czy alkoholizm. Część badaczy mówi o „zdrowej reakcji na niezdrową sytuację”. Ale jest też druga strona medalu – brak kontaktu dzieci z rodzicami zwykle łączy się z utratą kontaktów z pozostałymi członkami rodziny czy wspólnymi znajomymi.

Poza tym zerwanie kontaktu z rodzicami nie sprawia, że znikają z naszego życia. Wciąż są obecni w rozmowach i wspomnieniach. No i nigdy nie wiadomo, kiedy i tak pojawiają się – jeśli nie cieleśnie, to poprzez zbiegi okoliczności – w naszym życiu. Wątki złych relacji z rodzicami i ich nieoczekiwanych skutków po latach zachodnia kultura eksploatuje od Starego Testamentu po „Gwiezdne Wojny”. Nie bez powodu George Lucas konsultował swój scenariusz z Josephem Campbellem, badaczem mitów poszukującym w nich uniwersalnych wątków niezależnie od epoki. Konflikt i pojednanie (zwłaszcza z ojcem) to jedna z głównych cech takiej „opowieści uniwersalnej”.

Giertych uderza w Kościół

Natarcia z tego kierunku polscy biskupi się raczej nie spodziewali

Magdalena Czyż

To nie będzie mój tekst. Postanowiłam przytoczyć obszerny fragment tekstu „Scholastyka na katafalku?” z portalu Więź, który uważam za jedno z najsilniejszych uderzeń w instytucję Kościoła w Polsce.

Najsilniejsze dlatego, że po pierwsze, wymowa tego tekstu jest jak dzwon. Po drugie, że przychodzi zza Spiżowej Bramy, a natarcia z tego kierunku polscy biskupi się raczej nie spodziewali. A po trzecie, że względu na osobę autora: Wojciecha Giertycha OP, stryja Romana. Teologa Domu Papieskiego i Konsultora Kongregacji Nauki i Wiary oraz Kongregacji ds. Beatyfikacji i Kanonizacji.

„Czyż nie jest tak, że w Polsce często uważa się, że moralność dotyczy przede wszystkim sfery seksualnej (stąd księża ostro pomstują na libertynizm seksualny i szerzące je zachodnie ideologie), a inne równie ważne grzechy są niezauważane? Natomiast z braku wrażliwości na etykę społeczną rodzą się: postawa roszczeniowa ludzi osobiście nieodpowiedzialnych, przyzwolenie na potworną korupcję, poparcie dla rządów autorytarnych z ubeckimi podsluchami i zbieraniem haków na przeciwników i swoich, powtarzanie oszczerstw, zakłamanie i szczucie na ludzi w mediach oraz fasadowy rocznicowy hurapatriotyzm, które nie ma nic wspólnego z odpowiedzialnością i cnotami społecznymi.

Zranienia życia rodzinnego z łatwym akceptowaniem małżeńskiej niewierności i bez troski wobec ślubnych i nieślubnych dzieci oraz nieodpowiedzialnością mężczyzn to poważne moralne defekty, ale grzechy społeczne też są poważne i wymagają autentycznej kontekstual-

nej reakcji. Jeśli to księża za pomocą teologii mają szukać źródeł tych trudności oraz lekarstw na nie, muszą też być krytyczni wobec niedociągnięć zdarzających się w ich własnym środowisku i nie mogą sądzić, że etyka społeczna jest tylko do użytku zewnętrznego, a więc kleru nie dotyczy. Można więc tutaj wymienić zdarzające się wśród duchowieństwa sytuacje jak np.: przyzwolenie na wkręcanie w korupcyjne przekręty finansowe,

korzystanie z funduszy wykradanych z kasy państwowej, uczestnictwo w donosicielstwie na rzecz dyktatorskiej czy zmierzającej do rządów autorytarnych władzy oraz powielanie jej propagandy, również w kościołach i w kościelnych mediach. A oddanie liturgii na potrzebę głoszącej oszczerstwa ideologii smoleńskiej? A absolutne głuche milczenie Kościoła, gdy rządzący łamali umowę społeczną, jaką jest uchwalona w referendum Konstytucja, podważali podział władz i poprzez przejęte publiczne media obrzydliwie szkalowali różne grupy społeczne i przeciwników, skłócając przy tym naród?

To są poważne grzechy polskiego Kościoła, upodabniające go do rosyjskiej Cerkwi oddanej brutalnej władzy i pozbawionej etyki społecznej. Nie ma w tym nic dziwnego, że księża mają czasem kontakty ze świeckimi zaangażowanymi w życie polityczne, ale uczestnictwo w społecznym zakłamaniu dla korzyści doczesnych krępuje swobodę głoszenia Ewangelii.

Przyglądając się sytuacji, teologia kontekstualna musi stawiać pytanie, jakie braki w formacji teologicznej i w katechezie spowodowały, że w społeczeństwie dochodzi do takich grzechów społecznych. Warto także przy okazji postawić pytanie, dlaczego w Polsce nauczanie moralne, a więc także obraz Kościoła kojarzą się przede wszystkim z zakazami i nakazami, a nie z życiem łaską, która wyzwala rzetelność, ofiarność, wolność, inwencję w dobru i nadprzyrodzoną miłość? I znowu sięgnięcie do wielkiej teologii i jej wyzwalającego ewangelicznego oddechu może pomóc w procesie korygowania myślenia”.

I w ten sposób stryj Romana Giertycha pozamiatał. Dziękuję. Nie mam pytań.

Skorumpowana Orkiestra Ideowej Przemocy

Dobre państwo według Zjednoczonej Prawicy: nie potrafię wygrać w szachy, więc wywrócę szachownicę



Marcin Matczak

W jakimś sensie można zrozumieć, dlaczego ludzie z osobowością autorytarną (za takich uważam dużą część polityków PiS), zwalczają niezależne media, sądy czy samorządy. Z ich punktu widzenia to logiczne, bo chcą świata brutalnie jednolitego, stworzonego na ich obraz i podobieństwo.

Niezależny sędzia do tego świata nie pasuje, bo może wydać wyrok nie po ich myśli, niezależny dziennikarz też, bo wolno mu napisać, co tylko chce, a nawet jakąś ich aferę ujawnić. Samorząd rządzi się sam, a przecież to autorytarny polityk chce wszystkim rządzić, więc ta samodzielność go boli.

Trochę trudniej jest zrozumieć inne anomalie promowane przez autorytarnych polityków. Dwie z nich ostatnio wpływają na powierzchnię: rozdawanie publicznych pieniędzy przez grupę Ziobry i rozdawanie punktów za publikacje naukowe przez grupę Czarnka. Bo czyż nie dałoby się pomyśleć polityka konserwatywnego, który ma wprowadzić zapędy autorytarne, ale dysponuje tym, co publiczne, uczciwie i przejrzysto? Okazuje się, że o takie stworzenie w naturze trudno.

Aby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do przeszłości. Autorytaryzm w ludzkich głowach jest

wieczny, bo wieczna jest potrzeba dominacji.

Historycznie autorytaryzmowi nie wystarcza jednak atakować inne władze: trzecią, czwartą czy samorządową. On jest chciwy bardziej, chce zdominować także kulturę, naukę, generalnie ludzką kreatywność – bo ona wytwarza różnorodność: punktów widzenia, wizji świata, planów na jego poprawianie. Stąd każdy autorytaryzm ma swój pomysł na *Gleichschaltung* – totalne ujednolicenie tego, co naturalnie jest różnorodne.

Politycy autorytarni nienawidzą różnorodności, bo świat różnorodny jest trudny do opanowania – szerzą się swobodnie myśli, pisarze piszą, co im do głowy przyjdzie, naukowcy badają to, co budzi ich ciekawość.

magać ofiarom chorób. Fundusz Sprawiedliwości bierze publiczne pieniądze, które ludzie wpłacają na wspólny cel, płacąc podatki, ale zamiast pomagać ofiarom przestępstw, rozdaje je swoim znajomym.

I tak zióbrowy Fundusz zamienia się w Skorumpowaną Orkiestrę Ideowej Przemocy – zamiast tego, co wspólne, finansował to, co swoje: promował politycznie Zjednoczoną Prawicę, a przez to jej jedynie słuszne idee, i wspierał organizację, które są z punktu widzenia Zjednoczonej Prawicy ideologicznie czyste. Działal, by tylko te jednolite, np. katolickie idee, się na tym świecie rozdziły. Wszystko to robił nieprzejrzysto, w sposób prawdopodobnie przestępczy.

malne 200 punktów można dostać za artykuł w „Pedagogice Katolickiej”, po co walczyć o tyle samo w wydawanym od 1880 roku „Science”? I konkurencja milion razy większa, i po angielsku trzeba pisać.

O systemie punktacji czasopism także usłyszeliśmy coś nowego. Prof. Szaciłowski z AGH z dużym wdziękiem wykazał, że w czasopismach promowanych punktami przez ministra Czarnka da się opublikować najbardziej idiotyczny artykuł naukowy, o ile jego tematyka jest zgodna z ich linią ideologiczną. Periodyk teologiczny opublikuje więc przesłódką pracę naukową, zgodnie z którą Jan Paweł II zbierał zapalki, co jest symbolem szacunku Papieża Polaka dla spraw zwykłych, nawet jeśli

Dlaczego? Bo polityk autorytarny nie może sobie poradzić ze światem, dlatego siłą musi w nim namieszać. Jak ktoś, kto nie potrafi wygrać w szachy, więc wywraca szachownicę – w zamieszaniu nikt już nie wie, jaki był wynik.

Nieujarzmiona konkurencja i różnorodność idei są naturalnym elementem świata społecznego i warunkiem jego ewolucji. Dzięki nim wiemy, jak walczyć z nowymi wyzwaniami, bo mamy na to pomysły. Nie dostarcza ich artykuł o zbieraniu zapalek przez Karola Wojtyłę, ale może dostarczyć artykuł w „Nature”. Dlatego oba nie mogą być tak samo docenione punktami.

Jeśli zaburzy się rzetelną konkurencję o pieniądze czy uznanie autorytarnym sterowaniem, jeśli zamiast dawać najlepszym, daje się krewnym i znajomym Królika, nie tylko coś się defrauduje. Dokonuje się zbrodni zakłamania rzeczywistości, często na obraz wewnętrznego zakłamania tych, którzy to robią.

To, co bogate i różnorodne, brutalnie docina się do wąskiej, jednolitej perspektywy, jaką ma w głowie autorytarny polityk. On myśli, że wtedy będzie lepiej i mądrzej, bo wyjdzie na jego. Problem w tym, że zawsze, jak wychodzi jednolice i autorytarnie, to wychodzi gorzej i głupiej. ●



● „Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

Nieujarzmiona konkurencja i różnorodność idei są warunkiem ewolucji świata społecznego

A przecież taka anarchia jest groźna – wiadomo, co oni tam wymyślą czy napiszą? Politycy autorytarni drżą, że ten świat im się wymknie spod kontroli – dlatego walczą nie tylko o władzę sensu stricto, ale także o rząd dusz. Dobrze, że najczęściej robią to nieudolnie.

• Weźmy Fundusz Sprawiedliwości, o którym ostatnio dowiadujemy się więcej od Pana Mraza. Okazało się, że ten Fundusz w iście diabelski sposób odwrócił ideę zniechęcenia przez PiS Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jerzy Owsiak zbiera od ludzi pieniądze, żeby zrealizować dobry, wspólny cel – po-

Innym przykładem ideologicznego i nieprzejrzystego rozdawnictwa jest wprowadzony przez ministra Czarnka system punktacji czasopism naukowych. Tu pieniądze rozdawało się pośrednio – najpierw było jakiemu czasopismu przyznano się 140 czy 200 punktów, czyli tyle, ile dostaje naukowiec za publikację w najlepszych światowych czasopismach, jak „Nature” czy „Ethics”.

Później za tymi punktami płynęły pieniądze – subwencje dla uczelni, granty dla naukowców, a wszystko to w oparciu o system, który ma tyle wspólnego z promocją wartościowych idei, co Fundusz Sprawiedliwości ze sprawiedliwością. Skoro maksy-

jest bez sensu i został napisany we współpracy z nieistniejącymi naukowcami z nieistniejących uczelni w Turkmenistanie.

• I fundusz Ziobry, i punktacja Czarnka zaciemnia świat i miesza w rzeczywistości. Jak u Orwella wojna była pokojem, a ignorancja siłą, tak tu głupota ma być mądrością, a dyktando profesjonalizmem. Nie masz doświadczenia w budowaniu ośrodków wychowawczych? Świetnie, dostajesz 100 milionów! Nie masz prawie żadnych osiągnięć akademickich – doskonale, dostajesz 100 punktów! Im gorzej dla prawdy i racjonalności, tym lepiej dla świata PiS.

REKLAMA

Kraj/34319778



**XII edycja
Nagrody
imienia
Wiśławy
Szymborskiej**
2024



NOMINOWANI ZA KSIĄŻKĘ WYDANĄ W 2023 ROKU

MAGDALENA BIELSKA • *Poradnik dla niedawno zmarłych*
AGATA JABŁOŃSKA • *Księżyc Grzybiarek*
MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR • *Wilki*
MICHAŁ SOBOL • *Trasy przelotów*
KATARZYNA SZWEDA • *zemia vulgaris*

Ogłoszenie laureata lub laureatki 7 lipca 2024 r.

LAUREAT ZA NAJLEPSZE TŁUMACZENIE NA JĘZYK POLSKI

MACIEJ TOPOLSKI
za przekład *Autobiografii czerwonego* **ANNE CARSON**

Miszmasz Kaczyńskiego

W przemówieniu padło zdanie, pod którym podpisuję się obiema rękami



Michał Rusinek

Niby wszystkie przemówienia Jarosława Kaczyńskiego w ramach kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego są podobne, ale jednak nie takie same, bo w każdym potrafi on zaskoczyć niespodziewanym elementem lub nowatorskim podejściem do znanego z poprzednich przemówień motywu. Tak też było w Dąbrowie Białostockiej.

Zaczął się od błyskotliwej diagnozy stanu rzeczy, która sprowadzała się do stwierdzenia, że w Europie panuje „czyste wariactwo”. Tego „wariactwa” — zdaniem Kaczyńskiego — „jest w tej chwili w Europie niebywała ilość”. Jego symptomami są „najróżniejsze przymusy, różnego rodzaju twierdzenia, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, odnoszące się do różnych spraw”. Przysnać trzeba, że jest to zdanie o otchłannej ogólności. Otchłannością tą sam mówca wyraźnie się zadziwił, bo jednak podał jedno exemplum: „W Niemczech na przykład co roku każdy deklaruje, czy jest kobietą, czy mężczyzną”. Okazało się, że przykład ten miał charakter humorystyczny, bo sala zareagowała zdrowym rechotem, co zresztą wytrawnego mówcy nie dziwiło. „Jeśli ktoś tego nie wie — a na pewno wszyscy państwo wiecie — to to jest w genach. Kobieta i mężczyzna mają inne geny. No, nic się na to nie poradzi” — dodał z udawaną troską. „A jakieś zakłócenia zdarzają się mniej więcej raz na tysiąc wypadków” — wyjaśnił naukowo, mając raczej na myśli „przypadki”, wspomniane „zakłócenia” podzielił zaś na fizyczne („tak zwane obojnactwo”) i psychiczne („bo to też się zdarza”), po czym humanitarnie zapewnił, że takim ludziom „oczywiście trzeba pomóc”.

Powtórzył, że tego typu przypadki to tylko „margines marginesów”, ale że stają się one na Zachodzie „pewną normą”. Po czym przeszedł do stałego wątku swoich kampanijnych przemówień, czyli kwestii wolności: z jednej stro-

ny „zabiera się ludziom wolność krytyki tych wszystkich dziwnych pomysłów”, a nawet zabiera wolność dosłownie, bo wtrąca się za ową krytykę do wzięcia. Z drugiej strony „uważa się, że to decydowanie o tym, czy jest się mężczyzną, czy kobietą, to jest sfera wolności”, co dla Kaczyńskiego jest absurdalne. Sformułował więc kolejną diagnozę stanu rzeczy w Europie: „Wolność się na Zachodzie cofa, tej wolności jest coraz mniej”.

Wtedy uruchomił swój ulubiony tryb insynuacyjny: „Komuś zależy na tym, żeby ludziom zupełnie pomieszać w głowie”. Wprawdzie teoretycznie tego „kogoś” wskazał, ale też posługując się kategorią dość mglistą: „Wiadomo, komu zależy. Zależy tym elitom, skrajnie demoralizowanym, które decydują o wielu sprawach na Zachodzie”. „Elitom” tym jednak się tylko wydaje, że o czymkolwiek decydują, bo „każdy człowiek, który wie, jak dzisiejszy świat wygląda, musi tutaj dostrzec także rękę ze Wschodu”. Na chwilę pojawił się w przemówieniu Kaczyńskiego Wschód, a więc zapewne rosyjskie służby, które chcą „zrobić ze świata zachodniego coś słabego, bezwolnego, zidiociałego, po to, żeby móc nad tym wszystkim zapanować”. Czyli możemy się czuć bezpieczni, bo nam nic nie grozi, jeśli pozostaniemy przy zdrowej polskiej transfobii. Oddychamy z ulgą.

Choć jednak powinniśmy się mieć na baczności, bo kiedy poprzednim razem rządziła PO, to „rozbrajała Polskę”, a więc prowadziła działalność antypaństwową, „być może inspirowaną przez Rosję”. Co robi teraz? Zobaczymy. Kaczyński „chciałby wierzyć”, że rozbrajać nie będzie. Tu nastąpił długi fragment dotyczący uzbrojenia, które zostało zakupione dla polskiej armii za rządów PiS-u. Trudno mi ocenić, czy był on zgodny z prawdą, ale z pewnością przebijala z niego fascynacja bronią: Kaczyńskiemu świeciły się oczy, kiedy mówił o armatach, myśliwcach i czołgach, które są tak odporne, że można je trafić nawet 57 razy, a one dalej będą zdolne do walki. Poraża i zarazem uspokaja precyzja takich opisów. Opisując możliwości amerykańskich czołgów typu Abrams Kaczyński nie tylko mówił, ale i pokazywał, że mogą nieomal jeździć po ścianach, więc wyobrażaliśmy go sobie jako małego chłopca bawiącego się żołnierzkami. Dodał też, wykrzywiając usta, że „niemieckie czołgi nie mają takich możliwości; zresztą nie mają wielu innych możliwości”. Wiadomo. Bo są niemieckie. A Niemcy w narracji Kaczyńskiego muszą być na przegranej pozycji.



FOT. JUSTYNA LISOWSKA

***Krzysztof Lisowski** – poeta, krytyk literacki, redaktor. Urodzony dziewięć lat po wojnie w Krakowie, gdzie dotąd mieszka. Ostatnio wydał tom wierszy „Trzeba czasu” (SPP 2024).



Militarna narracja prezesa PiS-u toczyła się jednak dalej: „Mamy oczywiście także własne plany, na przykład Mieczniki, które są okrętami wojennymi, takimi przeznaczonymi na Bałtyk. Nie mamy w tej chwili większych ambicji”. Czyli nie możemy wykluczyć, że kiedyś, pod kolejnymi rządami PiS-u, Polska może zacząć prowadzić działania wojenne także na morzach, z którymi nie graniczy. Aż kusi, żeby zadać Kaczyńskiemu pytanie, jakie „większe ambicje” ma na myśli, ale bez wątplenia wszystkie kraje, które mają dostęp do innych mórz, powinny się mieć na baczności.

Od wojen dosłownych, realnych i ambicjonalnych, Kaczyński przeszedł do wojny metaforycznej, a ściślej: „wojny religijnej rozpoczętej przez Trzaskowskiego”, polegającej na eliminowaniu symboli religijnych z urzędów. Prezydent Warszawy jest przedstawicielem „opcji europejskiej”, a ona ma jeden cel: „zniszczyć religię, zniszczyć to, w co ludzie wierzą, zniszczyć to, że ludzie wierzą, że są czymś więcej niż tylko homo sapiens”. Kaczyński najwyraźniej powątpiewa w teorię ewolucji (wyznaną przez „opcję europejską”), podobnie jak wspomniani „ludzie”, którzy „wierzą, że są ludźmi, którzy mają duszę, którzy zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga”. I dzięki temu wierzą, że są „ważni” oraz że są „nieśmiertelni”. Oni („opcja europejska”) „chcą to zniszczyć, chcą z ludzi zrobić zwierzęta. My się tu w Polsce na to nie godzimy”. Innymi słowy, Zachód chce zabrać nam duszę, któ-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Krzysztof Lisowski*

Statystyki

Zdarza się często że ludzie
Umierają w czasach niewoli

Niektórzy odchodzą w
Rzadkich momentach
Odzyskania wolności

Sprawa jest otwarta –
Za co i kiedy można albo trzeba umierać

Brat mego dziadka Aleksander
Został rozstrzelany przez Rosjan
W wielkiej czystce 1937 roku
Mógł być szpiegiem „pańskiej” Polski
Bo pisywał listy do brata Karola

Mam bumagę z 1956
Pośmiertnie zrehabilitowany
Pieczętka podpis
Wieczna niewinność

Komu ruski diabeł dał moment ulgi
Albo chwilę prawdy
Pytałem o to Marię Rosjanekę
Miała wypłakane oczy
Pełne niezapominajek

Wiedziała że na nocnych mogiłach
Zabójcy sadzą szybkie sosny

Aż kusi, żeby zadać
Kaczyńskiemu pytanie,
jakie „większe ambicje” ma
na myśli, ale bez wątplenia
wszystkie kraje, które
mają dostęp do innych
mórz, powinny się mieć na
baczności

ra, jak wiemy, jest nieśmiertelna. To z Zachodu płynie prawdziwe zagrożenie, bo jeśli Putin nas powybijają, to skończymy, jako homines sapientes, czyli w grobach, a nie będziemy cieszyć się życiem wiecznym w Niebiesiech. Ale nic z tego. Nie pozwoli na to jak zwykle Polska, czyli przedmurze chrześcijaństwa. Jak mawiał Antoni Słonimski — przedmurze obrotowe.

W całym długim przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego padło tylko jedno zdanie, które nie tylko nie budzi moich wątpliwości, ale podpisuję się pod nim obiema rękami, zwłaszcza ze względu na wszystkie, dość wstrząsające, zdania pozostałe: „Te wybory są niesłychanie ważne!”.

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wielński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejewska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



TIME FOR SEX

Boa kusiciel”
zamiast penisa?

I co to znaczy „box the jesuit”?

Co kryje słownik seksualizmów?

„MARLBORO Z ROZPORO”

Z **JACKIEM LEWINSONEM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Co to jest „seksualna kłątwa Żeromskiego”, o której piszesz we wstępie do „Angielsko-polskiego słownika seksualizmów”?

JACEK LEWINSON, autor słownika: Stefan Żeromski jest symbolem nieudanych scen erotycznych. On i ona są w jakimś pomieszczeniu, sytuacja się rozwija i wszystko wskazuje na to, że zaraz zacnie się dziać. I nagle pada zdanie w rodzaju: „a wtedy zaszedł księżyc” czy „następnego dnia X obudzila się i przeciągnęła radośnie”. Jednocześnie sam Żeromski, o czym przypomina we wstępie do „Słownika...” Krzysztof Varga, miał bardzo bujne życie erotyczne.

Opisy seksu w polskiej literaturze przezwane są nieudane, rażą sztucznością. I dlatego trochę żartem można powiedzieć, że ciąży nad nimi właśnie kłątwa autora „Ludzi bezdomnych”.

Cel, jaki przed sobą postawiłem, to sprawdzenie, czy ta sztuczność czasem nie wynika z braku narzędzi, czyli odpowiednich słów. I „Słownikiem...” udowodniam, że zestaw narzędzi jest pod ręką, tylko zawodzi technika korzystania z nich.

Ale to polska literatura jest dla ciebie źródłem słów, które trafiły do słownika. – Oczywiście. Mój pierwszy słownik seksualizmów powstał z przekory – zarówno wobec tego braku, jak i w ogóle tego, jaki mamy stosunek wobec seksualizmów, czy wulgaryzmów. Kiedy – jeszcze jako student

– miałem na polonistyce referat na temat wulgaryzmów, dwie koleżanki demonstracyjnie wyszły z sali.

Zenon Klemensiewicz pisał o „słowniku organów i czynności »poniżej pasa«”. Seksualizmy czy wulgaryzmy wciąż nie wydają się godnym tematem badań, a przecież mówią o nas niesamowicie dużo.

Polskie słownictwo seksualne jest, ale głęboko skrywane, przeinaczane, cenzurowane. Fredrowska „Sztuka jebania” została wydana jako „Sztuka oblapiania”. Dzieła Stanisława Trembeckiego zostały rozdzielone – te o tematyce seksualnej oddzielono od głównego korpusu i wydano w stu egzemplarzach, niemal jako druk ścisłego zachowania.

Był oczywiście na początku XX w. słynny seksuolog Stanisław Kurkiewicz, ale nic z tego, co wymyślił, się nie przyjęło. To był to facet z misją, ale słowa tworzył mechanicznie. W dość – technicznie rzecz biorąc – banalny sposób. Jednak jest coś ważnego w tej historii – otóż ten „plciownik” zażył się słowotwórstwem po tym, gdy okazało się, że ludzie nie potrafią mu opowiedzieć o swoich dolegliwościach seksualnych. Chciał jakoś przełamać wstyd, który wiele osób ma, kiedy musi wyjść poza niedopowiedziane „robiłem to i zabolalo mnie tam”.

Czasem się mówi, że polski jest językiem ubogim w seksualizmy, w przeciwieństwie do angielskiego, czy francuskiego.

– To stereotyp, który łatwo powtórzyć tyśiąc razy, aż staje się prawdą objawioną. Oczywiście, pracując nad „Słownikiem...”

musiałem się naszperać, ale to nie znaczy, że tego słownictwa nie ma.

25 lat temu wydałem „Słownik seksualizmów polskich”, dokumentujący około 11 tys. polskich seksualizmów. W kolejnych latach zacząłem zastanawiać się nad tym, jak ta kwestia wygląda w innych językach. I tak narodził się ten słownik, który zawiera 16 tys. słów polskich i tyleż angielskich. Nasze leksyki erotyczne są porównywalne. Nie oznacza to, że są identyczne, bo nasze języki przechodziły inne koleje losu.

W angielskim mamy większe zróżnicowanie, znaczniejszy udział dialektów, bo przecież angielski jest inny w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Jamajce czy w Kanadzie. Jest to język używany przez wiele osób, dla których nie jest pierwszym językiem. W angielskim są na przykład takie zjawiska językowe, jak Cockney Rhyming Slang, którego nie da się przetłumaczyć na polski. W nim mamy np. „allied Irish bank”, czyli „onanizować się”, albo „almond rock” na określenie penisa.

Język polski korzystał głównie z zapożyczeń z języka niemieckiego, francuskiego. Obecnie korzysta z angielskiego. W angielskim są za to zapożyczenia z hebrajskiego i jidysz, jak dokus, gunsel, schlong, schmock, schwantz, których u nas nie ma zupełnie.

To zaskakujące.

– Wydaje mi się, że decyduje o tym fakt, że katolicy uważali współzycie z Żydówkami czy Żydami za akt bestialstwa, sodomii, na równi z zoofilią.

U nas to, co najwyżej, „na misjonarza”. – A to akurat polski wynalazek.

Jakoś mnie to nie zaskakuje.

– Terminu „pozycja misjonarska” po raz pierwszy użył Bronisław Malinowski, antropolog, który w ten sposób chciał opisać stosunek płciowy twarzą w twarz, który jest bardzo rzadki u ludów, którymi się zajmował. Proszę jednak pamiętać, że Malinowski pisał po angielsku.

Czy w języku angielskim są seksualne polonizmy?

– Ich zasięg jest raczej marginalny, aczkolwiek wszystkie angielskie słowniki slangu seksualnego podają słowo „kielbasa” w znaczeniu „penis”.

Pomiędzy słownikiem seksualizmów z 1999 r. a tym współczesnym dużo się wydarzyło w polskim języku seksualnym?

– Doszło ponad 5 tys. nowych słów, ale to niekoniecznie efekt inwencji językotwórczej Polaków, a moich poszukiwań. Język się zmienia cały czas, nie jest tworem podającym się mrożeniu.

Niektórzy narzekają, że u nas jest już tylko „jebanie” i mnóstwo pochodnych tegoż.

– Przypomina mi się fragment „Karafki La Fontaine’a” Melchiora Wańkowicza, wykład „ogniomistrza w baterii działek przeciwpancernych we Włoszech”: „Odpieprzacie zawór, przepieprzacie lufę wyciorem, wpieprzacie pocisk, przypieprzacie iglicę, zapieprzacie zawór, napieprzacie na cel,



FOT. SHUTTERSTOCK

wypieprzacie pocisk, podpieprzacie drugim i czołg – rozpieprzony. Jak sieprzyć, to już was porucznik opieprzy. Zrozumiano?”

Polszczyzna poszerza się, ale w dużej mierze dzięki językowi angielskiemu. Jakoś sama w sobie nie jest w stanie tak szybko wytwarzać słów. Zobacz, jak niewiele jest w języku polskim określeń osoby heteroseksualnej. Jakie znasz?

Hmm... Heteryk? Normals?

– Nie ma tego zbyt wiele. Może ktoś powie „prosty”? Ale raczej nie. Język angielski słyszmy w filmach, piosenkach.

Podczas pracy nad polskim słownikiem seksualizmów, podzieliłem słowa na kategorie tematyczne. Okazało się, że większość określeń penisa odnosi się do broni, przedmiotów długich, czasem wąskich. W przypadku piersi były to najczęściej kuliste owoce. Tych kategorii nie było zbyt wiele. Okazuje się, że w innych językach jest w miarę podobnie. Kategorie, które stworzyłem dla polszczyzny erotycznej, można niemal jeden do jednego przypisać do języka angielskiego.

Wyobraźnia seksualna Polaka i Anglika są takie same, to są dokładnie te same sposoby porównywania, skojarzenia, sposoby myślenia. Dlatego powstał ten słownik angielsko-polski, żeby pokazać, że są to zbiory porównywalne, że nie musimy się wstydzić i jesteśmy w tym samym miejscu. Tylko język polski jest dużo słabiej udokumentowany.

Zależało mi na tym, by pomóc tłumaczom, żeby zamiast dwóch odpowiedni-

ków, które przychodzą nam do głowy natychmiast, mieć ich 10. A jak te dziesięć nie wystarczy, to na końcu jest ten słownik onomazjologiczny, czyli klasyfikacja słów zbierające je w grupy.

Masturbować się to „walić kapucyna”. To od religii?

– Kapucyn pochodzi od kaptura noszonego przez mnicha. Nazwa zakonu jest tu mniej ważna, bo w angielskim mamy „box the jesuit”. Ważne jest przyrównanie postaci w kapturze do żołędzia penisa.

Sporo tu zwierząt. Koń, sarenka, ryś.

– Sarenka od ręki, ryś – rąsi. Koń – wiadomo, jaki jest. Najbardziej lubię gry słów, czy sformułowania takie jak Mary Fist czy u nas Maryla Piąstkowska, Renia Grabowska.

Ale pojawia się też „joystick”.

– Wiesz, że na „trackpoint”, punkt dotyku w komputerach, który jeszcze niedawno można było znaleźć na klawiaturach, mówiono „clit”, czyli „lechtaczka”?

„Myszka” od razu przestała brzmieć niewinnie... Większość seksualizmów dotyczy jednak męskiej seksualności, a te odnoszące się do kobiet często ukazują męską perspektywę.

– Seksualizmy są tworzone przez mężczyzn. Rzadko to wynalazek kobiety. Właściwie trudno znaleźć literaturę pisaną przez kobietę, która by w jakiś kreatywny sposób zmieniała język seksualny.

Obcujesz z seksualizmami od wielu lat. Dlaczego?

– Ja w ten sposób odpoczywam. Ktoś chodzi po górach, ktoś leży na plaży, a mnie takie rzeczy zupełnie nie bawią. Odpoczywam, dłubiąc w takich świństwach.

Kręci mnie gra słów, najbardziej taka podbudowana humorem. Tylko nie negatywnym, drwiną, wyszydzeniem, ale zdrowym, czystym śmiechem. Erotycznym żartem. Bardzo podoba mi się angielska fraza określająca stosunek oralny – „go for sushi”. Po polsku byśmy mogli powiedzieć: „zejść do rybnego”. Czy „blue-veined havana”, którego polski odpowiednik to np. „marlboro z rozporo”.

Beyoncé w „Drunk in Love” śpiewała o „cigars on ice”, co ma wspaniałą pojemność znaczeń w piosence o seksie. Od drinka pitego podczas palenia cygara po ulżenie komuś. W słowniku jest też trochę określeń pochodzących od konkretnych narodów. „Prywatka szwedzka”?

– Seks grupowy. Taki all-inclusive. W „Słowniku...” czytelnicy znajdą słowa z różnych rejestrów, są te używane powszechnie, ale jest też terminologia medyczna, wulgaryzmy, słowa poetyckie, indywidualizmy, przykłady różnych gwar przestępczych, studenckich, szkolnych i tak dalej. Pozbawione kontekstu często nie brzmią najszcześliwiej, nie w każdym zdaniu będą pasować.

Osoba homoseksualna to m.in. „glinokop”. Skąd to?

– Ze slangu przestępczego. Kopanie gliny, czyli stosunek analny.

Czy język slangowy się rozwija, czy raczej unifikuje?

– To pewnie zależy od subkultury, ale gdy rozmawiam z moimi córkami w wieku 19 i 25 lat, to czasami muszę prosić o tłumaczenie. Kłopotem jest dostępność sformułowań slangowych. O ile twierdzę, że języki erotyczne, polski i angielski, są – jako zbiór – porównywalne, o tyle dokumentacja tych języków już nie. Angielski jest językiem – przepraszam za określenie – przesłownikowanym. A polski niedosłownikowanym.

W angielskim mamy słowniki slangów, niemal każde zjawisko językowe jest poddawane opracowaniu, z którego ktoś taki

jak ja może korzystać. Są też opracowania dotyczące języka poszczególnych pisarzy czy pisarek. Natomiast jeśli chodzi o korpus języka polskiego, to przeważają w nim opracowania typu ogólnego.

Wróćmy jeszcze do Szwedów. Z Rzymianami wiąże się rozwiązłość, a seks może być „na Hiszpana”. Narodowość gra rolę w seksualizmach?

– Ciekawie wiąże się to ze wstydem, a raczej czymś wstydliwym, czyli chorobami wenerycznymi. Pojawiły się najpierw wśród wielonarodowej armii Karola VIII Walezjusza pustoszącego w końcu XV wieku Włochy. W związku z tym mamy „niemoc neapolitańską” i „niemoc włoską”. Ale Włosi oczywiście oskarżali Francuzów, w związku z tym „choroba francuska”, czy „franca”. Francuzi później przenieśli odpowiedzialność na Anglików i mamy „chorobę angielską”. Za to Litwini mówią o „chorobie polskiej”, co jest o tyle uzasadnione, że choroby weneryczne najpierw pojawiły się w Polsce, a chwilę później na Litwie.

Wśród seksualizmów najczęściej wspomina się Francję, która jest kojarzona ze stosunkiem oralno-genitalnym.

Postaci historyczne?

– Są oczywiście fikcyjne jak Don Juan czy istniejące, ale przemieniające się w legendę, jak Casanova. W angielskim uwieczniono słynne prostytutki. Ale też na przykład – słynna Molly Malone, postać zapewne fikcyjna, o której śpiewają Irlandczycy, to sprzedawczyni ryb, która miała być cnotliwa w przeciwieństwie do innych kobiet wykonujących ten zawód. W Polsce eponimów jest dużo mniej, sporo z nich wiąże się choćby z nazwami prezerwatyw – unimil, wulkan, eros.

Znasz jakieś polskie mleczarnie?

Nie mam pojęcia, ale pewnie mają nazwy w rodzaju „mlekoop”.

– W Australii jest mleczarnia „Bordens”, której nazwa funkcjonuje też jako określenie dużych piersi. „Dralon” w znaczeniu odbytu pochodzi od niemieckiego producenta obić siedzeniowych. „Vivitar” jako penis od nazwy producenta obiektów fotograficznych.

Czy spośród tych tysięcy seksualizmów, masz jakieś, które uważasz, że warto rozpropagować?

– Mnóstwo jest słów, które gdyby weszły do powszechnego użycia, sprawiłoby, że nasze życie stałoby się lepsze – ciekawsze, śmieszniejsze. Ale nie mam jednego przykładu. Lubię „boa kusiciel”, zamiast penisa, „biustwo” czy „grudki zmysłowych skowronków” na miejsce piersi, „miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę” zamiast pośladków, „robotę, co się nie kurzy” zamiast stosunku pciowego. Też „kieszeń środkowa” zamiast sromu.

Myślę, że musimy wrócić do „Karafki La Fontaine’a” Wańkowicza – gdyby udało nam się wyjść poza to dokładanie przedrostków do czasowników, byłoby wspaniale i jakże sexy. ●



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jacek Lewinson

• absolwent Wydziału Polonistyki UW, autor m.in. „Słownika seksualizmów polskich”. Pracował jako księgarz. Obecnie prowadzi agencję reprezentującą zachodnie wydawnictwa naukowe.

Krótka lekcja seksualizmów

Aunt Maria – dosł. „ciotka Maria”. Słowo oznaczające srom. Odpowiedniki polskie: brygida, ciotka, gosposia, karolina, kaśka, kryśka, mańka, pani Gi / Dzi, pani stara, zosia.

bishop – dosł. „biskup”. Słowo oznaczające prezerwatywę. Pochodzi od sformułowania „bishop of Condom”. Odpowiedniki polskie: durex, eros, kondom, prezes, przeciwerosowy, stomilek, unimil

club sandwich – dosł. „kanapka klubowa”. Słowo oznaczające orgię seksualną. Odpowiedniki polskie: derby, gwiazda, na dwa baty, narciarstwo, rozgwiazda, supergwiazda, szal pał, szwancparada, trójkącik, we troje.

Dickie and the boys – dosł. „Rysio i chłopaki”. Słowo oznaczające genitalia męskie. Odpowiedniki polskie m.in.: dwie kuki i armatka, dzwonki z trzonkiem, hawajski z bakami, kowadło i miechy.

flick a dick – dosł. „pstryknąć fiut”. Słowo oznaczające onanizm. Odpowiedniki polskie m.in.: bić gruchę, bić stojaka, bykować, grzmocić buca, okładać chabetę, pstrykać łysegą, strzelać w gruchę, walić malego.

fuck master – dosł. „mistrz pierdolenia”. Słowo oznaczające sutenera. Odpowiedniki polskie m.in.: dupnik, kurewnik, kurwiarz, pizdograbek, pizdomęczyciel, przydupnik, przyjebiec.

go below 14th street – dosł. „iść poniżej Czternastej Ulicy”. Słowo oznaczające stosunek pciowy oralno-falliczny. Odpowiedniki polskie m.in.: praca na kolanach, praca piętro niżej, zejść do parteru, zjechać w dół.

indorser – dosł. „żyrant”. Od gry słów przez podobieństwo do „in the arse”, czyli „w dupę”. Słowo oznaczające homoseksualistę. Odpowiedniki polskie m.in.: ceglarz, dokopnik gliny, dubczek, dupojebak, gliniarz, kakalarz, kiszkowiec, wparowa.

necking – dosł. „gra wstępna”. Odpowiedniki polskie m.in.: całowanki, czułości, karesy, lasić się, macanka, macerowanie, miętolenie, migdalenie, miżać się, pieścić się.

rope the pope – dosł. „związać papieża”. Słowo oznaczające onanizm. Odpowiedniki polskie m.in.: bawić się koniem, ciągać druta, dusić potwora, gnębić pawiana, katować konia, marszczyć pingwina, targać kabel.

tap a girl – dosł. „puknąć dziewczynę”. Słowo oznaczające pozbawienie dziewictwa. Odpowiedniki polskie m.in.: kruszyć mury, przerwać błonę, rozbijać knotem broszkę, rozdupczać, rozkalibrować, rozpruć, zniszczenie wianka.

Jacek Lewinson, „Angielsko-polski słownik seksualizmów”, wyd. Kraina Książek, Wrocław 2024



Zbigniew Mikołajko 1951-2024 Pożegnanie filozofa

NA SALONACH DUSZA GNUŚNIEJE

Wiecznie żywy w nim Grek
zapisywał między wersami książek:
„ta éschata”. To, co ostateczne

Krzysztof Czyżewski*

Trudno objąć go jednym określeniem, tytułem czy etykietą. Kształcił się na czeladnika w wielu cechach, a jak tylko groziło mu pasowanie na mistrza, przechodził do innego warsztatu, zaczynał tworzyć książkę z materii myśli jeszcze nieoswojonej, w wywiadach zapuszczał się w obszary, z którymi nikt wcześniej go nie kojarzył, olśniewając przy tym erudycją.

Profesor Zbigniew Mikołajko potrafił łączyć odległe światy, w czasie i przestrzeni. Jak tlenu potrzebował sprzeczności i paradoksu. Czuł bowiem, że człowiek pozostawiony na pastwę racjonalnych eksplikacji swojej egzystencji i żelaznych praw świata szybko popadłby w nihilistyczny pesymizm i oszalał pod ciężarem cierpienia niewinnych. Przejmując od filozofa Lwa Szestowa apoteozę nieoczywistości, przelożył ją na skuteczność błędzenia. I gdy tylko nadarzała się okazja, wyruszał na włóczęgę.

Lubił zabierać swoich studentów w podróże po peryferiach i prowincjach Polski, przekonany, że niesforna dusza, z którą przychodzimy na świat, gnuśniej na salonach wielkiego centrum.

– Panie profesorze... – słyszałem od studentów, z którymi przybywał do Ośrodka „Pogranicza”. – Najchętniej przeszedłbym z nimi na ty – zwierzał mi się w rozmowie. – Tym bardziej, że ja wciąż tyle się uczę podczas tych podróży, również od nich. Lecz moja dusza wiecznego kontestatora nie może się obejść bez szacunku dla tradycji.

Mówiliśmy do niego „Zbyszek”, a on nauczył nas, że spoufalające ciepło przyjacielskiej relacji łączy się, a wręcz domaga walki o pryncypia, że prawdziwe życie to nadawanie życiu sensu.

skiej relacji łączy się, a wręcz domaga walki o pryncypia, że prawdziwe życie to nadawanie życiu sensu.

Zbyszek dedykował swoją obecność pośród nas rzeczom ostatecznym. Wiecznie żywy w nim Grek zapisywał je między wersami książek: „ta éschata” [to, co ostateczne]. Przemoc, śmierć i Bóg – wyliczał w podtytułach jednej z nich. I zaraz dodawał: przerażenie, kozioł ofiarny, ból, bunt, zło.

Los nie szczędził mu podróży do krainy ciemności. Rozumiał świat jako wszechmogący, czyli taki, który poddaje człowieka i inne istoty żywe władzy mrocznych demonów. Ale człowiek był też mogącym coś w nim zmienić. Stąd jego bezsenność w czynieniu myśli sprawczą. Siłę zła dostrzegał w tym, że za jego sprawą zaczyna myśleć, iż nic nie możemy. Nie potrafił oddzielić warsztatu naukowca, filozofa i pisarza od pracy pedagogicznej i etosu intelektualisty zaangażowanego. Był z tych, co nigdy nie zaznają spokoju ducha. Ten sam Grek stał w nim na straży piękna, które za lustro ma dobro i prawdę.

Był poetą. Nie tylko jako autor tomików wierszy opublikowanych pod koniec życia. Był nim od dzieciństwa, gdy doświadczana w rodzinie i szkole przemoc kusiła go zdradą miłości i wyrzeczeniem się wiary w realność pierwiastka świetlistego w świecie, wolnego od ślepej konieczności.

Opowiadał mi kiedyś o kuźni, w której dostrzegał uniwersum człowieka – smolistociemna, brudząca sadzą, pełna potu, żaru i grzmotów kowalskiego młota, zawalona żelastwem, budząca lęk i do bólu niegościnna dla nieoswojonych z mrokiem. Ale to właśnie tu, nigdzie indziej – mówił, mrużąc oczy od dymu z papierosa – wykukawa się dźwięk czystych i jasnych strun. To

prawda, że towarzyszą im drapieżne myśli o nikczemnym przeznaczeniu, obrysowującym żywe istnienie kręgiem przemijania i śmierci, ale przekuć je można tylko tu, w kuźni, kunsztem Orfeusza.

Wierzył w taką moc poezji, powtarzając za Miłoszem: „Wiedzieć i nie mówić;/ tak się zapomina./ Co jest wymówione wzmacnia się./ Co nie jest wymówione zmierza do nieistnienia”.

Właśnie dlatego obecność poezji u autora „Prowincji ciemności” była tak nieodzownie naturalna. I z tego źródła płynęły jego słowa z posiedzenia jury Europejskiego Poety Wolności, jedne z ostatnich, jakie od niego usłyszeliśmy: „Poezja jest zbyt poważną rzeczą, żeby się o nią nie kłócić”.

Gdańska nagroda przyznawana europejskim poetkom i poetom wolności ma swoją duszę, jedyną taką w całym świecie. Zbyszek odcisnął na niej silne piętno. Podobnie zresztą jak Paweł Huelle.

Ich odejście pozostawia głęboką wyrwę. Dzielił pasję do rozmowy i spierania się o sprawy zasadnicze. Nie przymykali oka na indyferentyzm moralny. Nie znosili wszelkich ortodoksji; „załatuje od nich smołą, kańczugiem i wędzidłem” – pisał Zbyszek, a Paweł podpisałby się pod tymi słowami. Dobrze się czuli na rozłogach, w przestrzeni, gdzie można skutecznie błędzić, gdzieś pomiędzy agnostycyzmem i gnostycyzmem, światłoczułość dla transcendencji.

Łączyło ich też szczególne obcowanie z poezją. Choć początki ich twórczości związane były z pisaniem wierszy, uznania i sławy nie zdobyli za sprawą publikacji tomów poetyckich. Dzięki temu poezja pozostała głęboko intymnym i niejako ubocznym torem ich twórczości, a przez to wol-

nym od literackiej koniunktury i medialno-rynkowych nacisków.

Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że była dla nich czymś w rodzaju „sacra conversazione”, której językiem można wyrazić niewyraźne i niepodległe nicości („Szacuneczek, panie Ryszardzie” – byłem świadkiem, jak Paweł wypowiadał te słowa do poety Krynickiego, uchylając kapelusza; i Zbyszek również uchyliłby kapelusza).

Spotykaliśmy się w kręgu jurorskiej debaty toczzonej nad wyborem wierszy zasługujących na poetycki laur Gdańska i Europy: Zbyszek i Paweł, a także Olga Tokarczuk, Beata Stasińska, Anna Czekanowicz, Krzysztof Pomian, Stanisław Rosiek i Andrzej S. Jagodziński, a był czas, że byli z nami również Agnieszka Holland i Andrzej Seweryn. Sporo lat wspólnych lektur i żarliwych dyskusji. Wyłania się z nich sylwetka Zbyszka oscylująca wokół trzech pasji jego życia, symbolizowanych przez słowa: solidarność, wolność i Gdańsk.

Świadomie piszę „solidarność” przed „wolnością”, taki był bowiem porządek wartości w świecie Zbyszka. I stało się to silnym, promieniującym również na wartościowanie poezji znamieniem gdańskiej nagrody.

Wszyscy z jej kręgu wychowaliśmy się na przekonaniu, wyrażonym w słynnym przesłaniu ze strajku w Stoczni Gdańskiej: „Nie ma wolności bez solidarności”. W latach zniewolenia tak rozumieliśmy solidarność – jako posługę na rzecz suwerenności, niezależności i wolności indywidualnej.

A potem weszliśmy w okres demokratycznej transformacji Polski i całej Europy Środkowej, wolnego rynku i liberalnej, a czasem też neoliberalnej drogi przezwyciężania dziedzictwa komunizmu, lub – zmieniając perspektywę – podążania ku



– Cóż jest warta wolność
– pytał Zbyszek – jeśli nie
idzie za nią solidarność
społeczna i ekologiczna,
**jeśli nie owocuje empatią
wobec Innego?**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / FOT. AGENCJA WYBORCZA.PL

Zachodowi. I zaczęliśmy mieć problem z solidarnością. Tą społeczną, na co dzień, sąsiedzką, już nie wobec państwa i narodu, ale wobec słabszych, wykluczonych i marginalizowanych.

Historia nie dała nam czasu, by docenić i nauczyć się innego bohaterstwa – już nie na barykadzie wielkiej sprawy ojczyznianej, ale w przestrzeni małej ojczyzny, na froncie zgrzebnej i często okrutnie nielitościwej codzienności. – Cóż jest warta wolność – pytał Zbyszek – jeśli nie idzie za nią solidarność społeczna i ekologiczna, jeśli nie owocuje empatią wobec Innego?

Jego słuch poetycki był niezwykle wyczulony w materii współodczuwania i współlistnienia z innymi, także nieludzkimi istotami. I widzieliśmy go prawdziwie szczęśliwym, gdy odkrywał w poezji europejskiej tworzonej w obliczu pogłębiających się podziałów społecznych, zbrojnych agresji w byłej Jugosławii i w Ukrainie, kryzysu migracyjnego i nasilających się wojen kulturowych właśnie ten rodzaj wrażliwości i poszukiwania nowego języka dla jej wyrażenia.

Mam przed oczami obraz Zbyszka z dzieciństwa... Chłopiec wątlej postury, siedzący samotnie w ławce szkolnej, wstydliwie podwijający nogi, by ukryć przed oczami kolegów bose stopy. Rzecz dzieje się w Lidzbarku Warmińskim. Chłopiec pochodzi z rozbitej rodziny, ojciec porzucił go, gdy miał dwa i pół roku, nie zginął, nie umarł, lecz odszedł – dotkliwie upokorzenie w wojennym, szytym na peerelowską modłę światku.

Ucho ma przecięte raną po uderzeniu sznurem od żelazka – ślad narastającej agresji matki, wydanej za mąż w wieku 16 lat, bez szans na rozwinięcie w dorosłym

życiu przyrodzonego geniuszu malowania, która znalazła w dziecku kozła ofiarnego za doznawane od losu ciosy. Matka założyła nową rodzinę, a on stał się ledwie tolerowanym bękartem – „bajstrukiem”, jak się mówiło w gwarze przesiedleńców ze Wschodu.

Spał na łóżku polowym, rozkładanym to na strychu, to w korytarzu. Zamiast śniadania dostał butelkę, by ją sprzedać w skupie i w ten sposób zarobić na bułkę. Tego dnia mógł nic nie jeść, bo wszystkie skrzynki ze szkłem w skupie były już zapelnione.

Poprzedniego dnia wydarzył mu się kolejny, zdawałoby się niewielki dramat. Bawił się z innymi dziećmi nad brzegiem rzeki Symarny i któryś z kolegów wrzucił na głęboką wodę jego sandalek. Po powrocie do domu matka nie tylko go skatowała, ale też nakazała mu przez kilka dni chodzić boso do szkoły. A teraz na próżno próbował to ukryć przez nauczycielem i kolegami. I nie było dla niego litości w do cna skażonej kłamstwem i przemocą rzeczywistości – kulil się w ławce, osaczony szyderczym śmiechem i szturchnięciami.

W świecie „družby narodów” nie było miejsca dla solidarności z chłopcem naznaczonym złym losem. „Bicie i poniżanie dzieci było wtedy normalną praktyką wychowawczą. Bito chłopaków za to, że się nie uczyli, kogoś pobili, stłukli szybę, zachowywali się niegrzecznie. A ja byłem bity ot tak sobie. Za wszystko” – mówił w rozmowie z Dorotą Kowalską.

Tak, Zbyszek wiedział, co to znaczy żyć ze stygmatem inności i jaką płaci się za to cenę. Tą ceną, obok cierpienia, mogłaby być także nienawiść, żądza zemsty, zamknięcie się przed światem, przemoc wobec jeszcze słabszych innych. Dokonał ogromnej pracy, by nie zapłacić tej ceny. I tak stał się człowiekiem wszechobejmu-

jącej solidarności. Dopiero w ten sposób wolnym, bardziej wolnym od nienawiści i mrocznego resentymentu niż dla indywidualnego komfortu niezależności. Człowiekiem świetlistym.

Jak to było możliwe, ten cud transgresji? Na szczęście, obok wszędożyłkiej materialnej i duchowej nędzy, na świecie były jeszcze książki. Zbyszek do końca życia ocalił w sobie dziecko, królujące w niepodległym nicości księstwie wyobraźni.

„Kiedy więc rozwinąłem z papieru – pisał we wspomnieniu „Baśń i książka” – opasły, opatrzony pięknymi, wciąż pięknymi, ilustracjami Marii Orłowskiej-Gabrys i opracowany przez Marię Niklewiczową tom »Bajarka opowiada. Zbiór baśni całego świata«, dopadło mnie to samo doświadczenie:

»Umierali prawie z zachwytów, zmartwychwstając zarazem tam, w tym życiu jasnym, wielkim, mocarnym, bujnym a świętym, i cudownościami poprzeraśnianym, tam, gdzie każde drzewo mówi, każdy ruczaj śpiewa, każdy ptak jest zaklęty, każdy kamień ma duszę, każdy bór jest pełen czarów, każda grudka ziemi przepojona nieznanymi potęgami – gdzie wszystko wielkie, nadludzkie, niewidziane żyło świętym życiem cudów! Tam się parli całą potęgą tęsknoty, tam snuli się oczarowani, gdzie wszystko splatało się w nierozzerwalny łańcuch marzeń i życia, cudów i pragnień, w czarodziejski korowód wyśnionej istnienia, do którego wciąż, przez całą nędzę bytowania ziemskiego rwały się im strudzone, okaleczone dusze!«”.

Literatura dała Zbyszkowi coś jeszcze – powrót i odrodzenie kosmicznej galaktyki miejsca urodzenia i dojrzewania. Tym również, obok solidarnościowej wolności, był

dla niego Gdańsk – cudowną planetą, na której pisarze i pisarki zbudowali laboratorium genius loci, pionierskie w Polsce, uniwersalne dla całego świata. Dlatego Zbyszek, po profesorsku i po ludzku szczerze, chylił kapelusza przed Pawłem Huelle.

Jego świetlistość też w tym miała swoje źródło – odzyskał dla siebie i ponownie wpisał na mapę świata Lidzbark Warmiński. To – jak mówił – piękne i kalekie miasto, w którym się urodził i spędził 18 lat życia. Tak się odzyskuje siebie, nie uciekając, tylko od wewnątrz przemieniając i odradzając świat, który – jak wierzyli gnostycy – oddany został we władanie Księcia Ciemności.

Walka z nim to był wielki „agón”, walka życia Zbigniewa Mikolejki. Nieukończona to bitwa, a każdy, kto wspomni jego imię, kto nastąpi na jego ślad, czyja ścieżka skrzyżuje się z jego ścieżką, znajdzie się w strumieniu dźwięku świetlistej i czystej struny, przeszywającej najmniejszy zakamarek ludzko-zwierzęco-roślinnego padolu. I coś w nim zarezonuje. Walczymy dalej, Zbyszkule! ●



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Czyżewski

• – ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach.

Były premier Izraela:

ODSUNIEMY
NETANJAHU SAMI

– Netanjahu powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności za to, co zrobił swojemu krajowi. Ale nie potrzebujemy do tego pomocy z zewnątrz. Decyzja MTK nie jest wymierzona jedynie przeciwko niemu, to oskarżenie całego państwa Izrael, a my nie możemy na to pozwolić

Jennifer Wilton

WELT

Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze (MTS) wezwał Izrael do natychmiastowego zaprzestania ataków na Rafah w Strefie Gazy. Rząd Benjamina Netanjahu już ogłosił, że tego nie robi. Czy to błąd?

EHUD OLMERT: Trybunał ostrzegł, że kontynuowanie inwazji na Rafah może prowadzić do zbrodni wojennych. Uważam, że powinniśmy byli zakończyć tę wojnę dawno temu. Nie ma sensu, by Izrael ją kontynuował – wręcz przeciwnie, najrozsądniej byłoby ją natychmiast przerwać, także dlatego, by móc uratować zakładników, którzy wciąż tkwią w niewoli Hamasu. Mówię to od czterech miesięcy. I jest to słuszne, niezależnie od tego, czego żąda teraz MTS.

Nie jest to jedyna próba interwencji ze strony międzynarodowego trybunału. Kilka dni wcześniej główny prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze (MTK) zażądał nakazu aresztowania premiera Netanjahu.

– Ta wojna powoduje wiele ofiar cywilnych i to jest straszne, to tragedia. W Gazie jeszcze nie panuje głód, ale problemy z zaopatrzeniem są niedopuszczalne. Odbywa się wielka debata na ten temat w Izraelu. Istnieją prawicowe, mesjanistyczne grupy, które są przeciwne zaopatrywaniu ludności w Gazie, ponieważ uważają, że absolutnie wszystko, co mogłoby w jakiś sposób być na rękę Hamasowi, musi być zakazane. Ale prawdą jest również to, że każdego dnia strona izraelska wysyła setki ciężarówek, setki ton żywności.

Chciałbym też wiedzieć jedną rzecz: kiedy Joe Biden, Rishi Sunak, Emmanuel Macron i wielu innych liderów Zachodu mówiło, że Izrael ma prawo się bronić, co właściwie sobie myśleli? Że nie będzie ofiar cywilnych? Ta operacja odbywa się w jednym z najgęściej zaludnionych obszarów świata, wszyscy wiemy, że Hamas to wykorzystuje, traktując bez skrupułów szpitale, szkoły, meczety, instytucje publiczne, prywatne

domy jako kryjówki. Co sobie wyobrażamy, gdy zachęcamy Izrael do obrony przed terrorystami, ale nie bierzemy pod uwagę tych okoliczności?

Czy decyzje trybunałów należy odczytywać także jako brak zaufania do izraelskiego wymiaru sprawiedliwości?

– Powiedziałbym, że przecież widział dowody na to, że obecny rząd Izraela od dawna podważa autorytet własnych sądów. Gdyby rząd Netanjahu powołał na czas komisję śledczą, która zajęłaby się nadużyciami w czasie wojny, trybunały międzynarodowe nie musiałyby teraz interweniować. Musimy nie tylko zakończyć wojnę, ale także zbadać wszystkie jej okoliczności: co do niej doprowadziło, dlaczego izraelskie służby bezpieczeństwa nie były wystarczająco uważne i jak wypełniliśmy nasze zobowiązania humanitarne.

Ale odrzuca pan nakaz aresztowania Netanjahu?

– Ma on dla mnie i wielu Izraelczyków bardzo dziwny posmak. I mówię to, mimo że jestem znany z bardzo krytycznego stosunku do obecnego rządu. Z pewnością nie jestem obrońcą Netanjahu i uważam, że powinien on zostać pociągnięty do odpowiedzialności za to, co zrobił swojemu krajowi. Ale nie potrzebujemy do tego pomocy z zewnątrz. W Izraelu jest wielu, którzy walczą o usunięcie go z urzędu. Niemniej jednak wszyscy staniemy po jego stronie, by bronić go przed tym pozwem. Bo to nie jest wymierzony jedynie przeciwko niemu, jest to oskarżenie całego państwa Izrael, kwestionowanie jego integralności i prawa do samostanowienia, a my nie możemy na to pozwolić.

Sugeruje pan, że efekt tego pozwu będzie przeciwny od zamierzonego, to znaczy sprawi on, że wewnętrzna izraelska krytyka obecnego rządu ucichnie?

– Pozew z pewnością nie pomaga w naszej walce ze złym rządem. Wiele osób, których głosy mają znaczenie dla opinii publicznej w Izraelu, mówi dziś, że zrównanie Izraela z organizacją terrorystyczną – to nie przypadek, że w tym samym czasie wydano nakazy aresztowania przywódców Hamasu – jest obrzydliwe i obraźliwe. Biden, jego szef dyplomacji Antony Blinken i brytyj-



FOT. REUTERS/AMIR COHEN/POOL

ski premier Sunak mówią zresztą to samo, podobnie jak politycy w Niemczech.

Ale inne kraje milczą. A Irlandia, Hiszpania i Norwegia uznały właśnie Palestynę za państwo.

– To przejaw infantylnego podejścia do sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Przez lata walczyłem o rozwiązanie dwupaństwowe i nadal to robię. Ale jeśli społeczność międzynarodowa zacznie uznawać Palestynę za niepodległe państwo, które następnie zostanie również zaakceptowane jako takie w ONZ – dlaczego Palestyńczycy mieliby nadal z nami negocjować? Powiedzą, że nie muszą, że już są państwem – oczywiście w granicach z 1967 r. Następnym krokiem będzie presja na Radę Bezpieczeństwa ONZ, by z kolei ona zmusiła Izrael do zaakceptowania tego stanu rzeczy.

Porozmawiajmy o rozwiązaniu dwupaństwowym. Po objęciu urzędu premiera w 2006 r. złożył pan jedną z najbardziej dalekosiężnych propozycji. Na czym dokładnie ona polegała?

– Zakładała, że powinno powstać państwo palestyńskie w granicach z 1967 r. z niewielkimi korektami terytorialnymi. Ok. 4,8 proc. powierzchni Zachodniego Brzegu miało zostać włączone do Izraela w zamian za inne obszary. Arab-

ska część Jerozolimy miała stać się stolicą państwa palestyńskiego.

Oczywiście była to wtedy propozycja rewolucyjna, tym bardziej że święte miejsca Jerozolimy, czyli Stare Miasto i Wzgórze Świątynne, nie należałyby do jednego państwa, byłyby administrowane przez pięć narodów: Arabię Saudyjską, Jordanię, Palestynę, Izrael i USA. Wszystko autoryzowane przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Bo dobrze wiem, że tak właśnie jest: póki izraelska flaga powiewa na Wzgórzu Świątynnym, żaden Palestyńczyk nigdy nie zawrze z nami pokoju. Jeśli powieja tam flaga palestyńska, Izraelczycy nigdy tego nie zaakceptują.

Kwestia uchodźców palestyńskich powinna być negocjowana w ramach rezolucji Ligi Arabskiej, ogłoszonej w 2002 r. i ponowionej pięć lat później.

To były kamienie węgielne mojej propozycji.

Dodajmy: negocjowane od dekad. Dlaczego wtedy ta propozycja upadła? I dlaczego uważa pan, że jest jeszcze szansa na realizację tego planu?

– Poszedłem do szefa Autonomii Palestyńskiej Mahmuda Abbasa z mapą w rękę. Powiedziałem: „Panie prezydencie, proszę na to przystać i podpisać”. Odparł, że musi najpierw to skonsultować. Ale nie chciałem, żeby wrócił z tym do mnie dwa lata później. Powiedziałem: „Teraz. To jest ostateczna mapa. Eksperci mogą negocjować szczegóły, a potem udamy się z tym do ONZ”. Zgodził się, poprosił tylko o czas do następnego dnia. Nazajutrz otrzymałem telefon, że prezydent musi udać się do Ammanu, będzie ze mną w kontakcie. Ale nie odezwał się. Dużo później wyjaśnił, że zakładał, iż wkrótce i tak ustąpię ze stanowiska premiera. Błąd! To była oferta od izraelskiego rządu, który miał większość w parlamencie!

Jaki był według pana prawdziwy powód?

– Nie miał odwagi. Zabrakło mu cech przywódczych, wizjonerskiej siły. Ale wciąż jesteśmy w kontakcie. Wciąż pracujemy nad rozwiązaniem. Jesienią ubiegłego roku chcieliśmy się spotkać i wydać wspólne oświadczenie. Nie zajmuję dziś oficjalnego stanowiska, ale wiem, że mówię w imieniu wielu Izraelczyków.

Ale to było przed 7 października. Dziś mało kto wierzy w rozwiązanie dwupaństwowe, nawet wśród tych Izraelczyków, którzy wcześniej pokładali w nim wielką nadzieję. Nie wspominając o obecnym rządzie.

– Tak, to jeden z najtrudniejszych momentów w historii mojego kra-

ju. Zostaliśmy zranieni i upokorzeni. Wielu z tych, którzy wcześniej byli naprawdę gotowi na daleko idący kompromis, teraz mówi: do diabła z nimi wszystkimi...

Ale to kwestia czasu i odpowiedniego przywództwa. Dobre przywództwo polityczne wie, jak reagować nie tylko na bieżące wydarzenia, ale także jak projektować przyszłość.

Zalóżmy, że osiągniemy to, co Netanjahu nazwał „absolutnym zwycięstwem”, tj. zniszczenie Hamasu. Zalóżmy, że wyeliminujemy każdego członka Hamasu. I jego dowódcę w Gazie, Jahję Sinwarę, i jego zastępcę, Mohammeda Deifa. Pozostają miliony Palestyńczyków. Co Izrael zamierza z nimi zrobić? Czy chcemy kontynuować okupację? Izraelskie wojsko na stałe w Gazie? I czy ktoś naprawdę wierzy, że Izraelowi ujdzie to na sucho? Międzynarodowe akty oskarżenia potroją się i w pewnym momencie samoloty El Al [największej izraelskiej linii lotniczej] nie będą już mogły lądować w krajach europejskich. Będą bojkoty. Funkcjonowanie Izraela będzie maksymalnie utrudnione.

Musimy pokazać społeczności międzynarodowej, że jesteśmy gotowi do negocjacji. Że chcemy rozmawiać.

Całkowite wycofanie się Izraela ze Strefy Gazy już raz miało miejsce, w 2005 r. I w zasadzie doprowadziło do obecnej sytuacji. Jak Izrael miałby w ten sposób zagwarantować sobie bezpieczeństwo?

– Od 2005 do 2023 r. stale redukowaliśmy straty, było mniej ofiar śmiertelnych niż wcześniej, ludzie dziś o tym zapominają. Komentatorzy, analitycy, eksperci codziennie mają nowy pomysł na to, co usatysfakcjonuje Palestyńczyków, a potem znowu zmieniają swoje stanowisko. Hamas militarnie nie ma kart w rękach. Ma jedynie zakładników. Jedynym sposobem na ich uwolnienie, jest nasze wycofanie się ze Strefy Gazy.

A potem?

– Analogia do wojny w Libanie w 2006 r. Potrzebujemy sił międzynarodowych w Gazie. Izrael musiałby teraz powiedzieć Amerykanom, Francuzom, Niemcom: „Chcecie Gazy bez izraelskich sił? Dobrze, ale ktoś musi nas zastąpić”. Nie sądzę, by Arabowie byli jeszcze gotowi na branie odpowiedzialności za taką misję, więc na razie byłby to dobry kompromis, zapewniający bezpieczeństwo i kładący podwaliny pod proces polityczny.

Mówi pan o silnym przywództwie. Czy widzi pan w Izraelu kogoś, kto mógłby je zapewnić? Postać jednoczącą? Nawet przed 7 października społe-

czeństwo izraelskie było ostro podzielone, a teraz polaryzacja wcale się nie zmniejsza.

– To prawda, jest problem radykalnych, mesjanistycznych grup, jest walka na Zachodnim Brzegu, w Judei i Samarii, a działania żydowskich osadników to przestępstwo tolerowane przez rząd. Ale wierzę, że dziś większa część społeczeństwa rozumie, że kompromis jest konieczny.

Niedawno wezwał pan obywateli do wyjścia na ulice, by domagać się od władz odpowiednich kroków. W pewnym sensie wezwał pan do rewolucji. Ale czy to również nie pogłębia podziałów?

– Izrael wychodzi na ulice odkąd istnieje ten rząd, na skalę, jakiej nigdy nie widziano od czasu powstania tego państwa. Po 7 października te demonstracje i protesty ustały – ale tylko tymczasowo. Bo dla wszystkich staje się coraz bardziej jasne, jak złe wszystko jest zarządzane, jak niewiele Netanjahu robi nawet, by wydobyć zakładników z rąk Hamasu. Teraz już nawet członkowie tzw. gabinetu wojennego zarzucają Netanjahu, że kontynuuje wojnę, aby zapewnić sobie polityczne przetrwanie. Dlatego protesty zaczęły się ponownie, a teraz z każdym dniem stają się coraz większe.

Myśli pan, że coś zmienią?

– Tak, doprowadzą do upadku rządu Netanjahu.

Nawet jeśli międzynarodowa krytyka będzie nadal rosła?

– Można odróżnić lojalność wobec państwa od opozycji wobec rządu. Wszyscy jesteśmy na pierwszej linii frontu, jeśli chodzi o wspieranie narodowych interesów państwa Izrael na całym świecie. Ale nie będziemy stać za rządem, który tak haniebnie zawiódł ludzi.

Mówi pan, że czas jest czynnikiem, który umożliwi porozumienie. Ale Izrael może nie mieć już tyle czasu, jego reputacja na świecie pogarsza się każdego dnia.

– Netanjahu nie rozumie, jak ważne dla istnienia Izraela jest wsparcie społeczności międzynarodowej. To jest problem. Potrzebujemy życzliwości świata, potrzebujemy dobrej woli Ameryki.

Izrael to nadal potężny kraj. Mimo wszystko. Społecznie, ekonomicznie i militarnie. Ale jeśli Ameryka w pewnym momencie przestanie używać w naszej sprawie swojego weta w ONZ, jeśli ONZ zacznie nie tylko potępiać Izrael, ale także go bojkotować – będzie to miało dla nas dramatyczne konsekwencje. Oczywiście, że mnie to martwi. Dlatego uważam, że Netanjahu musi odejść. Jestem pewien, że tak się stanie, jego rząd upadnie. Najpóźniej do końca roku odbędą się wybory. ●

Ehud Olmert

• w latach 1993–2003 burmistrz Jeruzolimy, potem poseł do Knesetu i minister w rządzie Ariela Szarona. Razem z nim odszedł z Likudu, by założyć centrową partię Kadima, którą poprowadził do zwycięstwa w wyborach w 2006 r. W marcu 2009 na stanowisku szefa rządu zastąpił go Benjamin Netanjahu.

Polska bomba atomowa?

To co dziś niewyobrażalne, jutro może być realne

Czy warto mieć broń atomową? Odpowiedź wcale nie jest oczywista.

Robert Stefanicki

Temat broni atomowej w Polsce ożył najpierw dzięki kinematografii, za sprawą serialu „Pajęczyna” i filmu „Gierek”, gdzie przypomniano legendę, jakoby w latach 70. polscy naukowcy pracowali nad kontrolowaną syntezą termojądrową, żeby skonstruować broń nuklearną bez wiedzy Moskwy.

Ostatnio temat wrócił za sprawą prezydenta Andrzeja Dudy, który po spotkaniu z Donaldem Trumpem wyraził gotowość do przyjęcia amerykańskiej broni nuklearnej na terytorium Polski. W tym wypadku nie byłaby ona naszą własnością, chodzi o udział w natowskim programie nuclear sharing: broń (taktyczna) pozostaje pod nadzorem i kontrolą Amerykanów, może jednak być za ich zgodą przenoszona przez samoloty państw, w których jest przechowywana. Aktualnie w programie są Niemcy, Włochy, Belgia, Holandia i Turcja.

W czasach zimnej wojny w radzieckich bazach na naszym terytorium mogło znajdować się nawet 300 głowic nuklearnych. Polskiemu wojsku głowice miały być udostępnione jednak dopiero w razie konfliktu z Zachodem.

To, czy Polska powinna się ubiegać o rozmieszczenie atomówek, jest kwestią sporną. Niewątpliwie cementowałyby to nasz sojusz z USA i sytuowało Polskę bliżej jądra NATO. Samo istnienie baz amerykańskich na terytorium jakiegoś państwa potencjalnie chroni je przed napaścią. Z drugiej strony w razie wybuchu wojny z Rosją bazy atomowe stanowiąłyby pierwszy cel.

Europejska walizka z guzikiem

Ostatnio nuclear sharing przedstawia się jako remedium na zagrożenie kolejną prezydenturą Trumpa, który w poprzedniej kadencji groził wycofaniem USA z NATO i podawał w wątpliwość zobowiązanie do obrony sojuszników wynikające z art. 5 traktatu. Jest to nieporozumienie – w radykalnym scenariuszu amerykański prezydent może przecież zabrać z Europy broń należącą do USA razem z wojskiem.

W Unii Europejskiej zaczyna się więc nieśmiała dyskusja o europejskim nuclear sharing – albo poprzez rozdzielanie broni należącej do Francji i Wielkiej Brytanii, albo zostałyby zakupiona lub zbudowana nowa, na rachunek UE.

„Jeżeli Amerykanie odwrócą się od Europy, to straci ona atomowy składnik systemu odstraszania. Na kontynencie pozostanie co prawda brytyjska i francuska broń atomowa, ale Polacy i Bałtowie z ich historycznymi doświadczeniami wątpią w to, że w przypadku nuklearnego szantażu ze strony Rosji będą mogli się oprzeć na brytyjskich czy francu-

skich gwarancjach” – powiedział politolog Herfried Münkler w wywiadzie dla „Die Welt”.

Münkler jest zwolennikiem budowy wspólnego europejskiego potencjału odstraszania nuklearnego. Jego zdaniem Francja, Niemcy, Hiszpania, Włochy i Polska powinny posiadać broń atomową pod wspólnym dowództwem i „walizka z czerwonym guzikiem powinna cyrkulować między nimi”.

Lepiej mieć czy nie mieć?

Zanim porwie nas idea cyrkulującej walizki warto się zastanowić, kto miałby decydować o wciśnięciu czerwonego guzika. Czy – zakładając, że budowa tego mechanizmu odbędzie się w ramach UE – będzie np. potrzebna kontrasygnata Viktora Orbana? Nawet jeśli Unii uda się w końcu powołać europejską armię pod konkretną komendą, to jest bardzo wątpliwe, że państwa członkowskie wyrzekną się decyzyjności w sprawie tak śmiertelnie poważnej jak użycie broni A.

Na zdrowy rozum lepiej jest mieć broń nuklearną niż nie mieć. Szeroko akceptowany dogmat głosi, że ma ona właściwość odstraszającą, dzięki czemu od 1945 r. nie było wojen między atomowymi mocarstwami.

Wybitny teoretyk stosunków międzynarodowych Kenneth Waltz przekonywał nawet, że rozprzestrzenianie się broni nuklearnej może być korzystniejsze niż wysiłki mające temu zapobiec. Państwa posiadające zdolność ostatecznego zniszczenia przeciwnika nie obawiałyby się tak bardzo o swoje bezpieczeństwo, więc same zachowywałyby się mniej agresywnie i byłyby mniej narażone na agresję.

Co zapobiega wojnom

Zmarły w 2013 r. Waltz wierzył, że wzajemny strach przed eskalacją, który pomógł USA i ZSRR uniknąć bezpośredniego starcia podczas zimnej wojny i który zredukował konflikty zbrojne między Indiami a Pakistanem, mógłby mieć podobne skutki na Bliskim Wschodzie. W swoim ostatnim artykule twierdził, że najprostszym sposobem na ustabilizowanie regionu byłoby zdobycie przez Iran własnego środka odstraszania nuklearnego.

Teza bardzo ryzykowna. Błąd może tkwić już w początkowych założeniach. To, że nie było wielkiej wojny mocarstw odkąd pojawiła się broń nuklearna, nie musi oznaczać, że to ona wojnie zapobiega. Niestety nie możemy wyhodować w laboratorium świata równoległego, aby to sprawdzić. Nie wiemy, czy gdyby Ukraina nie wyrzekła się broni atomowej w zamian za iluzoryczne, jak się okazało, gwarancje bezpieczeństwa, to Rosja by jej nie zaatakowała. Czy gdyby i Rosja nie miała takiej broni, to Ukraina z pomocą Amerykanów wygrałaby wojnę? Czy gdyby Libia nie zrezygnowała z programów rozwoju broni ma-

sowego rażenia, pułkownik Kadafi dzisiaj by żył i rządził dalej?

Izrael ma broń atomową, ale czy dzięki temu jest bardziej bezpieczny? W 1973 r. wojska egipskie i syryjskie wydały Izraelowi wojnę, wiedząc, że posiada taką broń. Hamas się nią w ogóle nie przejmuje, a rojenia niektórych polityków rządzącej w Jerozolimie skrajnej prawicy o użyciu jej w Gazie budzą grozę i niedowierzanie na świecie.

Warunek: racjonalni przywódcy

W gruncie rzeczy na tym opiera się doktryna odstraszania: działa wtedy, gdy decydenci są racjonalni. A co z szalonymi lub mesjanistycznymi?

Broń nuklearną ma się raz na zawsze – ewentualnie do czasu jej zużycia albo zniszczenia, bo po pouczających przykładach Ukrainy i Libii chyba już nikt nie zrzeknie się jej dobrowolnie. A pamiętajmy, że żadna władza nie jest dana raz na zawsze. Status atomowy nie chroni przed przejściem rządów przez psychopatę albo przez reżim, który przekręci wyrzutnie w przeciwną stronę.

Podczas prezydentury Trumpa zastanawiano się czy nie zrobi on czegoś naprawdę głupiego – żeby się popisać, żeby nie oddać władzy, albo dlatego, że może. Akurat USA mają mocne mechanizmy zabezpieczające przed pochopnym wciśnięciem „czerwonego guzika”, ale przecież decyzje podejmują ludzie, a ludzi można wymienić. Mowa o państwie z silną demokracją. A co z bardziej chwiejnymi?

Nowe mocarstwa nuklearne mogą grozić użyciem broni nuklearnej w celu szantażowania innych lub jako tarczy przed agresją. Może im brakować odpowiednich środków bezpieczeństwa oraz procedur dowodzenia i kontroli, przez co ich arsenały będą bardziej podatne na kradzież lub nieuprawnione użycie.

Wreszcie, proliferacja jest zaraźliwa. Im bliżej bomby atomowej jest Iran, tym bardziej chce jej Arabia Saudyjska. Korea Południowa chciałaby ją mieć, bo ma ją Korea Północna oraz Chiny, a jeśli Seul się na to zdecyduje, następne będzie Tokio. To dlatego obecne mocarstwa nuklearne, na czele z USA, zwalczają proliferację w zarodku. Również wśród sojuszników, bo nie chcą ryzykować, że zostaną wciągnięte w niechciany konflikt. Choć oczywiście podstawowym motywem jest dążenie mocarstw do nierozwojowania ich własnej potęgi, jaką daje posiadanie najbardziej śmiertelnej broni.

Jest jednak możliwe, że ten system kiedyś się rozsypie, np. wskutek demontażu ładu światowego i degradacji w nim pozycji Ameryki przez prezydenta w typie Trumpa. Gdyby USA wycofały wojska z Europy, a może i z Azji, państwa, które od dekad powstrzymują się od przejścia przez próg nuklearny – przede wszystkim Niemcy i Korea Południowa – mogłyby dojść do wniosku, że jednak trzeba zrobić ten krok.

Gonienie króliczka

Innym czynnikiem może być dalsza eskalacja konfliktu z Rosją lub Chinami. Traktaty mające zapobiegać rozprzestrzenianiu broni atomowej z tego powodu już się powoli sypią. Być może wystarczy jedno użycie choćby taktycznej głowicy, by zaprzepaścić cały powojenny dorobek antyproliferacyjny.

Traktat o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej może upaść także wskutek rozluźnienia przez stare mocarstwa polityki niedopuszczania do proliferacji. „Jeśli USA ostatecznie zdecydują się wesprzeć wzbogacanie uranu przez Arabię Saudyjską (...) muszą być przygotowane na stawienie czoła fali podobnych żądań ze strony kluczowych sojuszników, takich jak Korea Południowa, a być może nawet niespokojnych nowicjuszy nuklearnych, takich jak Polska. Waszyngtonowi może być trudno powstrzymać swoich partnerów przed rozwojem takich zdolności po tym, jak pomógł Arabii Saudyjskiej stać się ukrytą potęgą nuklearną”, pisze ekspert od proliferacji Tristan Volpe w think-tanku Carnegie Endowment for International Peace.

Na łamach kwartalnika „International Politik” Fabian Hofmann z Uniwersytetu w Oslo spekuluje, że Polska mogłaby uzyskać pomoc z Korei Południowej – kraju, który jest zdolny wyprodukować broń jądrową i z którym wiążą nas kontrakty zbrojeniowe. „Biorąc pod uwagę, że Polska musiałaby obawiać się rosyjskich działań wyprzedzających, zwłaszcza w świecie, w którym Waszyngton wycofał się z NATO, najlepszym rozwiązaniem byłoby jak najdłuższe ukrywanie swoich ambicji nuklearnych”, pisze Hofman i zakłada, że początkowo powinniśmy się skupić na rozwoju „minimalnego środka odstraszania w postaci kilku głowic nuklearnych”.

W 1963 r. rozwijający się program energii jądrowej w Niemczech Zachodnich umożliwił wywarcie nacisku na Waszyngton, aby Bonn – na początek – dostało stałe miejsce w natowskiej Grupie Planowania Nuklearnego, gdzie sojusznicy dzielą się informacjami i koordynują plany nuklearne.

Podobny w gruncie rzeczy szantaż stosuje Iran, który w 2015 r. wynegocjował z USA i innymi potęgami porozumienie o zamrożeniu swojego programu nuklearnego. Trump je nierozsądnie wyrzucił do kosza, a mimo to wydaje się, że przywódcy w Teheranie świadomie wciąż nie decydują się na przekroczenie progu posiadania broni atomowej, najwyraźniej licząc, że więcej zyskają na gonieniu króliczka niż na złapaniu go.

Aby taki szantaż się udał, trzeba być wiarygodnym kandydatem do klubu nuklearnego – a jednocześnie zarzekać się, że absolutnie nie ma się zamiaru tam wstępować. Budowa elektrowni atomowych jest zawsze dobrym początkiem. ●

Adam Michnik poleca Antysemityzm na uczelniach Europy Środkowej

ACH, TEN MOTŁOCH W SALACH WYKŁADOWYCH



• Protest czeskich studentów przeciw dopuszczaniu „obcych” na studia medyczne. Praga, rok 1932.

FOTULLSTEIN BILD DTL / GETTY IMAGES

Moi pracownicy studenci są na froncie, a co pozostało, to polscy Żydzi, których widok przyprawia o wymioty.

Anna Wolff-Powęska*

Pokazanie sytuacji Żydów na uniwersytetach środkowoeuropejskich w okresie międzywojennym jest zasadne z kilku co najmniej względów. Jest ona nie tylko tłem porównawczym dla polskich uczelni, w tym Uniwersytetu Poznańskiego, ale też odzwierciedleniem i konsekwencją wielowiekowego antyjudajizmu oraz integralną częścią polityki wykluczania „obcego” i posługiwania się utrwalonym stereotypem Żyda.

Wyobrażenie „obcego” było od wieków poręcznym narzędziem władzy, które służyło konstruowaniu tożsamości wspólnoty opartej na zastraszaniu wizją Żyda jako uosobienia wroga i potrzeby obrony przed nim. Amerykańska filozofka Martha Nussbaum odtworzyła taki sposób myślenia: „Żydzi są wszędzie dookoła, ukryci za maską miłych, normalnych ludzi. Nadejdzie jednak dzień, kiedy wyjdą z ukrycia i nas zabiją” („Nowa nietolerancja religijna. Przewyćżyć politykę strachu w niespokojnych cza-

sach”, przeł. Sebastian Szymański, Warszawa 2018).

Zaklinane przez wielu intelektualistów wartości europejskie, szczególnie oświecenie i humanizm, mają swój rewers: to barbarzyństwo, kolonializm, faszyzm, antysemityzm, ludobójstwo. Bez uwzględnienia obu twarzy cywilizacji europejskiej nie ma mowy o obiektywnej historiografii. Międzywojnie pokazało bowiem, że „Alma Mater” (uniwersytet), uznawana przez wieki za panteon o kulturotwórczym znaczeniu, odświętne „Gaudeamus igitur”, nie jest dana raz na zawsze. Lat 20. XX wieku wyznaczyły nowy, najbardziej mroczny rozdział w historii europejskich uczelni.

Dla Europy Środkowej okres międzywojnia to swoiste laboratorium w sferze polityki wobec mniejszości żydowskiej. Rozpad starego świata w wyniku I wojny światowej doprowadził do odzyskania niepodległości przez państwa pozostające przez stulecia pod obcą zwierzchnością. Kraje, które wyloniły się w wyniku upadku wieloetnicznych i wielokulturowych mocarstw: imperium osmańskiego, Austro-Węgier, cesarstwa niemieckiego oraz carskiej Rosji, z gorliwością neofity konstru-

owały nową tożsamość opartą na homogenizacji narodowej.

Dla ludności żydowskiej, osiadłej od stuleci w tej części Europy, była to nowa sytuacja. Poczuli się w nowych państwach zagrożona. Poza Rosją carską w pozostałych wieloetnicznych mocarstwach Żydzi wspierali zwierzchności dawnych imperiów jako gwarantów bezpieczeństwa.

Dla Żydów osmańskich przejęcie Saloniki, ojczyzny największej gminy żydowskiej, przez Grecję, oznaczało intensywną hellenizację. W Bukowinie otrzymali w XIX wieku status grupy narodowej. W jej stolicy, Czerniowcach, powstał w 1875 r. Uniwersytet im. Franciszka Józefa, w którym nauczano w języku niemieckim, ru-

Zaklinane przez intelektualistów wartości europejskie, zwłaszcza oświecenie i humanizm, mają swój rewers. To barbarzyństwo, kolonializm, faszyzm, antysemityzm, ludobójstwo

muńskim i ukraińskim. W Austrii już w 1781 r. cesarz Józef II zniósł nadzwyczajne podatki dla Żydów, konieczność noszenia żółtej łaty, zakaz uczęszczania na uniwersytet. Jego reformy oświeceniowe napotykały jednak opór urzędników i trafiały najczęściej w społeczną próżnię.

Splot sukcesu nowoczesnych, liberalnych idei z emancypacją i awansem żydowskiej społeczności miał dla losów europejskich Żydów tragiczne następstwa. Byli beneficjentami oświeceniowej i przemysłowej rewolucji. Podzielali entuzjazm dla nowych prądów ideowych, które po raz pierwszy w dziejach przyniosły im prawo do godnego życia. Początek wolności i rozkwitu żydowskiej przedsiębiorczości zbiegł się w czasie z przeobrażeniami struktur społecznych, efektem urbanizacji i industrializacji na przełomie XIX i XX wieku. Żydzi musieli wzbudzać zazdrość otoczenia.

Podczas gdy społeczności nowych państw zmagających się po wojnie z nędzą i rozwarstwieniem społecznym nie potrafiły stawiać czoła nowym wyzwaniom gospodarczym, większość Żydów, których życie przez wieki było ciągłą sztuką dopasowywania się do niesprzyjających warunków, radziła sobie lepiej.

Inteligencja żydowska korzystała z dobrodziejstwa nowej epoki. Zachłystnęła się

możliwością kształcenia. Jej nowa pozycja, osiągnięcia naukowe i gospodarcze kontrastowały tym bardziej ze światem ubóstwa wielkomiejskiego. Zwłaszcza w krajach katolickich, gdzie według wszelkich wyobrażeń świat żydowski, który dawno powinien być skazany na nicość, trwał i rozwijał się, wielu nie godziło się z nową sytuacją.

Reformy polityczne i społeczne kontrastowały z przednowoczesną mentalnością. Wrogość wobec mniejszości etnicznych i religijnych na przełomie XIX i XX wieku wspierały masowe emigracje Żydów z obszarów największej dyskryminacji. Lawina pogromów w Rosji doprowadziła do ich masowej ucieczki na Zachód.

Pierwsza wielka fala ucieczek miała miejsce w latach 1881-82. Odtąd rocznie opuszczało Rosję ok. 50-60 tys. Żydów. Po wydaleniu ich z Moskwy w 1891 r. uciekło 110 tys., w następnym 137 tys. Pomiedzy rokiem 1881 a 1914 tylko samą Galicję opuściło 350 tys. Żydów. Znaczna ich część przybyła do Austrii, w której w 1914 r. mieszkało 2,5 mln ludności żydowskiej (Paul Johnson, „Historia Żydów”).

Narodzinom państw narodowych po roku 1918 i nowym porządkom politycznym w krajach powersalskich towarzyszył proces polonizacji, madziaryzacji, homogenizacji narodowej, a wraz z nim skierowana przeciw Żydom przemoc najpierw słowna, później fizyczna. Polityczne fantazje i fobie, ugruntowane w świadomości i w kulturze ludowej antyżydowskie mity przyczyniły się do ukierunkowania strategii politycznej wobec mniejszości, która sprowadzała się do „kwestii żydowskiej” i prób jej rozwiązania.

Przejawy antysemityzmu na uczelniach i argumenty mające uzasadniać dyskryminacyjne praktyki wobec studentów żydowskich były wszędzie podobne. Jego intensywność, jak i stopień upowszechnienia zależały jednak od tradycji kulturowej i religijnej oraz kultury politycznej poszczególnych krajów.

Na relacje w świecie akademickim rzutowała m.in. zmiana granic w wyniku I wojny światowej i odzyskanie niepodległości przez narody tego regionu, co stworzyło podatną glebę dla erupcji nacjonalizmu i faszyzacji raczkujących demokracji. Zmiany graniczno-terytorialne przyczyniły się do rozbudzenia poczucia krzywdy, a dyskryminacyjne praktyki wobec studentów żydowskich niemal wszędzie miały charakter odreagowania postanowień traktatu wersalskiego.

Wpływowi politycy węgierscy traktowali wprowadzoną u progu lat 20. XX wieku ustawę „numerus clausus” jako narzędzie kary wobec Żydów za rewolucję, za przegraną wojnę, za krzywdzące postanowienia traktatu z Trianon. W wyniku jego ustaleń Węgry utraciły dostęp do morza, niemal dwie trzecie ludności (z 21 mln pozostało 8 mln) oraz dwie trzecie obszaru państwa (z 325 tys. km kw. pozostało 93 tys.), które przypadły Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii i Austrii. Poza granicami Węgier znalazło się 3,5 mln Węgrów.

W kontekście strat wynikających z ustaleń Trianon przywoływano teorię „żydowskiego spisku”. Wiele przywódców politycznych kraju było zgodnych w przekonaniu, że Żydzi muszą „wyrównać” rachunek krzywd, wykorzystując swe wpływy „w celu przywrócenia historycznych granic Węgier”.

Minister edukacji István Haller, uznany za „ojca numerus clausus”, pisał w pamiętnikach: „Dopóki będzie obowiązywać Trianon, będzie numerus clausus”. Kuno Klebelsberg, najbardziej wpływowy w kwestiach edukacji polityk, oznajmił w parlamencie w 1924 r., że los Żydów na Węgrzech zależy od ustępstw wielkich mocarstw w kwestii granic. „Niech oddadzą nam dawne Wielkie Węgry, a wówczas my będziemy w stanie uchylić tę ustawę”.

Na początku lat 20. XX wieku na Uniwersytecie Budapeszteńskim zarejestrowało się ok. 4500 studentów urodzonych na utraconym terytorium. W tym samym czasie kraj zyskał dwa uniwersytety: z Kluż-Napoki (obecnie w Rumunii) przeniesiony do Segedyńu i z Preszburga (dziś Bratysława) do Peczu.

Argumenty, które miały uzasadniać ograniczanie liczby żydowskich studentów rzekomym zabieraniem przez nich miejsc węgierskim studentom, były sprzeczne z rzeczywistością. Ani uchodźcy, ani młodzi z chrześcijańskiej klasy średniej nie ubiegali się o miejsca na wyższej uczelni. Również studenci-uchodźcy nie skorzystali z oferty przeniesionych uniwersytetów, preferując Uniwersytet Budapeszteński.

W Rumunii, która jako pierwsza w całym regionie uzyskała niepodległość, potwierdzoną mocą kongresu berlińskiego w 1878 r., trwała aż do wybuchu I wojny intensywna debata na temat tzw. kwestii żydowskiej. Dominowało przekonanie, że naród rumuński jako „łacińska wyspa w słwiańskim morzu” powołany jest do cywilizacyjnej misji wobec „niecywilizowanych Żydów”.

Rumuńscy politycy w 1878, 1919 i kolejny raz w 1939 r. patrzyli na kwestie polityczno-międzynarodowe i gospodarcze przez pryzmat „problemu żydowskiego”.

W przeciwieństwie do Węgier obszar Rumunii uległ w stosunku do starego Królestwa, będącego przed wojną państwem niemal homogenicznym, podwojeniu, a udział mniejszości w ogóle populacji wzrósł czterokrotnie. W nowo przyłączonych prowincjach niektóre z nich miały pozycję dominującą (Węgrzy i Niemcy w Transylwanii i Bukowinie, Rosjanie w Besarabii, Bułgarzy w Dobrudży) i często wspierały programy rewizjonistyczne.

Odsetek mniejszości żydowskiej utrzymał się na niezmiennym poziomie, mimo znacznego wzrostu bezwzględnej liczby ludności, i była to społeczność bardzo zróżnicowana pod względem tożsamości grupowej, społeczno-ekonomicznie rozwarstwiona.

Mniejszość żydowska, druga po węgierskiej, stanowiła 4,2 proc. ogólnej liczby ludności. 70 proc. Żydów mieszkało w nowych prowincjach. Kulturowa nacjonalizacja państwa miała na celu wymianę elit na nowo pozyskanych terenach, tym samym zaś elit uniwersyteckich. Do istniejących uniwersytetów w Bukareszcie i Jassach dołączyły dwa nowe: w Kluż-Napoce i Czerńowcach.

Studenci żydowscy pochodzili tak jak w większości krajów ze środowisk miejskich, mieszkali w domach rodzinnych i byli tak jak i w innych krajach mniejszością etniczną najlepiej reprezentowaną na uniwersytetach. Natomiast Węgrzy, Austriacy, Niemcy rumuńscy woleli studiować w krajach pochodzenia. Z tych m.in. względów w latach 1922-33 Żydzi stanowili 16,4 proc. wszystkich studiujących w Rumunii.

Austriackie uniwersytety wyróżniał klimat ideowy i polityczny kształtowany przez związki z Niemcami. W żadnym innym kraju środkowoeuropejskim studenci oraz młodzi adepci nauki nie wykazywali tyle entuzjazmu dla wojny, co w Austrii Franciszka Józefa. Na Uniwersytecie Wiedeńskim w sierpniu 1914 r. na posiedzeniu studenckich korporacji, w obecności rektora, utworzono Legion Akademicki. Już w pierwszych dniach zgłosiło się ponad 300 ochotników.

Życie pod hasłem „Bóg, cesarz, ojczyzna” oddało w czasie wojny ok. 600 studentów. Paleontolog, prof. Othenio Abel, uskarżał się w 1917 r., że uczenie przestało mu sprawiać jakąkolwiek satysfakcję: „Moi pracownicy studenci są na froncie, a co pozostało, to polscy Żydzi, których już sam

widok przyprawia o wymioty. Czuję się podczas moich wykładów czasem jak głupiec. Motloch, który wypełnia teraz sale wykładowe, jest przerażający” (za: Klaus Taschwer, „Hochburg des Antisemitismus. Der Niedergang der Universität Wien im 20. Jahrhundert”, 2015).

Kłeska, ogromne straty, upadek wielowiekowego cesarstwa i nastanie republiki, nędza lat powojennych – wszystko to powodowało niepokoje społeczne i radykalizację społeczeństwa, co nie pozostawiało bez wpływu na życie uniwersyteckie.

Upadek monarchii oznaczał spore turbulencje na uczelniach. Podczas gdy w roku 1913/14 na wówczas pięciu niemieckojęzycznych uniwersytetach (Wiedeń, Graz, Innsbruck, Praga i Czerniowce) zatrudnionych było ok. 1500 wykładowców, w trzech pozostałych w 1918/19 było ich mniej niż 1200. Uznano to za ograniczenie możliwości kariery dla rodzimej profesury. Niektórzy wyemigrowali do Szwajcarii i Niemiec, co kręgi nacjonalistyczne oceniały jako „wykrwawienie” wiedeńskich uczelni. Nie lepsza była sytuacja studentów.

Do najbardziej sfrustrowanych katastrofalną sytuacją po wojnie należeli tzw. studenci wojenni, traumatyzowani przez przeżycia frontowe. Winą za brak miejsc w salach wykładowych i laboratoriach, deficyt mieszkań i głód obciążali Ostjuden, którzy uciekając przed pogromami w Rosji, Polsce i Rumunii, szukali schronienia w Austrii.

Nowo powstała w 1919 r. organizacja zrzeszająca wszystkich studentów niemieckojęzycznych uniwersytetów Europy Środkowej rychło przyjęła na swe sztandary hasła o wyraźnie antysemitckim ostrzu. Dominujący głos uzyskali w niej przedstawiciele studentów i wykładowców z chrześcijańskonarodowego skrzydła, wspierani przez polityków prawicowych i część władz rektorskich uczelni austriackich.

Na tle narastającej atmosfery dyskryminacji żydowskich studentów na uczelniach krajów środkowowschodnioeuropejskich wyróżniała się Czechosłowacja. Prawa obywatelskie Żydów nie zostały w Pierwszej Republice Czechosłowackiej (1918-38) zakwestionowane. Nie brakowało wprawdzie ataków skierowanych przeciw ludności żydowskiej, ale nastrój antysemitcki nie zdominował kultury politycznej kraju.

Przyczyny tej odmiennej sytuacji są złożone, jeśli uwzględnić relacje między polityką władz, żydowską tożsamością i międzynarodową polityką. Różna była sytuacja ludności żydowskiej w czechskiej i słowackiej części kraju.

W Czechach, szczególnie w Pradze, była to ludność zintegrowana o wysokim stopniu sekularyzacji. W Słowacji przeciwnie, to społeczność kultywująca swe rytuały, religię, język. Te społeczno-kulturowe różnice uwypuklały „mieszane” małżeństwa. Między rokiem 1929 a 1933 odnotowano ich w całej Republice 19 proc. (w Czechach 43,8 proc., na Morawach 30 proc., na Słowacji – 9,2, w Ukrainie Karpackiej – 1,3 proc.).

Swą pozycję i szacunek na arenie międzynarodowej zyskała międzywojenna Czechosłowacja, państwo demokratyczne, o łączącej się w świecie gospodarce, w dużej mierze dzięki osobie pierwszego jej prezydenta Tomasza Garrigue Masaryka. Jako polityk naukowiec, intelektualista pragnął on wprowadzać w życie ideał narodu oparty na humanizmie, oświeceniu, ukształtowany przez czeską reformację.

Zarówno Masaryk, jak i Edvard Beneš, obaj przebywający podczas I wojny na emigracji, przekonywali do takiej wizji państwa przywódców ententy. Polityce pierwszych władz politycznych zawdzięczali Czesi i Słowacy utrzymywanie polityki wobec mniejszości w ryzach. Największym problemem dla młodej demokracji czechosłowackiej pozostawali nie Żydzi, lecz Niemcy, których pozycja i roszczenia okazały się ważące dla losów państwa.

Obaj politycy traktowali stosunek Czechów i Słowaków do Żydów jako papiererek lakmusowy dojrzałości cywilizacyjnej narodu. Chodziło o międzynarodowy wizerunek nowego państwa. Dotychczasowy antysemityzm traktowano jako ponure dziedzictwo klerykalizmu monarchii austro-węgierskiej. Sami Żydzi w porównaniu z mniejszością niemiecką i węgierską stanowili grupę lojalnych obywateli, a czeski antysemityzm określali jako „znośny” (Ladislav Lipscher, „Die soziale und politische Stellung der Juden in der Ersten Republik”, 1983).

Tzw. studenci wojenni, traumatyzowani przez przeżycia frontowe, winą za brak miejsc w salach wykładowych i laboratoriach, deficyt mieszkań i głód obciążali Żydów, którzy uciekli przed pogromami z Rosji czy Polski

Podczas gdy w oficjalnej polityce rządu podkreślano pozytywny stosunek do Żydów jako integralnej części narodu, w świadomości, w literaturze, w mitach funkcjonował stereotypowy wizerunek Żyda jako „kapitalisty”, „lichwiarza”, „komunisty”, „bolszewika”. W latach 20. XX wieku dawał o sobie znać rozdzźwięk między idealistycznym programem politycznym liberalnych sił w Czechosłowacji a nastrojami społecznymi oraz konflikt między rządową polityką a władzami komunalnymi, szczególnie w Pradze, dotyczący postawy wobec społeczności żydowskiej.

Tak jak w pozostałych krajach regionu, tak i tu system edukacji i szkolnictwa wyższego stanowił najbardziej konfliktogenny obszar starć o wpływy w kształtowaniu przyszłych elit.

Obiektem starć były m.in. dwa praskie uniwersytety: Uniwersytet Karola, powstały w roku 1348, najstarsza uczelnia wyższa w regionie środkowoeuropejskim, podzielony w 1882 na czeski, funkcjonujący jako właściwy kontynuator starego Uniwersytetu Karola, oraz Niemiecki Uniwersytet Karola i Ferdynanda.

Dla rodzimych nacjonalistów obie uczelnie były ważnym instrumentem homogenizacji i mobilizacji młodych ludzi. Tu ściierały się ugrupowania reprezentujące mniejszość niemiecką i żydowską, Słowaków oraz Czechów. Z jednej strony miała miejsce „obrona” nauki przed germanizacją i judeizacją, z drugiej toczyła się walka o subwencje dla żydowskich i niemieckich szkół, bibliotek, domów studenckich czy ośrodków kultury.

• **ciąg dalszy za tydzień**



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

* Prof. Anna Wolff-Powęska

• historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu. Jej tekst (tytuł – „Wyborcza”; tytuł oryginalny: „Uniwersytety Europy Środkowej w cieniu antysemityzmu”) pochodzi z pracy zbiorowej pod red. Macieja Michalskiego i Krzysztofa Podemskiego „Wyparte historie. Antysemityzm na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1919-1939”, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2022.

ZA PRACĘ W FINE DININGU PŁACĘ WYSOKĄ CENĘ

Ten zawód tego wymaga. To nie jest wygodna posadka, a praca po 12, 14 czasem 16 godzin – opowiada Andrea Camastra.

Małgorzata Muraszko

Siedzi pochylony nad menu przy wydawce. Na blacie z czarnego, zimnego kawałka kamienia składa dania, które za chwilę trafią na talerze gości.

– Z tego miejsca mam dobry widok na kuchnię i na to, co kto robi – mówi.

– Możesz nimi kierować, trochę jak mistrz marionetek – wtrącam.

– Nic z tych rzeczy, nikim nie muszę kierować. Pracuję z nimi od lat, z niektórymi od blisko 10. Doskonale wiedzą, co robić, rozumiemy się bez słów. W kuchni to bardzo ważne, żeby móc na sobie polegać.

Andrea Camastra to szef z gwiazdką Michelin. W Warszawie prowadzi jednogwiazdkową restaurację Nuta. Wcześniej, przez 6 lat, był szefem kuchni również jednogwiazdkowej restauracji Senses. W Polsce mieszka od 13 lat.

Z **ANDREA CAMASTRĄ** ROZMAWIA
MAŁGORZATA MURASZKO

MAŁGORZATA MURASZKO: Jakie poprawki wprowadzasz teraz do menu?

ANDREA CAMASTRA: Menu jest skończone, tylko wymienimy deser.

Jak długo pracuje się nad menu złożonym z kilkunastu dań? I jak często je zmieniacie?

– Czasem miesiąc, innym razem pół roku. Wszystko zależy od tego, ile pomysłów chcemy upchnąć. Zwykle dużo. Codziennie przychodzi mi do głowy coś nowego, szybko się nudzę. Nie wiem, jak niektórzy kucharze przez 10 lat mogą gotować to samo, mnie po 10 dniach już noś.

Menu zmieniam sezonowo. Staram się, żeby to było trzy razy w roku: na sezon wiosenno-letni, jesienny i zimowy.

Zmiana menu jest wymagająca, bo wymieniamy wszystko: każdy element każdego dania. W „normalnych” restauracjach, nie tych z menu degustacyjnym, to prostsze. W daniu musisz mieć proteinę, warzywa, sos i dodatek skrobiowy i to można zmienić w godzinę. Przychodzi nowy sezon, dodajesz nowe warzywa i po sprawie.

Goście, którzy przychodzą do Nuty, czy do innej fine diningowej restauracji, oczekują czegoś wyjątkowego. Chcą być zaskoczeni, oczarowani, więc menu musi takie warunki spełniać.

Jesteś kucharzem, ale masz muzyczne wykształcenie. To pomaga?

– Bardzo, bo muzyka i kuchnia są podobne: musisz znać podstawy i umieć myśleć kreatywnie.

Uważam się za artystę, osobę, która myśli nieszablonowo i widzi to, czego inni nie widzą. Nie dlatego, że inni są gorsi, ale dlatego, że niektórzy są bardzo metodyczni, przestrzegają dokładnie reguł.

W twojej kuchni jest miejsce na improwizację?

– Wszystko tu jest improwizacją!

Nie wygląda. Ludzie są skupieni, a ty masz chemiczne laboratorium do kuchni molekularnej.

– Bo to improwizacja, która wymaga umiejętności technicznych. Trzymamy się przepisów, gramatur. Musimy to robić, żeby dania wyszły dokładnie takie, jak powinny.

Wszystko w kuchni jest przemyślane, każdy zna swoje miejsce. Jest sekcja warzyw i przybrania, protein i sosów, piekarnia i sekcja gastronomii molekularnej, czyli moje laboratorium. Filip jest moim zastępcą i odpowiada za mięsa, mam też dwie inne zastępczynie Olę i Yulię. Konrad odpowiada za warzywa. Armen jest prawą ręką Filipa, niedługo będzie młodszym sous-chefem, trzy kolejne osoby też w przyszłości będą sous-chefami. Ja panuję nad wszystkim i każdego wieczoru gotuję.





Andrea Camastra

• – urodzony we Włoszech, od 13 lat pracuje w Polsce. Szef kuchni restauracji Senses odznaczonej gwiazdką Michelin. W 2015 r. przewodnik Gault&Millau Polska uznał Camastrę „Szefem Kuchni Przyszłości”, a w 2017 r. „Szefem Kuchni Roku”. Camastra znalazł się również na liście 100 Best Chefs in the World 2019 wg prestiżowego rankingu „La Liste”, publikowanego przez magazyn „Le Chef”. Współwłaściciel i szef kuchni jednogwiazdkowej restauracji Nuta.

• W restauracji Nuta dostępne są dwa rodzaje menu. Mniejsze, kilkudaniowe Virtuoso kosztuje 545 zł/os. Maestro to menu złożone z kilkunastu dań, popis umiejętności technicznych szefa i zespołu restauracji, połączenie polskich i włoskich inspiracji. Kosztuje 695 zł/os.

Szefowie kuchni lubią stać przy wydawce ze swoimi małymi szczypczykami i dekorować talerze, stroszyć swoje szefowskie piórka. To nie są prawdziwi szefowie, a eksponaty, które goście mają podziwiać, pozerzy. Goście przychodzą dla jedzenia i chcą zobaczyć, jak szef gotuje. Wtedy bardziej ci ufają, przywiązują się. Czują, że ten moment ma w sobie jakąś wyjątkowość.

Gotowanie to ciężka praca.

– Od 30 lat jestem w tym biznesie. Zaczęłem gotować jako dziesięciolatek, w pierwszej restauracji zacząłem pracować jako 14-latek, najpierw obierałem warzywa. Kuchni trzeba się oddać.

Historia zna przypadki szefów, którzy popełnili samobójstwo w obawie przed utratą gwiazdki. Jaką płacisz cenę za pracę w fine diningu?

– Wysoką. Dla takiej kuchni trzeba naprawdę wiele poświęcić i trzeba chcieć to zrobić. To są długie godziny pracy, która jest wyczerpująca psychicznie i fizycznie. Sam słyszałem opowieści o szefach brutalach, którzy bili i wrzeszczeli na współpracowników. Teraz to się zdarza coraz rzadziej, bo nowe pokolenie nie jest tak wytrzymale.

Może nie chcą znosić długich godzin w pracy, toksycznych warunków i wiedzą, że praca nie jest wszystkim?

– Ale ten zawód tego trochę wymaga. To nie jest wygodna posadka, a praca po 12,14, a czasem i 16 godzin na dobę. Jeśli chcesz coś osiągnąć, zresztą nie tylko w tym, ale w każdym zawodzie, twoim też, to uczysz się. Gdy byłem młody, nie przeszkadzało mi, że spałem po 3-4 godziny na sofie w restauracji. Byłem zdeterminowany, żeby coś osiągnąć.

Dziś to wygląda inaczej. Społeczeństwo jest słabsze. Nie mam nic przeciwko młodemu pokoleniu, ale widzę wyraźnie, że jest inne.

Świat jest inny niż 30 lat temu, kiedy ja zaczynałem. Za 30 lat też będzie inaczej. Tracimy wartości, zapal. Z drugiej strony dziś mamy nowe możliwości i więcej innowacji.

Ale widzisz większe zainteresowanie gotowaniem i pracą w kuchni?

– Szefowie kuchni zostali teraz gwiazdami, celebrytami. Rzeczywiście więcej osób chce teraz pracować w kuchni, także u nas, ale problemem jest zaangażowanie i tylko nieliczni wytrzymują.

Każdy chce być szefem, chce gotować, ale nie każdy jest w stanie wiele poświęcić.

To źle? Przecież w twojej kuchni jest dużo młodych ludzi.

– Tych, którzy wytrzymali i którzy chcą pracować w sposób, w który ja pracuję. Mogę ich kształtować.

Bo ja nadal, po ponad 30 latach w zawodzie, pracuję po 14 godzin. Choć mam wszystkie najważniejsze tytuły, już nie mam co zdobywać, mógłbym zwolnić.

Więc czemu nie zwalniasz?

– Bo za bardzo to kocham! Jak mówiłem, zaczynałem jako 10-latek. Musiałem być samodzielny, często zmieniałem kraje – w Europie nie ma takiego, w którym bym nie pracował. Niekiedy siedem dni w tygodniu bez przerwy.

Byłem gotów poświęcić wszystko.

A co z życiem poza pracą?

– To zależy, jakim szefem kuchni chcesz być. Każdy musi zdecydować, czego chce i co chce osiągnąć. Możesz być „dobrym” szefem kuchni i pracować po 8 godzin. Jeśli chcesz być najlepszy, to musisz poświęcić część swojego życia, bo 8 godzin nie wystarczy.

W Nucie mamy dwa dni wolnego, mamy przerwy świąteczne, więc myślę, że można pracę w restauracji i życie prywatne równoważyć.

Jakie cechy charakteru są potrzebne do pracy w fine diningowej restauracji?

– Musisz być silny psychicznie i fizycznie, i mieć pasję. Trzeba też umieć się dogadywać z innymi, bo pracujemy ze sobą kilkanaście godzin, pięć dni w tygodniu.

Szukam przede wszystkim dobrych, oddanych osób, które potrafią pracować zespołowo, i oczywiście z talentem kulinarnym.

Ale swoją drogą, nie rozumiem konceptu fine diningu. Inaczej: rozumiem, ale się z nim nie zgadzam.

Dlaczego?

– Popatrz: jeśli idziesz do trattorii i zjesz tam świetną pizzę, to czy to nie będzie jakościowa i wyjątkowa pizza? Czy nie będzie „fine”? Oczywiście, że będzie. I ją zapiętasz na długo.

Tak, my pracujemy inaczej, ale nie rozumiem, dlaczego zjedzenie pizzy, świeżej pasty czy curry nie może być traktowane jako wyjątkowe doświadczenie. Przygotowa-

Szefowie kuchni lubią stać przy wydawce ze swoimi małymi szczypczykami i dekorować talerze, stroszyć swoje szefowskie piórka. To pozerzy

wanie takiego jedzenia też wymaga umiejętności.

Michelin wyróżnił streetfoodową knajpę w Bangkoku i to wywołało trzęsienie ziemi, a przecież to jedzenie jest tak samo dobre i wykonane, z lokalnych produktów, jak jedzenie w ekskluzywnych knajpach. Jest inaczej podane, ale to nie zmienia jego jakości.

Fine dining kojarzy nam się z ekskluzywnymi knajpami, w których obsługa chodzi we frakach i białych rękawiczkach, a nad głowami wiszą żyrandole warte 10 tys. euro. I tak, sam w takich restauracjach pracowałem, lubię ten świat. Fajnie jest czasem ubrać się elegancko, być świetnie obsłużonym, poczuć się wyjątkowo. Ale nie traktuję tego świata jako lepszego.

Może być onieśmielający.

– Oczywiście, że może. Tak było w mojej poprzedniej restauracji Senses. To było luksusowe miejsce. Zależało mi, żeby Nuta była inna. Na ścianie są murale, kuchnia jest otwarta, a my gotujemy w koszulkach i fartuchach, nie w kitlach.

Jak chcesz podejść i przywitać się z szefem, to śmiało możesz to zrobić. Jeśli chcesz się śmiać i głośno rozmawiać – nie ma przeciwwskazań. Przez 20 lat pracowałem w takich gwiazdkowych miejscach, w których ledwo można było oddychać. Było cicho, nie było życia. Byłem tym zmęczony.

Dlaczego zamieszkałeś w Polsce?

– Trafiłem tu z ciekawości, to był jedyny kraj Europy, w którym nie byłem. Bardzo lubię ten kraj, jest bezpieczny, czysty, ma wspaniałą przyrodę i kulturę. Moja narzeczona Ania jest Polką. Jest managerką sali. Poznaliśmy się w restauracji i pracujemy ze sobą cały czas.

A jak oceniasz polską gastronomię?

– Zagraniczni goście, którzy odwiedzają Polskę, są zaskoczeni, bo w głowach wciąż mają szarobury kraj przemian, postkomunistyczny, w którym wszystkiego brakuje.

A tu są świetne restauracje z kuchnią polską i kuchniami świata, są bistra, bary i restauracje ekskluzywne. Wierzę, że za kilka lat Warszawa będzie jedną z gastronomicznych stolic Europy.

Zmienili się też goście. Są wyedukowani, obcy, chodzą do restauracji i cieszą się jedzeniem.

W 2015 roku dostałeś pierwszą gwiazdkę dla restauracji Senses, utrzymałeś ją do zamknięcia w 2020 r. Trudno było gwiazdkę odzyskać w nowym miejscu?

– W boksie jest takie powiedzenie, że prawdziwy mistrz zdobywa tytuł dwa razy. Pierwszy raz może być po prostu szczęściem, ale powtórzenie tego po raz kolejny świadczy o umiejętnościach. I nam się to udało.

Gwiazdkę w Senses pierwszy raz dostaliśmy po kilku miesiącach działania i udało nam się ją utrzymać. W Nucie gwiazdkę dostaliśmy 13 miesięcy po otwarciu. ● Redagowała Agata Żelazowska

Gwiazdki Michelina – dla kogo i za co

• Gwiazdki Michelina to jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień kulinarnych na świecie. Przyznawane się od 1923 r. najlepszym restauracjom i hotelom. Jedną gwiazdką oznaczone są miejsca, które są „dobrym adresem w twojej okolicy”, dwie gwiazdki otrzymują restauracje „warte odwiedzenia”, a trzy – restauracje „warte podróży”. Restauracje oceniają anonimowi inspektorzy, którzy zwracają uwagę nie tylko na jedzenie, ale również na poziom serwisu i obsługi. Mogą się ujawnić, ale dopiero po opłaceniu rachunku.



• Pierwszą gwiazdkę w Polsce dostała w 2013 r. restauracja Atelier Amaro. Dziś po gwiazdce mają

restauracje Nuta (Warszawa) i Muga (Poznań), dwie gwiazdki ma Bottiglieria 1881 (Kraków).

Kim jest Daria ze Śląska?

Z PERSPEKTYWY SMUTNEJ TYPIARY

– Z całym tym грузem, przemyśleniami i rozkminami u mnie bez zmian.

Nadal opisuję swoje przeżycia

– mówi Daria Ryczek-Zajac, znana jako Daria ze Śląska.

Z DARIĄ ZE ŚLĄSKA ROZMAWIA
JAREK SZUBRYCHT

JAREK SZUBRYCHT: Jak to było z tymi Fryderykami? Dostałaś, odebrałaś, ale się nie cieszyłaś?

DARIA RYCZEK-ZAJĄC: Odebrałam, ale byłam tak zaskoczona, że dużo nie byłam w stanie powiedzieć, i to było widać.

Zaskoczona?

– Tak, szczególnie przy kategorii Album Roku Indie Pop. Miałam swoich faworytów, więc już skupiałam się bardziej na moim występie, który miał być za chwilę, niż na tym, co się dzieje na scenie. Nagle usłyszałam swoje nazwisko. Byłam mocno zdziwiona, ale cieszyłam się, oczywiście. Również dlatego, że odbierałam statuetkę z rąk Kasi Sochackiej, widziałam, że ona też się cieszy i było mi miło.

Zanim zostałaś Darią ze Śląska, szukałaś sobie miejsca na scenie pod innym szyldem, z inną muzyką. Dziś już wiesz, dlaczego The Party Is Over się nie udało? Mielście pozytywne recenzje, dobrze was przyjęto na jednym z talent show...

– Czy ja wiem, czy to było aż takie dobre przyjęcie? Raczej potraktowano nas jako jednego z wielu. Ale dobrze to wspominać. Szukaliśmy z The Party Is Over swojej drogi, wydaliśmy cztery płyty i cały czas były jakieś koncerty. Najpierw śpiewałam po angielsku, później zaczęłam pisać teksty po polsku i wydaje mi się, że to był dobry ruch.

Michał [Wajdzik-Radziejowski] działał również solowo jako producent Rabbit on the Moon, a ja też w pewnym momencie równolegle próbowałam swoich sił solowo. Mimo to nie chciałam zostawiać The Party Is Over, miałam nadzieję, że udźwignę oba projekty. Nie udało mi się i podjęłam decyzję o odejściu z zespołu. Teraz idę własną drogą jako Daria ze Śląska.

Kiedy już zdecydowałaś się nagrywać solo, od razu wiedziałaś, jak to powinno brzmieć?

– Nie wiedziałam. W domu robię szkice utworów, na gitarze i klawiszach, później spotykam się z koleżankami i kolegami, z którymi pracujemy wspólnie nad aranżem, i zwykle efekt różni się od punk-

tu wyjścia. Cieszę się, że ktoś wjeżdża z buta w moje pomysły, że się ścieramy, aż do momentu, kiedy uznajemy, że wszystkim się podoba.

Nie zostałaś więc sformatowana przez wytwórnię Jazzboy? Bo przy wszystkich różnicach między wami trudno nie usłyszeć podobieństw twojej muzyki do tego, co robią Korteż czy wspomniana przez ciebie Kaśka Sochacka.

– Zgodzę się, że istnieje brzmienie Jazzboya, czasami śmiejemy się z tego w studiu. Wszyscy kąpiemy się w jednym sosie, współpracujemy z tymi samymi muzykami, ale różnice pomiędzy mną, Korteżem i Kasią są jak dla mnie znaczne. Czuć to na koncertach, ale też w obszarze brzmienia i ekspresji.

Wyraźnie będzie to słyszać na tej najnowszej płycie, gdzie delikatnie oddalam się od „jazzboy soundu”, bo skreśliłam ostatnio w stronę hip-hopu. Od kilku lat ciągnie mnie w tym kierunku, co bardzo mi się podoba.

Moje pytanie mogło brzmieć jak zarzut, ale nie musi nim być. Kiedyś kupowało

się w ciemno płyty z ulubionych niezależnych wytwórni, bo wiadomo było mniej więcej, jakie to emocje i dźwięki, a różnice wynikały z samego charakteru artystów.

– Tak, jesteśmy innymi ludźmi, ale naszym wspólnym muzycznym mianownikiem jest pewien rodzaj muzycznego minimalizmu. Potrafimy długo dłużyć przy swoich piosenkach, czasem kilka lat – to też nas łączy.

Jazzboy musi coś wiedzieć o polskich fanach muzyki, czego inni wydawcy, dysponujący większymi środkami, nie dostrzegają. Prawie wszystko, co wychodzi z Jazzboya, odnosi sukces.

– Współpracuję z tą wytwórnią już czwarty rok i mogę spróbować odpowiedzieć na to pytanie, choć nie do końca czuję się jego adresatką. Atutem Jazzboya może być skupienie się na normalności, szczerości – czasami do bólu – i unikanie fajerwerków. Często słyszałam w wytwórni taką frazę: „Wierzmy w to, że ludzie nie są idiotami, bardzo szybko potrafią odróżnić prawdę od fałszu”.

Śląsk, zaznaczony w twoim pseudonimie, obecny jest też w tobie?

– Nazwa Daria ze Śląska wzięła się z tego, że Uzek [Paweł Józwicki, współzałożyciel Jazzboya] w ten sposób zapisał sobie mnie w telefonie. Bardzo mi się to spodobało, właśnie dlatego, że takie to niewydumane. Poza tym sama prawda: urodziłam się w Katowicach i prawie całe życie tam spędziłam, oprócz ostatnich kilku lat w Warszawie. Mój tata był górnikiem, na Śląsku dorastałam, tam się uczyłam, tam się zakochałam. Wszystkie moje pierwsze razy miały miejsce na Śląsku.

Do Warszawy przeprowadziłaś się...

– Za chlebem, jak kiedyś mój tata, przyjeżdżając na Śląsk. Po raz pierwszy przyjechałam tu za pracą w trakcie pandemii, chciałam sprawdzić, czy coś się ruszy w mojej muzycznej sprawie. Nic się nie ruszało.

Miałam wtedy do dyspozycji siedem metrów kwadratowych, w mieszkaniu współdzielonym z innymi ludźmi i tam powstał numer „Mainstream”, który znalazł się na nowej płycie. Napisany z tęsknoty za domem, mężem, bliskimi. Na pół roku



FOT. KAMIA CZUDOWSKA

Daria ze Śląska

• to pseudonim urodzonej w Katowicach Darii Ryczek-Zajęc. Wokalistki znanej wtajemniczonym z duetu The Party Is Over, która w 2023 roku zadebiutowała solową płytą „Tu była”. Na tyle udaną, że dostała za nią dwa Fryderyki, w kategoriach Fonograficzny debiut roku oraz Album roku indie pop. Właśnie ukazała się jej druga płyta, zatytułowana „Na południu bez zmian”.

Nawet w durnych serialach czy reality show zdarza się, że ktoś pomiędzy rynsztokowymi wersami rzuci coś tak wybitnego, że mnie to rusza, a potem staram się od tego odbić, domknąć jakąś myśl

wróciłam do Katowic, ale później spróbowałam jeszcze raz – i poszło.

„Chyba muszę odpocząć, nie chcę umrzeć zbyt młodo” – zastrzegalas na debiutanckiej płycie, a tu proszę – rok później kolejny album. Tak odpoczywasz?

– Jutro mam fizjoterapię, coraz bliżej grobu.

Po wydaniu pierwszej płyty moje życie mocno się zmieniło, jeśli chodzi o czas wolny. Jestem bardziej zajęta niż kiedykolwiek wcześniej. Zawsze chciałam iść w tym kierunku, więc nie powinnam narzekać. Jest sympatycznie, ale czasami wyczerpująco.

Mówisz, że dużo się zmieniło, jednak w tytule nowej płyty – „Na południu bez zmian” – do tego się nie przyznajesz.

– Bo z całym tym gruzem, przemyśleniami i rozkminami u mnie bez zmian. Nadal opisuję swoje przeżycia. Na debiucie była to perspektywa smutnej typiary, która została zraniona na różnych etapach swojego życia i wyrzuca to z siebie w dziesięciu kawałkach.

Na nowej płycie wciąż jestem smutną typiarą, która jednak próbuje, robi wszystko, by swojej relacji nie zepsuć, choć zarazem sama czasem dokłada cegielkę do tego, żeby było trudniej, niż jest.

To dobry moment, by zapytać o to, jak kariera dobiera się do twojego prywatnego życia. Wpisałem w wyszukiwarkę twój pseudonim, a tam od razu podpowiedź: „Daria Ryczek-Zajęc mąż”. Pewnie wielbiciele sprawdzają, czy jesteś wolna.

– A tu psikus, pozdrawiamy męża!

Tu wróćmy do piosenki „Mainstream”, w której co prawda zastrzegasz: „Prywatne treści zostawmy tylko nam”, ale zarazem zdajesz się pisać o sprawach bardzo intymnych. To nie o was?

– O nas. To wszystko, co mi się przydarza, jest dla mnie ważne, te obrazki z życia są tak wyraźne, że inspirujące. Kiedyś używałam w tekstach górnolotnych metafor, zaślaniałam bardzo dużo i ludzie słuchający moich piosenek mogli nie wiedzieć, co autorka ma na myśli.

Teraz piszę wprost, o własnych przeżyciach. Czasem, oczywiście, wsłuchuję się też w rozmowy moich bliskich, podsłuchuję ludzi, którzy jadą w autobusie. Nawet w durnych serialach czy reality show zdarza się, że ktoś pomiędzy rynsztokowymi wersami rzuci coś tak wybitnego, że mnie to rusza, a potem staram się od tego odbić, domknąć jakąś myśl.

Czasem są to przemyślenia tak ponure, że ci, co pytają internetu, czy masz męża, mogą wnioskować, że warto poczekać, bo twój związek jest w permanentnym kryzysie...

– Historie, które opisuję, to zbiór różnych relacji, doświadczeń. Wydaje mi się, że z tekstów na drugiej płycie wynika raczej, że mój mąż jest człowiekiem-filarem, na którym mogę się wesprzeć. Przy nim czuję się bezpiecznie. W tekstach mierzę się sama ze sobą, ale wiem, że mam kogoś, kto mówi: „Pamiętaj, że zawsze jestem obok”.

Po prostu, jak sama to ładnie ujęłaś, masz pamięć do złych słów, ciężkich spojrzeń, smutnych scen. Trudno ci winić, nie ty jedna.

– Owszem. To pierwsza piosenka, którą napisałam z myślą o swojej pierwszej płycie solowej. Trochę przeleżała, ale wciąż jest aktualna, a jak zapytasz mnie o to za cztery lata, pewnie nic się nie zmieni.

Jak z tym żyć?

– Można pisać piosenki, to całkiem spoko opcja. Jeżeli komuś takie spojrzenie na świat utrudnia życie, terapia zawsze jest dobrym rozwiązaniem. Ja też swoją od byłam i pewnie jeszcze kiedyś zajrzę, żeby zrobić sobie reset. Mój mąż też jest dobrym lekarstwem, ale nim się akurat nie podzie-

lę, bo słyszałam, że pożyczać to zły zwyczaj.

Roboczy tytuł twojej drugiej płyty brzmiał „Skacz ze mną na bombę”. Fajny, nostalgiczny, ale domyślam się, że nie utrzymał się, bo nie jest reprezentatywny dla całości.

– Masz rację, taka była nasza intencja. Czulałam, że to byłby bombowy – wiem, sucharek, ale już poszło... – tytuł płyty, choć niekoniecznie reprezentatywny dla całości.

Pozostała piosenka „Skacz ze mną na bombę”, bardzo ciepła, nostalgiczna, opowiadająca o tym krótkim, lecz arcyważnym czasie, kiedy nie jest się już dzieckiem, ale jeszcze nie jest się dorosłym i wszystko jest możliwe.

– Bardzo chciałabym uwolnić się od tej swojej pamięci do złych słów, skoczyć na bombę, jak się to robiło za dzieciaka. Jeździło się nad wodę z kanapkami z serem i pomidorem, o nic się człowiek nie martwił, niczego nie żałował. Ale jak już skaczesz na tę bombę, fajnie mieć kogoś, kto trzyma cię za rękę. Hop, do wody – i jakoś to będzie!

Pamiętasz tamtą siebie?

– Pamiętam. Chciałam wszystkich zadowolić, zawsze bardzo dobrze się uczyłam, nigdy nie wagarowałam. Nie sprawiałam problemów, byłam sumienna. Trochę mi żal, że nigdy nie siedziałam w ostatniej ławce i nie popalałam papierochów. Nie buntowałam się.

Na szczęście miałam wokół siebie fajnych ludzi, dużo sportu... Bo moje dzieciństwo to również siatkówka, obozy, wyjazdy na zawody. Nie było miękkiej gry. Szkoła zaczynała się o ósmej, ale już o 6:30 miałam pierwszy trening, a po lekcjach drugi. Dzięki temu nauczyłam się, jak układać sobie rzeczywistość. Im mniej miałam czasu na pierdoły, tym lepiej mi się żyło. I moi rodzice byli spokojniejsi.

Rodzice na pewno, ale czy nie miałaś poczucia, że omijają cię jakieś bardzo ważne sprawy, na które koleżanki i kole-dzy mają czas?

– Ja też to wszystko miałam. Wieczorem przesiadywałam z nimi na ławce, pierdzieliłam głupoty i puszczałam głośno muzykę. Nigdy nie sprawiałam kłopotów, ale mogłam robić, co chcę. Rodzice nie planowali dla mnie życia, nie wmawiali mi, że muszę być lekarzem czy kimkolwiek innym.

Pamiętam tylko, że mama nie była przekonana, kiedy śpiewałam covery Alicii Keys w swoim pokoiku. „Przestań tak wyć!” – upominała mnie i zamykała drzwi. Teraz mówi: „Dziecko, zawsze w ciebie wierzyłam. Śpiewałam do brzucha, jak byłam w ciąży”. Klasyka. Ale muszę przyznać, że już na etapie The Party Is Over i pierwszych koncertów mama bardzo mnie wspierała. Widziała, że jestem szczęśliwa, a to dla niej było i jest najważniejsze. ●

Santander Letnie Brzmienia 2024

• Daria ze Śląska będzie jedną z gwiazd tegorocznej edycji Santander Letnie Brzmienia 2024, wystąpi w Krakowie 5 lipca.

• Kraków (5-6.07 | Parkowa) to pierwsze z sześciu miast, w których w tym roku odbędą się wydarzenia w ramach popularnej wakacyjnej trasy koncertowej Santander Letnie Brzmienia. Kolejne koncerty zaplanowano we Wrocławiu (12-13.07 | Pola Marso-we), Katowicach (26-27.07 | Strefa Kultury), Warszawie (9-10.08 | Tor Służewiec), Łodzi (16-17.08 | Miejski Skwer na Lutomierskiej) i Poznaniu (30-31.08 | Park Cyta-dela). Podczas tegorocznej edycji wystąpią m.in. Daria Zawiałow, Nosowska, Natalia Przybysz, Artur Rojek, Mrozu, KorteZ, Zalewski, Vito Bambino. Dwudniowe karnety można kupić online na www.letniebrzmienia.pl



Nie pamiętam już, jak wyglądał ten dzień, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Gdzieś tam kołaczę mi się wspomnienie o Dniu Sportu, który był wtedy organizowany w szkole zamiast lekcji (lata osiemdziesiąte), na pewno pamiętali o nim moi rodzice, pamiętają zresztą do dziś i serio życzę sobie samemu, żebym ja w ich wieku też miał taką pamięć. Ale przecież będę miał, Ania – obiecuję!

W każdym razie Dzień Dziecka, bo o nim wszak mowa, był od zawsze. To znaczy w Polsce i w krajach ościennych, tzw. Bloku Wschodniego od 1950 roku. Podczas Kongresu Obróńców Pokoju w marcu tegoż roku narodził się tzw. apel sztokholmski, czyli powszechna odezwa do zbierania podpisów popierających zakaz broni atomowej. Idea szlachetna, choć pobudki już takimi nie były, bo wiem Związek Radziecki, inspirowany ową inicjatywę, wówczas broni atomowej po prostu nie posiadał, ale to już temat na zupełnie inną historię.

Jeszcze wcześniej, dużo wcześniej, bo niemal sto lat, dzień poświęcony dzieciom wymyślił pastor z Chelsea w Massachusetts, Charles Leonard. W drugą niedzielę czerwca 1857 roku odprawił specjalną mszę w intencji dzieci świata. Nazwał ten dzień Dniem Róży, potem ów dzień nazwano Kwiatową Niedzielą, wreszcie – Dniem Dzieci.

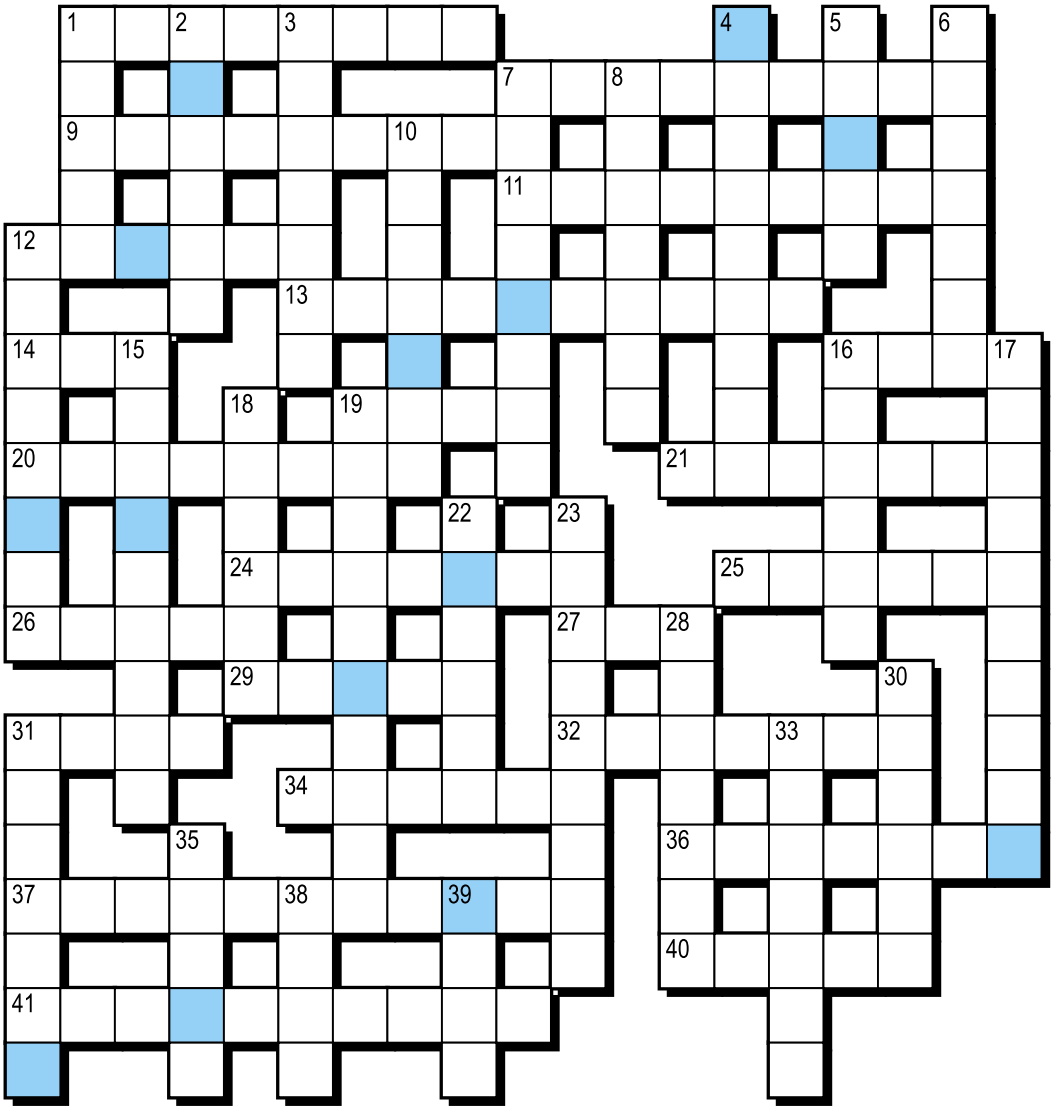
Jako święto państwowe, Dzień Dziecka jako pierwsza ustanowiła Turcja. 23 kwietnia 1920 w całej republice celebrowano dzień poświęcony dzieciom, choć oficjalnym świętem państwowym w kraju ustanowiono 23 kwietnia 9 lat później. W międzyczasie, w Genewie, w 1925 roku odbyła się Światowa Konferencja na rzecz Dobrobytu Dzieci, podczas której poddano ideę ogólnoświatowego Dnia Dziecka.

ONZ w 1954 podjął inicjatywę, ustanawiając w 1954 Międzynarodowy Dzień Dziecka, który decyzją organizacji obchodzony jest 20 listopada (wiele krajów przyjęło właśnie tę datę).

W różnych krajach zresztą obchodzony jest w różne dni: w Tunezji 11 stycznia, w Tajlandii w drugą niedzielę stycznia, w Nowej Zelandii w pierwszą niedzielę marca, na Tajwanie 4 kwietnia, w Kolumbii w ostatnią sobotę kwietnia, w Hiszpanii i Wlk. Brytanii w drugą niedzielę maja, 1 czerwca świętuje kilkadziesiąt krajów, Australijczycy w czwartą sobotę października, a Hindusi 14 listopada, w dzień urodzin premiera Jawaharlala Nehru, walczącego o prawa dzieci.

Niezależnie jednak od daty, którą obrały sobie poszczególne kraje, Dzień Dziecka to w założeniu powinno być święto radosne. Bynajmniej nie dzieci sprawiają, że nie zawsze i nie wszędzie tak się dzieje

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 104
z 25.05:

Poziomo:
7) helikopter, 9) dowódca, 10) kawaleria, powietrzna, 12) Predator, 13) odbicie, 16) elita, 19) Wietnam, 20) Alpha, 21) pilot, 23) czas, 26) pozycje, 27) ryzyko, 29) misja, 30) działa, 33) snajperzy, 35) Niemcy, 37) akronimy, 38) Irak, 39) Polko, 40) McCoy, 41) zamach.

Pionowo:
1) desantowiec, 2) Liban, 3) medal, 4) twierdza, 5) odwrót, 6) Wagner, 8) operacja, 9) dywersant, 11) Lee, 14) bitwa, 15) Ridley, 17) Specnaz, 18) najemnicy, 21) Psy, wojny, 22) Foki, 24) zwiad, 25) sojusznik, 28) oddziały, 31) amfibia, 32) jeniec, 34) okup, 36) mina.

HASŁO:
CICHOCIEMNİ

DZIEŃ DZIECKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1) nazwisko wykonawczyni piosenki „Wszystkie dzieci nasze są”
7) oddział dziecięcy w szpitalu
9) Antoni, autor aforyzmu „Dzieci są zakałą ludzkości”
11) do dziecka (au pair, babysitterka, niania)
12) ... rodzinny i opiekuńczy, z przepisami dotyczącymi macierzyństwa, władzy rodzicielskiej, opieki nad małoletnim
13) podręcznik do nauki czytania i pisania
14) „Dzieci ...”, powieść Dana Simmonsa (wpisujemy w mianownik)

- 16) ... drogowy A-17 (uwaga, dzieci)
19) przedszkolny – od 3 do 6 lat
20) ... Praw Dziecka
21) często w pokoju nastolatka
24) Północna, Środkowa lub Południowa – w powieści „Dzieci z Bullerbyn”
25) ucz się, dziecko, to będą z ciebie ...!
26) Kirstie z filmu „I kto to mówi”
27) żartobliwie o małym dziecku
29) mieszkanki domku kilkulatki
31) szkoła w gwarze uczniowskiej
32) skakanka, frisbee, latawiec lub jo-jo
34) złota ..., nie miała jej lalka Zuzia z dawnej dziecięcej piosenki
36) pielgrzymują na wywiadówki
37) kilkulatki
40) córeczka jest jego oczkiem w głowie
41) bohaterka baśni „Dziecię elfów”

Pionowo:

- 1) chłopczyk – bohater dowcipów
2) placówka dla dzieci do lat trzech
3) ... o świadczenie z programu Rodzina 800+, składany przez internet
4) bal przebierańców
5) rówieśników lub pedagogiczne
6) ostatnia – zgasta w rękę dziewczynki z baśni Andersena
7) „Dzieci” Elektrycznych Gitar lub „O Children” Nicka Cave’a
8) „Pójdźcie, o ..., pójdźcie wszystkie razem za miasto, pod słup na wzgórek”
10) szkolny – oblegany w czasie przerwy
12) ... rodzicielska (aplikacja w smartfonie dziecka)
15) ulubiony przysmak wielu dzieci
16) dziecko znalezione w koszyczku na progu sierocińca; podrzutek
17) imprezki urodzinowe dla maluchów

- 18) potocznie: niedorostek, małolat
19) ojciec 123 dzieci
22) przynosi dzieci?
23) mieszkaniac uzdrowiska zwanego Miastem Dzieci Świata
28) ... Starszych Panów, wykonywał piosenkę „W czasie deszczu dzieci się nudzą”
30) „Król ... Pierwszy” Janusza Korczaka
31) kajtki, berbecie
33) kto ma dzieci, ten ma ...
35) pierzynka dla niemowląt
38) piosenkarka kojarzona z programem telewizyjnym „The Voice Kids”
39) „Felix, Net i ...”, cykl powieści Rafała Kosika

Leszek Rydz

